



JOHN
GRISHAM

THEODORE BOONE

ZBIEG

O książce

FBI, ŚCIGANY PRZESTĘPCA, MŁODY BYWALEC SĄDÓW I PRAWO ODMIENIANE PRZEZ WSZYSTKIE PRZYPADKI

Czy Theo Boone sam się prosi o kłopoty? Na to wygląda, skoro zwykła wycieczka do Waszyngtonu kończy się wielką akcją prowadzoną przez FBI, w której chłopak bierze czynny udział.

W waszyngtońskim metrze Theo widzi znajomą twarz najbardziej poszukiwanego człowieka w hrabstwie Stratten - numer siedem na liście FBI! Przez chwilę zastanawia się, czy nie wysiąść na następnej stacji i o tym nie zapomnieć. Ale nie zapomina... i może tego gorzko żałować.

Pete'owi Duffy'emu, oskarżonemu o zamordowanie żony, udało się uniknąć skazania. Kilka godzin po tym, jak sędzia z powodu błędów proceduralnych unieważnił proces, Duffy zapadł się pod ziemię. Teraz w eskorcie agentów FBI wraca do Strattenburga, by ponownie stanąć przed sądem. A Theo Boone, który go zdemaskował, ma się czego bać, bo kilku groźnych przyjaciół Duffyego jest na wolności.

JOHN
GRISHAM

THEODORE BOONE

ZBIEG

Z angielskiego przełożył
JAN KABAT



Wydanie elektroniczne

JOHN GRISHAM

John Grisham, współczesny amerykański pisarz, autor 36 powieści (w tym sześciu dla młodzieży), fabularyzowanego reportażu oraz zbioru opowiadań. Jego książki ukazują się w 40 językach, a ich łączny nakład przekroczył 300 milionów egzemplarzy. W 2011 r. otrzymał prestiżową nagrodę literacką Harper Lee.

Po twórczość Grishama chętnie sięgają filmowcy, takiej miary co Sydney Pollack, Francis Ford Coppola, Robert Altman czy Alan J. Pakula, a ekranizacje jego powieści, m.in. **Raport Pelikana** z Julią Roberts i Denzelem Washingtonem, **Firma** z Tomem Cruise'em, **Klient** z Susan Sarandon czy **Zaklinacz deszczu** z Mattem Damonem, stały się megahitami.

www.facebook.com/JohnGrisham

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

FIRMA
KANCELARIA
ZAKLINACZ DESZCZU
KRÓL ODSZKODOWAŃ
WIĘZIENNY PRAWNIK
OSTATNI SPRAWIEDLIWY
CALICO JOE
KOMORA
DARUJMY SOBIE TE ŚWIĘTA
UŁASKAWIENIE
NIEWINNY CZŁOWIEK
RAPORT PELIKANA
GÓRA BEZPRAWIA
CHŁOPCY EDDIEGO
KLIENT
SAMOTNY WILK
ADEPT
WERDYKT
DEMASKATOR
ŁAWA PRZYSIĘGLYCH

Jake Brigrance

CZAS ZABIJANIA
CZAS ZAPŁATY

Theodore Boone

OSKARŻONY
AKTYWISTA
ZBIEG

Tytuł oryginału:
THEODORE BOONE: THE FUGITIVE

Copyright © 2015 by Boone & Boone LLC
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Jan Kabat 2017

Redakcja: Katarzyna Kumaszevska

Zdjęcie na okładce: © Look/BE&W

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Skład: Laguna

ISBN 978-83-8125-080-1

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Część pierwsza

POJMANIE

Rozdział 1

Choć latarnie uliczne w Strattenburgu wciąż się paliły, a na wschodzie nie widać było nawet śladu słonecznego blasku, parking przed gimnazjum buzował energią, gdy niemal stu siedemdziesięciu pięciu ośmioklasistów przybywało w samochodach osobowych i vanach prowadzonych przez zaspanych rodziców, gotowych pozbyć się swojej latorośli choć na kilka dni. Dzieciaki niewiele spały. Pakowały się cały wieczór, wierciły i przewracały w łózkach, a potem wstały na długo przed świtem; wzięły prysznic, dorzuciły coś do bagażu, obudziły rodziców, nalegając na szybkie śniadanie, i ogólnie były równie podekscytowane, jak pięciolatki czekające na Świętego Mikołaja. O szóstej rano, zgodnie z planem, zjawily się wszystkie w szkole. Powitał je niesamowity widok czterech długich, smukłych, identycznych autokarów stojących w idealnym rzędzie; ich światła połyskiwały w mroku, a silniki pomrukiwały.

Wycieczka szkolna ośmioklasistów! Sześciogodzinna jazda do Waszyngtonu, by spędzić trzy i pół dnia na zwiedzaniu i cztery noce na dokazywaniu w wielopiętrowym hotelu. Uczniowie pracowali na to miesiącami – sprzedawali paczki w sobotnie poranki, myli tysiące samochodów, oczyszczali z odpadków przydrożne rowy i zanosili do skupu aluminiowe puszki, nagabywali kupców ze śródmieścia, którzy co roku coś wpłacali, sprzedawali ciasta z bakaliami, chodząc od drzwi do drzwi przed Bożym Narodzeniem, organizowali aukcje używanego sprzętu turystycznego, sprzedawali wypieki, rowery i książki i z entuzjazmem uczestniczyli w każdej imprezie dochodowej zaaprobowanej przez komitet wycieczkowy. Zyski trafiały do jednej kasy. Celem było uzbieranie dziesięciu tysięcy dolarów, co z pewnością nie wystarczyłoby na pokrycie wszystkich kosztów, ale pozwoliłoby zorganizować wycieczkę. W tym roku zebrali dwanaście tysięcy, co oznaczało, że każdy uczeń musiał jeszcze dopłacić sto dwadzieścia pięć dolarów.

Kilkorga nie było na to stać, lecz dyrekcja szkoły, zgodnie z długoletnią tradycją, dopilnowała, by nikt nie musiał zostać w domu. Do Waszyngtonu jechał każdy z ośmioklasistów – razem z nauczycielami i ośmiorgiem rodziców.

Theodore Boone bardzo się ucieszył, że jego matka nie zgłosiła się na ochotnika. Przedyskutowali to podczas kolacji. Ojciec wycofał się szybko, twierdząc – jak zwykle – że ma za dużo pracy. Z początku matka Theo wydawała się zainteresowana udziałem w wycieczce, ale szybko uświadomiła sobie, że nie może jechać. Theo zajrzał do jej terminarza rozpraw i wiedział doskonale, że matka musi być w sądzie, podczas gdy on będzie się doskonale bawić w Waszyngtonie.

Kiedy stali w korku, siedział z przodu i głaskał po łbie swojego psa, Asesora, który usadowił się częściowo między przednimi siedzeniami, a częściowo na nogach pana. Asesor zajmował zwykle miejsce tam, gdzie chciał, i nikt z rodziny Boone'ów nie sprzeciwiał się temu.

– Cieszysz się? – spytał ojciec. To on odwoził syna, ponieważ matka postanowiła pospać sobie jeszcze godzinę.

– Jasne – odparł Theo, starając się ukryć podniecenie. – Choć czeka nas długa podróż.

– Jestem pewien, że wszyscy zaśniecie, jak tylko wyjedziecie poza miasto. Omówiliśmy już zasady. Jakies pytania?

– Mówiliśmy o tym setki razy – odparł Theo, lekko zirytowany. Lubił rodziców. Byli trochę starsi niż rodzice jego kolegów, a do tego był jedynakiem, więc czasem sprawiali wrażenie zbyt opiekuńczych. Wkurzały go jednak niektóre rzeczy, na przykład ich przywiązanie do zasad. Wszystkie, bez względu na to, kto je ustalił, musiały być ściśle przestrzegane.

Domyślał się, z czego to wynika: oboje byli prawnikami.

– Wiem, wiem – powiedział ojciec. – Po prostu przestrzegaj zasad, słuchaj nauczycieli i nie rób niczego głupiego. Pamiętasz, co się wydarzyło dwa lata temu?

Jak Theo, czy też każdy inny ośmioklasista, mógłby zapomnieć kiedykolwiek, co wydarzyło się dwa lata wcześniej? Dwa przygłupy – Jimbo Nance i Duck DeFoe – zrzuciły z czwartego piętra hotelu do wewnętrznego holu na dole balony wypełnione wodą. Nikt nie poniósł uszczerbku na zdrowiu, ale kilka osób zostało porządnie oblanych i wkurzyło się nie na żarty. Ktoś obu podkablował i rodzice chłopaków musieli jechać przez sześć godzin w środku zimy, żeby zabrać ich do domu. A potem znowu sześć godzin, z powrotem do Strattenburga. Jimbo twierdził, że droga bardzo się dłużyła. Zawieszono ich na tydzień, a szkołę poinformowano, żeby w przyszłości znalazła sobie inny hotel w Waszyngtonie. Ta nieszczęsna przygoda stała się krążącą po mieście legendą; służyła jako przestroga i narzędzie strachu w przypadku Theo i każdego ucznia, który wybierał się do Waszyngtonu.

W końcu zatrzymali się na parkingu. Chłopak pożegnał się z Asesorem i kazał mu zostać na przednim siedzeniu. Pan Boone otworzył tylne drzwi i wyjął bagaż syna – nylonową torbę podróżną, która nie powinna ważyć więcej niż dziesięć kilogramów. Wszystko, co powodowało przekroczenie tej normy (jedna z Wielkich Zasad!), należało usunąć, a delikwent był zmuszony pojechać na wycieczkę bez ubrania na zmianę i szczoteczki do zębów. Theo nie przejmował się tym ani trochę. Jako skaut przetrwał tydzień w lesie, dysponując znacznie skromniejszym sprzętem.

Pan Mount stał obok autokaru z wagą, sprawdzając ciężar bagaży. Śmiał się i cieszył, równie podekscytowany jak jego uczniowie. Torba podróżna Theo ważyła trochę ponad dziewięć kilogramów, plecak tylko sześć, więc chłopak przeszedł sprawdzian z powodzeniem. Pan Mount upewnił się jeszcze, że w torbie jest dokument tożsamości, i powiedział Theo, żeby wsiadł do autokaru.

Theo uściskał ojcu dłoń, pożegnał się, zastygł na chwilę przerażony myślą, że ojciec zechce go objąć albo zrobić coś równie koszmarnego, po czym odetchnął z ulgą, gdy pan Boone rzucił tylko:

– Baw się dobrze. I zadzwoń do matki.

Theo wgramolił się do autokaru.

Tuż obok dziewczęta zęgały się z matkami – obejmowały się, chlipały i zachowywały tak, jakby szły na wojnę i miały nigdy więcej nie wrócić do domu. Jednak twarde przy autokarze, w którym jechali chłopcy, sztywne, chcąc jak najszybciej uwolnić się od rodziców i ograniczyć wzajemne kontakty do minimum.

Wraz ze wschodem słońca parking pustoszał. Punktualnie o siódmej autokary ruszyły spod szkoły. Był czwartek. Wielki dzień wreszcie nadszedł, a dzieciaki były hałaśliwe i rozbrykane. Theo siedział obok Chase'a Whipple'a, przyjaciela, o którym mówiono, że jest „szalonym naukowcem”. Aby się nie zgubili i nie włóczyli po niebezpiecznych ulicach Waszyngtonu, nauczyciele wprowadzili system partnerski. Przez następne cztery dni Theo miał towarzyszyć Chase'owi, a Chase jemu; od obu wymagano, by w każdym momencie wiedzieli, co robi ten drugi. Theo zdawał sobie sprawę, że przypadła mu w udziale znacznie trudniejsza rola, ponieważ Chase potrafił zgubić się nawet na terenie własnej szkoły. Trzeba będzie się wysilać, żeby go upilnować. Mieli dzielić pokój z Woodym Lambertem i Aaronem Nyquistem.

Kiedy autokary jechały pogrążonymi w ciszy ulicami, podekscytowani chłopcy rozmawiali. Nikt nikogo jeszcze nie walnął ani nie strącił nikomu czapki z głowy. Uprzedzono ich surowo, że należy zachowywać się właściwie, a pan Mount bacznie wszystkich obserwował. W pewnym momencie ktoś siedzący za Theo puścił bąka, i to głośno. Rozpleniło się to niczym zaraza i nim wyjechali poza granice Strattenburga, Theo żałował, że nie siedzi obok April Finnemore w autokarze jadącym z przodu.

Pan Mount uchylił okno. W końcu sytuacja się uspokoiła. Po trzydziestu minutach jazdy chłopcy spali albo byli pochłonięci grammi wideo.

Rozdział 2

Pokój Theo znajdował się na siódmym piętrze nowego hotelu przy Connecticut Avenue, około kilometra na północ od Białego Domu. Wszyscy czterej – on, Chase, Woody i Aaron – widzieli z okna górujący nad miastem Washington Monument. Plan wycieczki zakładał, że z samego rana w sobotę chłopcy wejdą na jego szczyt. Teraz jednak musieli zejść szybko na lunch, a potem mieli wyruszyć na zwiedzanie miasta.

Każdemu wolno było wybrać sobie coś z licznych atrakcji Waszyngtonu. Obejrzenie wszystkiego zabraloby co najmniej rok, więc pan Mount i inni nauczyciele ułożyli listę, a uczniowie mogli wskazać to, co ich najbardziej interesuje.

April przekonała Theo, że powinni obejrzeć Teatr Forda, gdzie zastrzelono Abrahama Lincolna. Uznał to za ciekawy pomysł. Przekonał do niego Chase'a i po lunchu zebrali się w holu hotelowym wraz z panem Babcockiem, nauczycielem historii, i grupą kilkunastu uczniów. Pan Babcock wyjaśnił, że nie pojedą autokarem, ponieważ ich grupa jest za mała, ale poznają dzięki temu system kolejki podziemnej Waszyngtonu. Spytał, czy ktoś z nich jechał kiedyś metrem. Rękę podniósł Theo i jeszcze trzy osoby.

Wyszli z hotelu i ruszyli gwarnym i zatłoczonym chodnikiem. Dzieciakom z małego miasta trudno było w pierwszej chwili oswoić się z dźwiękami i energią metropolii. Tyle budynków, tak wiele samochodów, które ledwie się poruszały zderzak w zderzak, tylu spieszących dokądś ludzi. Na stacji Woodley Park zjechali ruchomymi schodami, głęboko w podziemia miasta. Pan Babcock rozdał im plastikowe karty, dzięki którym mogli w ograniczonym zakresie korzystać z metra. Pociąg był wypełniony jedynie do połowy, czysty i szybki. Gdy mknął ciemnym tunelem, April poinformowała Theo szeptem, że jedzie metrem po raz pierwszy. Powiedział, że on jechał już w Nowym Jorku, kiedy rodzice zabrali go tam na wakacje. Tylko że metro w Nowym Jorku różniło się od tego w Waszyngtonie.

Gdy pociąg zatrzymał się po raz trzeci, zaledwie kilka minut po tym, jak do niego wsiedli, nadszedł czas, by wysiąść przy Metro Center. Pojechali czym prędzej schodami na górę, z powrotem na światło dnia. Pan Babcock doliczył się osiemnaściorga podopiecznych i ruszyli przed siebie. Wkrótce dotarli do Dziesiątej Ulicy.

Nauczyciel zatrzymał grupę i wskazał stojący po drugiej stronie ładny budynek z czerwonej cegły, najwidoczniej z jakiegoś powodu ważny.

– To jest Teatr Forda, miejsce, w którym czternastego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku zastrzelono prezydenta Lincolna. Pisaliście o tym

prace i poświęciliście temu tematowi wiele czasu, wiecie więc, że właśnie skończyła się wojna secesyjna. W gruncie rzeczy generał Lee poddał się generałowi Grantowi zaledwie dwa dni wcześniej, w Appomattox Court House w Wirginii. W Waszyngtonie panował pogodny nastrój, wojna dobiegła wreszcie końca, zatem prezydent Lincoln i jego małżonka postanowili spędzić wieczór poza domem. Teatr Forda był największym i najwspanialszym tego rodzaju przybytkiem w mieście. Państwo Lincolnowie często przychodzili tu na koncerty i przedstawienia. W teatrze mieściło się wówczas dwa tysiące widzów, a spektakl *Nasz amerykański kuzyn* co wieczór miał komplet.

Przeszli kawałek i znów przystanęli.

– Cóż, wojna się skończyła – kontynuował nauczyciel historii – ale wielu ludzi uważało inaczej. Jednym z nich był konfederata, John Wilkes Booth, znany aktor. Sfotografował się nawet miesiąc wcześniej z Lincolnem, podczas inauguracji drugiej kadencji prezydenta. Booth był wściekły, ponieważ Południe się poddało, i pragnął za wszelką cenę zrobić coś, by je wspomóc. Postanowił zabić prezydenta Lincolną. Był znany personelowi teatru, pozwolono mu więc zbliżyć się do łoża, gdzie siedzieli państwo Lincolnowie. Strzelił prezydentowi w tył głowy, raz, zeskoczył na scenę, złamał sobie nogę i uciekł tylnym wyjściem. – Pan Babcock odwrócił się i wskazał głową budynek tuż obok. – To jest Petersen House; w tamtym czasie był to pensjonat. Przyniesiono tu prezydenta Lincolną i przez całą noc lekarze go opatrywali. Wieść o tym, co się wydarzyło, szybko się rozniosła. Zebrał się tłum, a oddziały federalne musiały bronić dostępu do budynku. Prezydent Lincoln umarł tu rankiem piętnastego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku.

Na tym wykład się skończył. Przeszli w końcu na drugą stronę ulicy i znaleźli się w Teatrze Forda.

* * *

Po dwóch godzinach Theo miał dość słuchania o zabójstwie prezydenta. Z pewnością było to ciekawe, no i w ogóle doceniał też znaczenie historyczne tego wydarzenia, ale przyszła pora, by zająć się czymś innym. Najbardziej niesamowita rzecz znajdowała się na dole, pod sceną, gdzie wystawiono prawdziwą broń użytą przez Boothą.

Było prawie wpół do piątej, kiedy wyszli na Dziesiątą Ulicę i ruszyli z powrotem w stronę Metro Center. Ruch uliczny zgęstniał jeszcze bardziej, chodnikami sunęły tłumy. W metrze panował tłok; ludzie wracali po pracy do domów. Wydawało się, że pociąg jedzie znacznie wolniej. Theo stał pośrodku wagonu, w ścisku, tuż obok Chase'a i April, podczas gdy skład kołysał się i pobrząkiwał na torach. Theo rozglądał się po ponurych twarzach pasażerów; nikt się nie uśmiechał. Wszyscy wyglądali na zmęczonych. Nie bardzo wiedział, gdzie zamieszka, kiedy już dorośnie, ale nie sądził, by było to wielkie miasto. Wydawało się, że Strattenburg jest w sam raz. Ani za duży, ani za mały. Nie było

tam korków na ulicach. Nie słyszało się gniewnych klaksonów. Chodniki nie były zatłoczone. Nie chciał jeździć do pracy i wracać do domu pociągiem.

Jakiś mężczyzna siedzący między dwiema kobietami opuścił gazetę, przewracając stronę. Od Theo dzieliły go niespełna trzy metry.

Wyglądał znajomo, dziwnie znajomo. Chłopak odetchnął głęboko i zdołał się wcisnąć między dwóch mężczyzn tłoczących się wraz z innymi. Zbliżył się do siedzącego mężczyzny i teraz mógł się przyjrzeć jego twarzy.

Już ją widział, ale gdzie? Wydawała się trochę inna. Może włosy miały ciemniejszy odcień, może okulary były nowe. Nagle uderzyło go to jak obuchem: to była twarz Pete'a Duffy'ego.

Pete Duffy? Najbardziej poszukiwany człowiek w dziejach Strattenburga i hrabstwa Stratten. Numer siedem na liście FBI. Mężczyzna, którego oskarżono o zamordowanie żony i który stanął przed sądem w Strattenburgu. Sędzią w procesie, śledzonym uważnie przez Theo i jego szkolnych kolegów, był Henry Gantry, który unieważnił proces z powodów proceduralnych i Duffy uniknął skazania. Uciekł z miasta w środku nocy i od tej pory słuch o nim zaginął.

Mężczyzna znów opuścił gazetę, chcąc przewrócić kolejną stronę. Rozejrzał się w chwili, gdy Theo schował się za innym pasażerem. Tuż po procesie wymienili spojrzenia.

Duffy miał teraz wąsy upstrzone siwizną. Jego twarz znów zniknęła za gazetą.

Theo był sparaliżowany niepewnością. Nie miał pojęcia, co robić. Pociąg się zatrzymał i wsiadło jeszcze więcej pasażerów. Stanął ponownie przy Dupont Circle. Następną stacją był Woodley Park. Duffy niczym nie okazywał, że zamierza wysiąść. W przeciwieństwie do innych ludzi w wagonie nie miał przy sobie teczek ani torby. Theo przeciskał się przez tłum, oddalając się trochę od kolegów ze szkoły. Chase jak zwykle błędził w innym świecie. April znajdowała się poza zasięgiem jego wzroku. Usłyszał, jak pan Babcock mówi uczniom, że zaraz wysiadają, i przesunął się jeszcze bardziej.

Pociąg zatrzymał się na stacji Woodley Park i drzwi się otworzyły. Podczas gdy uczniowie starali się za wszelką cenę wyjść z wagonu, ruszył ku nim tłum pasażerów na peronie. W całym tym zamieszaniu nikt nie zauważył, że jeden z uczniów wciąż jest w środku. Drzwi się zamknęły i pociąg ruszył. Theo, nie spuszczać wzroku z Pete'a Duffy'ego, który chował się za gazetą, zapewne z przyzwyczajenia, przesłał Chase'owi wiadomość, że nie udało mu się wysiąść na czas, że wszystko w porządku i że złapie następny pociąg jadący w stronę Woodley Park. Kolega oddzwonił natychmiast, ale Theo miał wyciszoną komórkę. Pewien, że pan Babcock jest przerażony, postanowił zadzwonić za kilka minut.

Zaczął bawić się telefonem, jakby przesyłał wiadomości albo w coś grał. Miał włączoną kamerę i rozglądał się po wagonie – jeszcze jeden głupawy trzynastolatek popisujący się komórką. Pete Duffy siedział pięć metrów dalej, kryjąc się spokojnie za swoją gazetą. Theo cierpliwie czekał. W końcu, gdy pociąg zbliżał się do stacji Tenleytown, Duffy opuścił gazetę, złożył ją i wsunął sobie pod pachę, a chłopak przez pięć sekund go nagrywał. Zdołał nawet zrobić zbliżenie.

Kiedy tamten spojrział w jego stronę, Theo zachichotał, patrząc na komórkę, jakby właśnie zdobył punkt w jakiejś grze.

Duffy wysiadł przy Tenleytown, a Theo ruszył za nim. Mężczyzna szedł szybko, jak ktoś, kto się obawia, że jest bezustannie śledzony. Po kilku minutach chłopak zgubił go w tłumie. Zadzwoił do Chase'a, powiedział, że czeka na następny pociąg i że powinien być na miejscu za piętnaście minut.

Rozdział 3

Pan Babcock czekał na stacji Woodley Park i nie był zadowolony. Theo przeproszał, tłumacząc, że utknął w ścisku i po prostu nie zdołał wysiąść z wagonu. Nie podobało mu się, że musi uciekać się do kłamstw. Wiedział, że nie powinien tego robić, i zawsze starał się mówić prawdę. Od czasu do czasu jednak zdarzały się kłopotliwe sytuacje, gdy trzeba było trochę naginać fakty. Jadąc metrem, doszedł szybko do wniosku, że przydybanie Pete'a Duffy'ego jest najważniejsze, nawet jeśli z tego powodu nie wysiadzie tam, gdzie powinien. Gdyby wysiadł razem z kolegami, Duffy by zniknął, a szansa dorwania tego człowieka przepadłaby bezpowrotnie. Gdyby teraz przyznał się panu Babcockowi, że celowo został w pociągu, musiałby się zmierzyć z nieprzyjemnymi konsekwencjami. Nie mógł powiedzieć prawdy o Pecie Duffym – w każdym razie nie teraz – ponieważ nie miał pojęcia, co z tą prawdą zrobić. Potrzebował odrobiny czasu w samotności, żeby wszystko przemyśleć.

Musiał pogadać ze stryjem Ikiem.

Chwilowo jednak był zmuszony przeprosić nauczyciela historii, który służył z nerwowości. Po powrocie do hotelu ten zaprowadził Theo do pana Mounta i zdał pełen raport z wyczynu jego ucznia. Gdy tylko pan Babcock się oddalił, Theo wymamrotał:

– Ten facet powinien wyluzować.

Pan Mount, który ufał Theo i wiedział, że jeśli jakiś dzieciak miałby przetrwać w wielkim mieście, to właśnie Theodore Boone, zgodził się z tą uwagą.

– Nie rób tego więcej, dobrze? – powiedział tylko. – Zwracaj uwagę na to, gdzie się akurat znajdujesz.

– Jasne – odparł Theo. Gdyby pan tylko wiedział...

Na kolację była pizza podana w sali balowej. Miejsc nie wyznaczano; każdy mógł siedzieć, gdzie chciał. Tak więc, tradycyjnie, chłopcy zajęli jedną stronę sali, a dziewczęta drugą. Theo poskubał trochę pizzę z wierzchu i popił wodą z butelki, ale nie myślał o jedzeniu. Był pewien, że widział Pete'a Duffy'ego. Pamiętał nawet chód tego człowieka, gdy ten wkraczał na salę sądową i opuszczał ją w trakcie procesu. Identyczny krok. Ten sam wzrost i budowa ciała. Zdecydowanie te same oczy, nos, czoło i podbródek. Theo zamknął się w łazience hotelowej i obejrzał nagranie na swoim telefonie z kilkanaście razy.

Znalazł Pete'a Duffy'ego! Wciąż nie mógł w to uwierzyć i nie bardzo wiedział, co robić dalej, ale w tym całym podnieceniu prawie zapomniał o czymś ważnym. Kiedy Duffy uciekł z miasta, policja wyznaczyła nagrodę w wysokości stu tysięcy dolarów za informację mogącą doprowadzić do jego aresztowania i skazania.

W swoim pokoju, jeszcze przed kolacją, Theo zajął się internetem i sprawdził to. Na stronie komendy policji w Strattenburgu znalazł sporo na temat sprawy Duffy'ego. Było tam też kilka zbliżeń jego twarzy.

* * *

Korzystanie z komórek podczas posiłków było surowo zakazane – jeśli opiekun kogoś przyłapał, telefon natychmiast konfiskowano. Mniej więcej w połowie kolacji Theo poinformował pana Mounta, że musi pójść do toalety. Kiedy już się tam znalazł, zamknął się w jednej z kabin i zadzwonił do Ike'a.

– Wydawało mi się, że jesteś w Waszyngtonie – powiedział stryj.

– Jestem. Słuchaj, Ike, widziałem w metrze Pete'a Duffy'ego. Wiem, że to on.

– Myślałem, że przebywa w Kambodży albo w jakimś innym kraju.

– Nie. Jest tu, w Waszyngtonie. Nagrałem go na komórkę. Zaraz ci to prześlę. Przyjrzyj się, a ja zadzwonię do ciebie później.

– Mówisz poważnie, prawda? – upewnił się Ike, którego głos nabrał nagle ostrości.

– Śmiertelnie poważnie. Do usłyszenia.

Theo przesłał szybko nagranie stryjowi, wyszedł z toalety i wrócił czym prędzej do sali balowej.

Po kolacji, kiedy się ściemniło, ośmioklasiści załadowali się do czterech autokarów i ruszyli pod mauzoleum Lincolna. Po przybyciu na miejsce uczniowie kręcili się wokół słynnego posągu prezydenta, który siedział i spoglądał z powagą (czy ten facet uśmiechał się kiedykolwiek? – zastanawiał się Theo), trzymając dłonie na oparciach swego tronu. Oświetlenie rzucało cienie na jego oblicze i Theo uznał je za niesamowite. Pan Babcock, który był najwidoczniej wielbicielem Lincolna, ustawił z pomocą pracownika parku duży ekran u podnóża schodów – dokładnie pięćdziesiąt osiem stopni – a uczniowie zebrali się wokół niego, gotowi na krótki wykład. Słuchali w całkowitej ciszy, podczas gdy nauczyciel historii przytaczał najważniejsze wydarzenia z życia Lincolna; już przerabiali ten materiał w klasie, teraz jednak, kiedy siedzieli na schodach mauzoleum, wydawał się znacznie ciekawszy. Pan Babcock, nauczyciel oddany swemu powołaniu, pokazywał zdjęcia ilustrujące kolejne etapy w życiu prezydenta.

Choć uczniowie siedzieli na marmurowych stopniach, nie wiercili się i nie szeptali między sobą. Słuchali wykładu z dużym zainteresowaniem. Theo odwrócił wzrok i jego oczom ukazał się niezwykle widok – Sądowa Lustrzana. Za nią, półtora kilometra dalej, wznosił się Washington Monument, także skąpany w doskonałej iluminacji. A za nim, kolejne półtora kilometra dalej, był Kapitol, którego kopuła błyszczała okazale w nocnej ciemności. Theo znów się obrócił i zobaczył, że prezydent Lincoln patrzy na nich z góry.

Wiedział, że nigdy nie zapomni tej chwili.

Kiedy pan Babcock skończył, nagrodzili go brawami. Potem przyszła kolej na panią Greenwood, popularną Afroamerykankę, która uczyła dziewczęta

angielskiego. Najpierw poprosiła, żeby uczniowie popatrzyli na Washington Monument i spróbowali wyobrazić sobie w tym miejscu ćwierć miliona ludzi. Dwudziestego ósmego sierpnia 1963 roku Afroamerykanie z całych Stanów Zjednoczonych ruszyli na Waszyngton, by domagać się sprawiedliwości i równości. Przewodził im młody pastor baptystyczny z Atlanty, doktor Martin Luther King.

Pani Greenwood wyświetlała jednocześnie obrazy na ekranie – zdjęcia tłumów zgromadzonych tego dnia, ludzi, którzy maszerowali i nieśli transparenty. Wyjaśniła, że doktor King, stojąc na prowizorycznym podium – pod dumnym spojrzeniem prezydenta, który położył kres niewolnictwu – wygłosił wówczas jedno z najsłynniejszych przemówień w historii Ameryki. Następnie puściła czarno-białe nagranie z przemówieniem Kinga, który opowiadał o swoim śnie.

Theo widział wcześniej to wystąpienie i słyszał tę mowę, ale teraz była o wiele bardziej poruszająca. Gdy słowa pastora rozbrzmiewały w nocnej ciszy, spojrział na plac i próbował sobie wyobrazić, jak to było tamtego dnia, kiedy tłoczyły się tu tysiące ludzi, słuchając przesłania, które miało żyć wiecznie.

Nauczycielka też została nagrodzona oklaskami. Pan Mount powiedział, że nie będzie już więcej wykładów. Uczniom pozwolono spędzić około godziny przy Sadzawce Lustrzanej. Theo wyszukał sobie ławkę w parku i przesłał Ike'owi wiadomość: *Dostałeś nagranie? Co myślisz?*

Ike, jak się okazało, już czekał. *Powiedziałbym, że to Duffy. Pogadajmy.*

Okay. Później.

* * *

W hotelu, gdy trzej współlokatorzy Theo oglądali telewizję, czekając na polecenie pana Mounta „gasić światło”, poszedł do łazienki, zamknął starannie drzwi i usiadł na sedesie. Zadzwoił do Ike'a, który, jak się okazało, czekał z telefonem w ręce.

– Powiedziałaś komuś? – spytał.

– Oczywiście, że nie – odparł Theo. – Tylko tobie. Co robimy?

– Zastanawiałem się nad tym i mam pewien plan. Złapię poranny samolot do Waszyngtonu i wyląduję około dwunastej na National. Chcę być w metrze po południu i jeśli będzie jechał, w miarę możliwości go śledzić. Potrzebna mi godzina, stacja i linia metra.

Theo sporządził już notatki i nauczył się ich na pamięć.

– To czerwona linia. Wsiedliśmy na stacji Metro Center. Jestem pewien, że był już w pociągu od jakiegoś czasu.

– Ile było wagonów?

– No, tak na oko to siedem albo osiem.

– I do którego wsiadłeś?

– Nie wiem, ale chyba blisko środka.

– Która była godzina?

– Między wpół do piątej a piątą. Jechał czerwoną linią i wysiadł przy Tenleytown. Szedłem za nim jakieś trzy przecznicę, zanim go zgubiłem. Nie chciałem się oddalać od stacji. Nie moje rejony, rozumiesz.

– W porządku, to wszystko, czego mi trzeba. Przyjadę jutro. Będziesz pewnie przez cały dzień zajęty.

– Cały dzień i wieczór. Mamy zwiedzać Instytut Smithsona.

– Baw się dobrze. Prześlę ci jutro wieczorem SMS-a.

Theo cieszył się, że może liczyć na pomoc kogoś dorosłego, nawet jeśli był to stryj Ike. Martwił się jednak jego wyglądem. Ike był dobrze po sześćdziesiątce i nie starzał się zbyt ładnie. Długie białe włosy wiązał w kucyk i miał rzadką szarą brodę; nosił zazwyczaj funkowy podkoszulek, stare podarte džinsy, dziwaczne okulary i sandały, nawet kiedy było zimno. Biorąc wszystko pod uwagę, Ike Boone należał do osób, które zamiast unikać zwracania na siebie uwagi, przyciągają ją. Prowadził samotniczy tryb życia, ale i tak był w mieście znany. Jeśli Pete Duffy kiedykolwiek spotkał Ike'a, należało z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że go zapamiętał. Z pewnością Ike postara się więc za wszelką cenę zmienić wygląd.

Leżąc w ciemności, podczas gdy inni już dawno zasnęli, Theo wpatrywał się w sufit i rozmyślał o Pecie Duffym i morderstwie, które popełnił. Z jednej strony odczuwał dreszcz podniecenia na myśl, że przyczyni się do jego schwytania, ale z drugiej – był przerażony tym, co to może oznaczać. Pete Duffy miał kilku niebezpiecznych przyjaciół, a ci wciąż kręcili się po Strattenburgu.

Gdyby złapali Pete'a Duffy'ego – jeśli rzeczywiście to był on – i postawili go ponownie przed sądem, Theo wolałby, żeby nie wymieniano przy tej okazji jego nazwiska.

A Ike? On by się nie przejmował. Ike przeżył trzy lata w więzieniu. Niczego się nie bał.

Rozdział 4

O dziewiątej rano w piątek pod wschodnie wejście do Instytutu Smithsona podjechały cztery autokary, z których wysiedli wszyscy ośmioklasiści ze Strattenburga. Instytut Smithsona jest największym muzeum na świecie; można tam spędzić tydzień, a i tak nie obejrzy się wszystkiego. Wcześniej, planując wycieczkę, pan Mount wyjaśnił klasie, że mieści się tam w gruncie rzeczy dziewiętnaście różnych muzeów i ogród zoologiczny, a także mnóstwo kolekcji i galerii, a jedenaście z nich znajduje się na terenie parku National Mall. Zbiory Instytutu Smithsona obejmują sto trzydzieści osiem milionów eksponatów – wszystko, co można sobie tylko wyobrazić – i jest on nazywany „strychem narodu”. Co roku odwiedza go trzydzieści milionów ludzi.

Uczniowie podzielili się na grupy. Theo wraz z czterdziestoma innymi ruszył do Muzeum Historii, Nauki i Technologii Lotnictwa i Lotów Kosmicznych. Spędzili tam trzy godziny, po czym wymienili się z inną grupą i odwiedzili Muzeum Historii Amerykańskiej.

O wpół do trzeciej Theo dostał od Ike'a wiadomość: *Jestem w mieście, będę poznawał metro*. Chłopak miał już dość muzeów i żałował, że nie może się wymknąć i zająć wraz ze stryjem robotą detektywistyczną. O piątej miał wrażenie, że obejrzał sto milionów eksponatów i musi odpocząć. Wszyscy wsiedli do autokarów i wrócili do hotelu na kolację.

Za piętnaście siódma, kiedy Theo odpoczywał w swoim pokoju, oglądając telewizję, otrzymał kolejną wiadomość od Ike'a: *Na dole, w holu. Możesz zejść?*

Odpisał: *Jasne*. Powiedział Chase'owi, Woody'emu i Aaraonowi, że do hotelu wpadł jego stryj i że chce się przywitać. Kilka minut później krążył po holu, ale nie mógł nigdzie znaleźć Ike'a. W końcu pomachał do niego mężczyzna siedzący w barze, a Theo się zorientował, że to stryj. Ciemny garnitur, brązowe skórzane buty, biała koszula bez krawata i coś w rodzaju beretu na głowie, co niemal całkowicie zakrywało siwe włosy. Te dłuższe chowały się pod kołnierzem. Theo nigdy by go nie rozpoznał.

Ike popijał kawę i uśmiechał się do swego ulubionego bratanka.

– I jak tam wspaniała wycieczka do Waszyngtonu? – spytał.

Theo westchnął ciężko jak człowiek bardzo wyczerpany. Zrelacjonował pospiesznie dzień spędzony w Instytucie Smithsona.

– Dziś wieczorem oglądamy film dokumentalny w Newseum – powiedział. – Jutro zaliczamy Washington Monument, a potem odwiedzimy mauzolea wojenne. W niedzielę idziemy do Kapitolu, Białego Domu i mauzoleum Jeffersona, a w poniedziałek będę pewnie gotów wrócić już do domu.

– Ale dobrze się bawisz, co?

– Jasne. W Teatrze Forda było super. Tak jak w mauzoleum Lincolna. Widziałeś Pete’a Duffy’ego?

– Pójdziecie obejrzeć pomnik weteranów wojny wietnamskiej?

– Tak, mamy to w planie.

– Dobrze, jak już tam będziesz, poszukaj nazwiska Joela Furnissa. Dorastaliśmy razem i kończyliśmy w tym samym czasie szkołę. Był pierwszym chłopakiem z hrabstwa Stratten, który zginął w Wietnamie, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym. Było jeszcze czterech innych. Ich imiona i nazwiska wyryte są na pomniku pod naszym gmachem sądu. Pewnie je widziałeś.

– Tak, widziałem. Widzę cały czas. Uczyliśmy się o tej wojnie na lekcjach historii i jeśli mam być szczery, w ogóle jej nie rozumiem.

– My też jej nie rozumieliśmy. To była tragedia narodowa. – Ike łyknął kawy i wydawało się przez chwilę, że patrzy gdzieś w dal.

– Widziałeś Pete’a Duffy’ego? – powtórzył Theo.

– O tak – odparł Ike, wracając do rzeczywistości i rozglądając się, jakby w obawie, że ktoś ich usłyszy. W promieniu dziesięciu metrów nikt nie siedział. Theo zerknął w stronę szerokiego, otwartego holu i zobaczył z daleka pana Mounta.

– Sterczałem na stacji Judiciary Square, dwa przystanki przed Metro Center, gdzie wsiedliście wczoraj do pociągu. Nie widziałem nikogo znajomego. Pociąg przyjechał za piętnaście piąta. Osiem wagonów. Wsiadłem do trzeciego, rozejrzałem się szybko, ale nikogo nie zauważyłem. Na stacji Metro Center przeszedłem do czwartego wagonu. Nikogo. Na Farragut North przeszedłem do piątego i bingo! Był zatłoczony, tak jak mówiłeś, a ja przysuwałem się powoli do człowieka, którego nazywamy Pete’em Duffym. Chował się za gazetą, lecz widziałem jego profil. Ani razu nie podniósł wzroku, ani razu się nie rozejrzał, był całkowicie zatopiony w swoim świecie. Wycofałem się i schowałem w tłumie. Przed stacją Tenleytown złożył gazetę i wstał. Pociąg się zatrzymał, a on wysiadł. Ruszyłem za nim i udało mi się dotrzeć do niewielkiego budynku mieszkalnego przy Czterdziestej Czwartej Ulicy, do którego szybko wszedł. Przypuszczam, że właśnie tam się ukrywa.

– Dlaczego miałyby się ukrywać w Waszyngtonie? Dlaczego nie w Meksyku albo Australii?

– Ponieważ spodziewaliśmy się, że tam właśnie wyjedzie. Bywa, że ludzie, którzy wcale się nie ukrywają, nigdy nie zostają odnalezieni.

– Widziałem kiedyś film o człowieku, który uciekał przed FBI i poddawał się operacjom plastycznym. Myślisz, że Duffy też tak zrobił?

– Nie, ale na pewno zmienił kolor włosów i zapuścił wąsy. Nosi okulary, ale to tylko zmyłka. Widziałem, jak czyta gazetę. Patrzył ponad szklami.

– Więc dlaczego tu jest?

– Nie wiem, może czeka na nowe dokumenty: prawo jazdy, świadectwo urodzenia, kartę ubezpieczenia społecznego, paszport. W Waszyngtonie działa wielu dobrych fałszerzy i są szemrane firmy, które wytwarzają wszelkiego rodzaju dokumenty wyglądające na autentyczne. Bez dobrych papierów niełatwo

zwiąc z kraju, kiedy cię ścigają. Może trzyma tu pieniądze. Albo ma tutaj kilku przyjaciół, którzy pomagają mu zaplanować ucieczkę. Nie wiem, Theo, ale załóż się, że nie zostanie tu długo.

– Dobra, Ike, to ty jesteś dorosły. Jaki mamy plan?

– Hm... musimy działać szybko. Odlatuję stąd dopiero jutro w południe, więc myślę, że trzeba wstać wcześniej i znowu wsiąść do metra. Spróbuję dorwać go na Tenleytown i pójść za nim, zorientować się, dokąd chodzi w ciągu dnia. Będę bardzo ostrożny, bo jeśli nabierze podejrzeń, znowu zniknie. Potem wskoczę do samolotu i jutro wieczorem będę z powrotem w Strattenburgu. Słyszałeś o programie FuzziFace?

– Nie. Co to takiego?

– Instalujesz go, co kosztuje około stu dolców, a potem możesz porównywać fotografie twarzy, żeby zidentyfikować każdego, kogo szukasz. Znajdę stare zdjęcie Pete'a Duffy'ego, prawdopodobnie z archiwum redakcyjnego, i spróbuję porównać je z obrazem z twojego telefonu. Jeśli okaże się, że pasuje, następnym krokiem będzie powiadomienie policji. W czwartki grywam wieczorami w pokera z emerytowanym detektywem, Slatsem Stillmanem, starym facetem, który wciąż przyjaźni się z szefem policji. Skonsultuję się ze Slatsem i poproszę o radę. Myślę, że policja zacznie szybko działać. Przy odrobinie szczęścia zamkną Duffy'ego w ciągu kilku dni. I ściągną go czym prędzej do Strattenburga na następny proces.

– Duży proces, prawda?

– Tak jak ten poprzedni, tyle że dojdzie jeszcze zarzut ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości. Będzie załatwiony, Theo, a ty zostaniesz bohaterem.

– Nie chcę być bohaterem, Ike. Wciąż myślę o Omarze Cheepie, Paco i tych innych twardzielach, którzy pracowali dla Pete'a Duffy'ego. Jestem pewien, że wciąż są aktywni. Nie chcę, żeby ktokolwiek wymienił moje nazwisko.

– Wierzę, że uda się nam działać dyskretnie.

– Jeśli dojdzie do dużego procesu, to znaczy, że będzie musiał też zeznawać Bobby Escobar.

– Oczywiście. To główny świadek. Wciąż jest w mieście, prawda?

– Tak sądzę, ale... kiedy ostatnim razem rozmawiałem z Juliem, mieszkali w tym samym miejscu i wciąż czekali na dokumenty imigracyjne.

– Bobby nadal pracuje na polu golfowym?

– Chyba tak. I to mnie martwi, Ike.

– Posłuchaj, jestem pewien, że policja da ochronę Bobby'emu Escobarowi. Bez jego zeznań prokuraturze ciężko będzie udowodnić Duffy'emu winę, więc będą pilnować Escobara. Nie możemy dopuścić, żeby zbiry wpływały na nasz system sądowniczy. Jesteś synem prawników, wiesz, jak ważne są uczciwe procesy. Wszystkiego będzie pilnował sędzia Gantry i jeśli wyczuje jakiegokolwiek groźby pod adresem świadka, rozprawi się z Duffym i jego gangiem. Czas wkroczyć do akcji.

Theo podejrzewał, że chęć, z jaką Ike zamierzał przyszpilić Duffy'ego i bronić idei uczciwych procesów, miała też związek z wyznaczoną nagrodą: stoma

tysiącami dolarów.

– Muszę lecieć – powiedział. – Uważaj jutro na siebie.

– Nie dam się przyłapać, Theo. Nie rozpoznałeś mnie, prawda?

– Nie. Wyglądasz teraz znacznie lepiej, niemal jak prawnik z krwi i kości.

– Jezu, dzięki. A na jutro mam inne przebranie. Czas wrócić do starych ciuchów.

– Cieszę się, że przyjechałeś, Ike.

– Takiej okazji nie przegapiłbym za żadne skarby świata. To największa frajda od czasu, jak wyszedłem z więzienia.

– Do zobaczenia.

– Uważaj na siebie i baw się dobrze. No i miłej roboty.

Jadąc windą na swoje piętro, Theo zadawał sobie pytanie, czy postępuje słusznie. Perspektywa postawienia mordercy przed obliczem sprawiedliwości wydawała się kusząca, ale mogło to mieć swoją cenę. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do rodziców i nie powiedzieć im o wszystkim, ale wiedział, że tylko by ich zaniepokoił. Miał spędzać w Waszyngtonie czas jako turysta, a nie bawić się w detektywa i ścigać zabójcę.

Ufał stryjowi. Ike zawsze wiedział, co robić.

* * *

Wczesnym rankiem w sobotę Theo, jego koledzy z pokoju i czterdziestu pozostałych uczniów wysiedli z autokaru niedaleko National Mall i skierowali się w stronę Washington Monument. Kiedy się do niego zbliżyli, pan Mount dał znak, że zaczyna się wycieczka. Wyjaśnił, że pomnik, wzniesiony oczywiście na cześć pierwszego prezydenta, to prawdziwy obelisk skonstruowany z marmuru i granitu. Ma prawie sto siedemdziesiąt metrów i jest najwyższym tego rodzaju obeliskiem na świecie, a kiedy go postawiono w 1884 roku, był też najwyższą budowlą – aż do roku 1889, gdy w Paryżu stanęła wieża Eiffla. Zaczęto go wznosić w 1848 roku, a osiągnięcie pierwszych czterdziestu pięciu metrów zajęło sześć lat. Potem z różnych powodów – jak brak funduszy czy wojna secesyjna – prace nad pomnikiem przerwano na dwadzieścia trzy lata.

Theo nie wiedział, jak to jest w przypadku innych uczniów, ale po dwóch dniach bezustannej lekcji historii wszystkie daty i liczby zaczęły mu się mieszać.

Zebrali się u stóp budowli, czekali w kolejce prawie godzinę, po czym weszli do holu na parterze. Przyjacielski pracownik zaprowadził ich do windy i zamknął drzwi. Siedemdziesiąt sekund później wyszli na taras znajdujący się na wysokości stu pięćdziesięciu metrów nad ziemią. Widok zapierał dech w piersiach – Sądawka Lustrzana i mauzoleum Lincolna na zachodzie, na północy park Ellipse i Biały Dom, na wschodzie wspaniała Kapitol, a na południowym wschodzie Instytut Smithsona i szeregi budynków rządowych. Pod tarasem znajdowało się muzeum, a w nim jeszcze więcej historii.

Po dwóch godzinach byli gotowi ruszyć dalej. Zjechali windą do holu i opuścili budynek.

O jedenastej czterdzieści sześć Theo dostał wiadomość od Ike'a: *Ani śladu Duffy'ego. Pewnie w soboty zajmuje się czymś innym. Jestem na lotnisku, wracam do domu, zobaczymy się na miejscu.*

Rozdział 5

W poniedziałek po południu pani Boone odebrała syna spod szkoły. Podczas dziesięciominutowej jazdy do domu chciała dowiedzieć się wszystkiego o wycieczce i Waszyngtonie. Theo był zmęczony – spał w niedzielę niewiele, ponieważ Woody i Aaron bawili się w idiotyczną grę, która polegała na tym, żeby żaden nie zasnął aż do rana; nie zmrużył też oka w autokarze, ponieważ wszyscy się tłukli i popychali, grała głośna muzyka, było dużo śmiechu i oczywiście puszczania bąków. Miał więc matce niewiele do powiedzenia. Obiecał, że zda jej pełną relację, gdy już się prześpi. W domu przyrzęła mu tost z serem i spytała, kiedy ostatnio brał prysznic. Wydawało mu się, że w piątek albo sobotę. Matka kazała mu się wykapać od razu po posiłku. Gdy poszedł pod prysznic, ona wróciła do kancelarii.

Theo Boone nie uciał sobie drzemki. Choć czuł się śmiertelnie zmęczony, musiał się dokądś udać. W końcu było poniedziałkowe popołudnie, a o tej porze obowiązkowo odwiedzał stryja. Nie zawsze cieszył się z tych wizyt, ale tego dnia było inaczej. Mieli ważną sprawę do omówienia.

Ike przepuścił kilka starych zdjęć Pete'a Duffy'ego przez FuzziFace, a Theo był bardzo ciekaw, co udało mu się ustalić.

Zastał dawnego Ike'a – bez ciemnego garnituru, białej koszuli, bez błyszczących skórzanych pantofli, ubranego w jego klasyczny strój: wypłowiałe dżinsy, równie wypłowiałe podkoszulek i sandały. Kiedy Theo i Asesor wbiegli na schody prowadzące do niechlujnego biura, ze stereo dobiegał cichy głos Boba Dylana. Ike był podekscytowany i przez piętnaście minut pokazywał bratankowi na swoim laptopie przeróżne wizerunki Pete'a Duffy'ego. Program przeanalizował każdy centymetr kwadratowy twarzy Duffy'ego ze starych fotografii, które Ike zdołał wyszukać, i porównał ze zdjęciami z nagrania Theo. Wynik: osiemdziesiąt pięć procent szans, że to Duffy.

Żaden nie miał wątpliwości.

– Co teraz? – spytał Theo.

– Powiedziałaś rodzicom?

– Nie, ale trzeba będzie. Nie lubię nic przed nimi ukrywać, zwłaszcza czegoś tak ważnego. Już i tak mogą się wkurzyć, jak usłyszą, co zrobiliśmy do tej pory.

– No dobrze. Kiedy chcesz im powiedzieć?

– Może teraz? Oboje są w kancelarii. Jest poniedziałek, więc jak zawsze wybiorą się do Robilia na kolację. Spotkajmy się z nimi za jakieś pół godziny. Pójdiesz ze mną?

Pytanie było trudne, ponieważ Ike unikał wizyt w kancelarii prawniczej Boone i Boone. Kiedyś tam pracował. Przed laty razem z ojcem Theo założył

w tym samym budynku ich pierwszą kancelarię prawniczą. Potem stało się coś złego. Ike wpakował się w kłopoty, opuścił kancelarię na kiepskich warunkach, stracił uprawnienia do wykonywania zawodu, poszedł do więzienia i teraz unikał wszystkiego, co było związane z jego dawną pracą. Ale dzięki Theo trudne relacje między Ikiem i Woodsem Boone'em zaczęły się poprawiać. Podczas pierwszego procesu Duffy'ego Ike pojawił się pewnego wieczoru w kancelarii, kiedy zajrzał tam sędzia Gantry, by przeprowadzić poważną rozmowę z całą rodziną.

Ike zrobiłby dla bratanka niemal wszystko.

– Jasne – odparł. – Pójdziemy.

– Wspaniale. Spotkamy się na miejscu.

Theo i Asesor wyszli pospiesznie. Po czterech dniach spędzonych w Waszyngtonie chłopak, jadąc na rowerze po ulicach Strattenburga, czuł dreszcz podniecenia. To były jego ulice, a on znał każdą z nich, każdą alejkę i każdy skrót. Nie wyobrażał sobie, by mógł funkcjonować w wielkim mieście, gdzie ulice były zakorkowane przez samochody, a na chodnikach tłoczyli się przechodnie.

Wybrał okrężną drogę i dotarł na miejsce o wpół do szóstej, kiedy Elsa Miller sprzątała na swoim biurku, zamykała drzwi wejściowe i szła do domu. Była w firmie recepcjonistką i główną sekretarką, a także bardzo ważną osobą w życiu Boone'ów. Zachowywała się jak rodzona babka Theo i w tej chwili rzuciłaby się na niego ze zdumiewającą energią – zdumiewającą tym bardziej, że kobieta miała siedemdziesiątkę – i zasypała go setką pytań na temat wycieczki do Waszyngtonu. Theo nie był w nastroju, więc zrobił kilka okrążeń po sąsiednich uliczkach, z Asesorem truchtającym tuż za nim, po czym ukrył się za drzewem w głębi ulicy – był to jego ulubiony punkt obserwacyjny – i czekał, aż Elsa odjedzie. Potem wszedł do budynku tylnymi drzwiami i udał się prosto do gabinetu matki. Jak zwykle rozmawiała przez telefon. Asesor usadowił się na posłaniu przy biurku Elsy, jednym z trzech takich legowisk w kancelarii, podczas gdy Theo poszedł na górę, gdzie urzędował ojciec.

Woods Boone palił akurat fajkę i czytał jakiś dokument. Biurko było zavalone papierzyskami i teczkami; niektórych nie dotykano przez miesiące, a nawet lata. Uśmiechnął się na widok syna.

– No, no, jak tam wielka wycieczka? – spytał.

– Wspaniale, tato. Opowiem ci wszystko przy kolacji. Ale teraz musimy o czymś porozmawiać. To bardzo ważne.

– Co takiego zrobiłeś? – Pan Boone zmarszczył nagle czoło.

– Nic, tato. No, w każdym razie nic szczególnego. Słuchaj, Ike tu zaraz będzie. Trzeba zwołać zebranie rodzinne.

– Ike? Zebranie rodzinne? Czy powinienem zacząć się martwić?

– Czy możemy po prostu spotkać się z tobą i mamą w pokoju konferencyjnym i o tym porozmawiać?

– Jasne – odparł ojciec, odkładając fajkę, wstał i ruszył za synem na dół.

Ike pukał już do drzwi i Theo mu otworzył.

– Co się dzieje? – spytała pani Boone, wychodząc ze swojego gabinetu.

– Musimy pomówić – wyjaśnił Theo.

Uściskała pospiesznie szwagra jak ktoś, kto musi się tak zachować, ale nie ma na to specjalnej ochoty. Spojrzała z ciekawością na męża, jakby chciała spytać: „Co tym razem przeskrobał?”

Kiedy już zasiedli przy stole konferencyjnym, Theo opowiedział całą historię: miniony czwartek w Waszyngtonie, wyjście z Teatru Forda, zatłoczone metro, człowiek, który wyglądał jak Pete Duffy, zrobione ukradkiem nagranie, telefon do Ike'a, jego szybki przyjazd do Waszyngtonu, kolejne namierzenie Duffy'ego, śledzenie go aż do zapuszczonego budynku, program FuzziFace i analiza zdjęć, wreszcie, co najważniejsze, ich przekonanie, że człowiek ten to rzeczywiście Pete Duffy.

Państwo Boone'owie siedzieli oniemiały.

Ike miał ze sobą laptopa, a Theo potrzebował tylko kilku sekund, żeby podłączyć go do dużego ekranu na ścianie.

– Patrzcie – powiedział, puszczając nagranie w zwolnionym tempie. Zatrzymał je po chwili. – To najlepsze ujęcie. – Był to obraz lewego profilu mężczyzny, który akurat opuścił gazetę.

Ike stuknął w klawiaturę i na ekranie obok widniejącej na nim twarzy pojawiła się fotografia z jakiejś starej gazety. Mężczyźni wyglądali bardzo podobnie.

– No cóż, powiedziałbym, że to jeden i ten sam człowiek – odezwał się pan Boone.

Jego żona była jak zawsze sceptyczna.

– Nie jestem taka pewna.

– Och, to on – oświadczył Ike.

– Nawet porusza się jak Pete Duffy – dodał Theo.

– A kiedy to widziałeś, jak pan Duffy się porusza? – spytał ojciec.

– Podczas procesu. Pierwszego dnia chodziliśmy za nim i jego obrońcami – odparł chłopiec. – Pamiętam to dokładnie.

– Znowu czytałeś powieści szpiegowskie? – spytała go matka. Wciąż patrzyła wraz z mężem na ekran.

Theo nie odpowiedział.

– Co zamierzasz? – zwróciła się do szwagra pani Boone.

– No cóż, musimy iść na policję, pokazać te zdjęcia i powiedzieć wszystko, co wiemy. Niech oni decydują.

Rozważali to przez chwilę.

– Może się jednak pojawić pewien problem – zauważył Ike. – Nasza komenda policji jest niezła, ale Duffy ma wielu przyjaciół. Mogą być przecieki. Jedno nieostrożne słowo tu czy tam, potem szybki telefon i Duffy rozplynie się w powietrzu.

– Chcesz powiedzieć, że ma wtyczkę w naszej komendzie policji? – spytała pani Boone, unosząc sceptycznie brwi.

– Nie zdziwiłoby mnie to.

– Mnie też nie – przyznał pan Boone.

Theo był zszokowany tą sugestią. Jeśli nie można ufać policji, to komu?

Kolejna długa chwila milczenia, gdy cała czwórka wpatrywała się w ekran i zastanawiała nad sytuacją.

– Co myślisz, Ike? – spytała w końcu pani Boone.

– To zbieg, obecnie numer siedem na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych osób FBI. Więc idziemy do FBI i nie mieszamy w to policji ze Strattenburga.

– Cokolwiek zrobimy, Theo trzyma się od tego z daleka – powiedział pan Boone.

Jego syn zgadzał się z tym całkowicie. Im bardziej zagłębiał się w sprawę Duffy’ego, tym bardziej był zaniepokojony. Myśl o współpracy z prawdziwym FBI wydawała mu się jednak ekscytująca.

– Oczywiście, że tak – zgodził się Ike. – Ale przypuszczam, że agenci będą chcieli się z nim spotkać i wysłuchać jego wersji. Spróbujemy zachować wszystko w ścisłej tajemnicy.

– A kiedy, według ciebie, mamy się skontaktować z FBI? – spytał go brat.

– Jak najszybciej. Zadzwoń do nich z samego rana i umówię się. Proponuję, żebyśmy spotkali się tutaj, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Nie pójdę jutro do szkoły? – spytał Theo z nadzieją w głosie.

– Pójdiesz – oznajmiła ostrym tonem matka. – Nie byłeś na lekcjach w czwartek, piątek i dzisiaj. Jutro masz być. Jeśli się spotkamy, to po szkole. Pasuje ci to, Ike?

– Jasne.

Zaprosili Ike’a na kolację do Robilia, gdzie jadali w każdy poniedziałek, ale odmówił, twierdząc, że musi wracać do biura. Theo poczuł ulgę, ponieważ obecność stryja podczas posiłku oznaczałaby rozmowy na temat sprawy Duffy’ego, a on miał jej chwilowo dosyć.

Kręcił się po kancelarii przez pół godziny, potem poszedł z Asesorem do domu. Punktualnie o siódmej Boone’owie usiedli przy ulubionym stoliku w restauracji i zamówili to samo co tydzień wcześniej, a także dwa tygodnie wcześniej. Kiedy czekali na jedzenie, Theo zaczął długą relację z wycieczki do Waszyngtonu. Jak zawsze, rodzice zasypywali go pytaniami – o muzea i pomniki, hotel, kolegów. Czy wszyscy się odpowiednio zachowywali? Jakież problemy? Co mu się najbardziej podobało? I tak dalej. Opowiadał o każdym szczególe, jaki tylko zdołał sobie przypomnieć, może z wyjątkiem wybryków w autokarze. Przykuł uwagę rodziców dokładnym opisem zabójstwa prezydenta Lincolna. Odnalazł na pomniku weteranów wojny wietnamskiej nazwisko Joela Furnissa, młodego żołnierza, którego Ike znał w dzieciństwie i który poległ w tej wojnie jako pierwszy mieszkaniec ich hrabstwa. Podobał mu się bardzo Washington Monument, Muzeum Historii, Nauki i Technologii Lotnictwa i Lotów Kosmicznych, a także inne pomniki upamiętniające wojnę, ale Instytut Smithsona raczej go znudził.

Pani Boone spytała, czy chciałby wrócić do Waszyngtonu i spędzić tam cały tydzień na oglądaniu innych atrakcji. Rozmawiała już z mężem o tym, by pojechać tam na wakacje. Theo nie był taki pewien. Chwilowo widział już dosyć.

Położył się wcześniej i przespał dziewięć godzin.

Rozdział 6

Wczesnym rankiem we wtorek, kiedy Theo był w szkole, Ike skontaktował się z biurem FBI w Northchester, o godzinę drogi od Strattesburga. Pierwszy telefon zaowocował drugim, a potem trzecim; sprawa stała się pilna. Zadzwoniono też do rodziców Theo i umówiono się na spotkanie.

Theo jadł lunch z April Finnemore, kiedy dyrektorka, pani Gladwell, wyłoniła się nagle znikąd i wyszeptała do niego:

– Theo, dzwoniła właśnie twoja matka. Prosiła, żeby cię zwolnić. Chce, żebyś jak najszybciej zjawił się w kancelarii.

Doskonale wiedział, o co chodzi, ale nie zdradził nic April. Wziął swój plecak, powiadomił pannę Glorię w sekretariacie, że wychodzi, i wskoczył na rower. Kilka minut później zatrzymał się przed kancelarią Boone i Boone.

Czekali na niego rodzice, Ike i dwaj agenci FBI – biały i Afroamerykanin. Ten biały nazywał się Ackerman i był trochę starszy; miał siwe pasemka w ciemnych włosach. Przywitał się z Theo, marszcząc czoło – jak się później okazało, robił to często. Ten czarnoskóry nazywał się Slade, był chudy jak szczapa i miał idealne uzębienie. Wszyscy musieli przecierpieć kilka minut nerwowej rozmowy, nim przystąpili do sprawy. Theo opowiedział całą historię. Ike pokazał nagranie, potem dokonał porównania ze zdjęciami Duffy’ego. Następnie znów przyszła kolej na Theo; odpowiadał na pytania agentów. Rodzice siedzieli obok niego w milczeniu, gotowi jednak otoczyć go opieką, gdyby zaszła taka konieczność. Ackerman spytał, czy mogą zrobić kopię nagrania. Pani Boone powiedziała, że tak, oczywiście. Po półgodzinnej dyskusji Slade wyszedł z pokoju konferencyjnego, żeby zadzwonić do swojego szefa w biurze.

Elsa przyniosła kanapki i zdołała obrzucić Theo spojrzeniem, które mówiło: „Co tym razem narozrabiałeś, na litość boską?”. Starał się nie zwracać na nią uwagi. Kiedy jedli, obaj agenci zadawali mu grzecznie te same pytania, raz za razem, robiąc cały czas notatki i zapisując szczegóły. Pora dnia, stacje metra, liczba wagonów, dokładne miejsce zajmowane przez „obiekt”. Nie nazywali go imieniem i nazwiskiem, Pete Duffy; określali go bezustannie jako „obiekt”. Minęła kolejna godzina, podczas której ponownie oglądali nagranie, rozmawiali i czekali na wiadomość z biura FBI w Northchester. Pani Boone wyszła, żeby przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych, a gdy wróciła, jej mąż poszedł na górę, by zająć się kilkoma pilnymi sprawami. W pewnej chwili obaj agenci rozmawiali jednocześnie przez komórki, obróceniem plecami do pozostałych, przekazując ważne szczegóły niemal szeptem. Kiedy jeden nie rozmawiał, robił to drugi. Wraz z upływem popołudnia zdradzali coraz większe ożywienie.

Wydawało się – tak przynajmniej sądził Theo – że udało im się postawić w stan gotowości ważniejszych ludzi w Biurze.

Około czternastej Slade skończył rozmawiać przez telefon i położył komórkę na stole.

– Okay, plan jest taki – powiedział. – Przesłaliśmy nagranie i zdjęcie do biura w Waszyngtonie. Badają je w tej chwili nasi specjaliści, ale po wstępnej analizie twierdzą, że ten facet to Pete Duffy, tak na osiemdziesiąt procent. Dziś po południu do metra uda się kilku agentów, obstawimy też to mieszkanie przy Czterdziestej Czwartej Ulicy. Nakaz aresztowania Duffy’ego wciąż jest ważny, więc od strony formalnej sprawa jest załatwiona. Jeśli nasi ludzie go zauważą, zatrzymają go i przeszukają jego mieszkanie. Przy odrobinie szczęścia uda się nam go przydybać.

– Musimy teraz wracać do naszego biura, ale będziemy w kontakcie – oznajmił Ackerman.

Slade spojrzął na Theo.

– W imieniu FBI, Theo, pragnę ci gorąco podziękować za to, co zrobiłeś. Trzeba mieć naprawdę bystre oko, żeby zauważyć coś takiego.

– Panu także dziękujemy za zaangażowanie, panie Boone – zwrócił się do Ike’a Ackerman.

Ike machnął tylko ręką, jakby chodziło o drobnostkę. Po prostu dzień jak co dzień.

Kiedy już agenci wyszli, pani Boone spojrzała na zegarek.

– Hm... chyba za późno, żebyś wracał do szkoły.

– Jasne – przyznał z nadzieją w głosie Theo. – Myślę, że powinienem tu jeszcze zostać i poczekać na wiadomości z FBI. Mogą znów mnie potrzebować.

– Wątpię – powiedział pan Boone, też patrząc na zegarek. Czas wracać do pracy.

Gdy rodzice wyszli z pokoju, Theo uśmiechnął się do stryja.

– To musi być niesamowite pracować jako agent FBI, prawda, Ike?

Ike mruknął z dezaprobatą.

– Posłuchaj, Theo, mniej więcej w tym czasie, kiedy się urodziłeś, popadłem w kłopoty i FBI zapukało do moich drzwi. Nie było to przyjemne. Gdy stoisz po przeciwnej stronie tych facetów, trudno być ich wielbicielem. Są fachowcami, i wiedzą o tym, ale nie zawsze mają słuszność.

Kłopoty stryja stanowiły głęboko zagrzebane sekrety rodzinne. Theo, wścibski dzieciak, starał się kilka razy wyciągnąć od rodziców jakieś szczegóły, ale nie dowiedział się niczego. A teraz, kiedy Ike uchylił odrobinę drzwi, chłopaka kusilo, by wtargnąć do środka. Ugryzł się jednak w język i nic nie powiedział.

– Pomyśl tylko, Theo – rzucił Ike. – W tej chwili twoje nagranie z telefonu komórkowego jest analizowane przez najlepszych ekspertów na świecie. Niesamowite, co?

– I to bardzo. Słuchaj, Ike, nie rozmawialiśmy o tym... ale czy pomyślałeś o pieniądzach? Za informację mogącą prowadzić do aresztowania i skazania

Pete'a Duffy'ego wyznaczono sto tysięcy dolarów nagrody. Jestem pewien, że o tym wiesz.

– Jasne, wszyscy o tym wiedzą. Owszem, myślałem o tym. Co zrobisz z taką forszą?

– No, uważam, że tobie też się coś należy. Może się podzielimy?

– Za wcześnie o tym mówić, Theo. Po pierwsze, muszą go złapać. Potem drobna sprawa, czyli kolejny proces. Duffy ma doskonałych prawników i może liczyć na mocną obronę, tak jak ostatnim razem. Obserwowałeś proces i wiesz, że oskarżenie przegrywało, kiedy sędzia Gantry powiedział o błędach proceduralnych. Uzyskanie wyroku skazującego nie będzie łatwe.

– Wiem. Byłem tam, ale wtedy nie mieliśmy jeszcze pojęcia o istnieniu świadka, Bobby'ego Escobara. Widział, jak Pete Duffy przekrada się do swojego domu dokładnie w tym samym czasie, kiedy została zamordowana jego żona. I znalazł rękawiczki golfowe, które Duffy miał na dłoniach, dusząc żonę.

– Owszem. Poczekamy jednak do skazania i wtedy pogadajmy o nagrodzie.

– Dobra. Ale co zrobisz z pięćdziesięcioma tysiącami?

– Theo...

* * *

O wpół do piątej Theo siedział przy biurku w swoim gabinecie w kancelarii, z psem u stóp; męczył się nad pracą domową i spoglądał co chwila na zegar ścienny. Zamknął oczy i wyobraził sobie zatłoczony pociąg metra, który zatrzymuje się przy Judiciary Square.

Siedzi w nim kilkunastu agentów FBI w różnych przebraniach; obserwują, czekając. Drzwi się otwierają, do wagonu wlewa się tłum pasażerów. Jednym z nich jest Pete Duffy i niebawem zostaje zidentyfikowany przez agenta, który szepcze do mikrofonu: „Obiekt zidentyfikowany, wagon numer cztery, w tylnej części”. Duffy czyta gazetę, nieświadomy tego, że jego życie zbiega właśnie się kończy. Że zostanie aresztowany i zawleczony z powrotem do Strattenburga. Na stacji Metro Center wsiada jeszcze więcej agentów; niektórzy stają tak blisko Duffy'ego, że mogą go dotknąć. Ale czekają. Są cierpliwi, to zawodowcy. Szepczą do mikrofonów, przesyłają wiadomości telefonami komórkowymi, jadą metrem, jakby robili to każdego dnia, i wkrótce docierają na stację Tenleytown. Duffy składa gazetę, wsuwa ją sobie pod pachę, podnosi się z miejsca i gdy pociąg staje, a drzwi się rozsuwają, wysiada na peron, tak jak inni. A tam czeka jeszcze więcej agentów. Podążają za Duffym spokojnymi zadrzewionymi ulicami północno-zachodniego Waszyngtonu, obserwując każdy jego krok. Kiedy skręca w Czterdziestą Czwartą Ulicę, natyka się na uzbrojonych mężczyzn w czarnych płaszczach. Jeden mówi: „FBI, jest pan aresztowany, panie Duffy”. Duffy niemal mdleje... Czy rzeczywiście? A może odczuwa ulgę, że jego życie zbiega właśnie się kończy? Prawdopodobnie nie. Theo podejrzewa, że Duffy wolałby dalej bezustannie uciekać. Zakuwają go w kajdanki i prowadzą do nieoznakowanej

furgonetki. Nic nie mówi, ani słowa. Już w więzieniu dzwoni do swojego prawnika.

O piątej Theo patrzył na komórkę leżącą na biurku. Zadzwoił do Ike'a. Ten, jak na razie, niczego się nie dowiedział i poradził, żeby wyluzować. Dorwać Duffy'ego, ale może nie dzisiaj. Może nie jutro. Bądź cierpliwy.

Naprawdę, Ike? – spytał w duchu Theo. – Ilu trzynastolatków stać na cierpliwość?

Po zmroku, wciąż nie mając żadnych wiadomości od FBI, Boone'owie przeszli trzy skrzyżowania dzielące kancelarię od schroniska przy Highland Street, gdzie co tydzień pracowali jako wolontariusze. Poszli do kuchni, włożyli fartuchy, a potem podawali zupę i kanapki, czemu zawsze towarzyszyły uśmiechy i ciepłe słowa. Większość twarzy była znajoma – ludzie ci albo mieszkali na miejscu, albo pojawiali się co tydzień. Theo znał nawet imiona niektórych dzieciaków. Schronisko zapewniało stałe lokum około czterdziestu bezdomnym ludziom, w tym kilku rodzinom. Karmiło też codziennie w porze lunchu i kolacji około setki osób. Kiedy już wszystkich obsłużono, Boone'owie przekazali coś szybko w kącie sali jadalnej. Zupa warzywna z chlebem kukurydzianym i ciasto kokosowe na deser. Nie był to ulubiony posiłek Theo, ale też nie najgorszy. Jedząc w schronisku, zawsze obserwował twarze. Niektóre były pozbawione wyrazu i nieobecne, jakby ci ludzie nie bardzo wiedzieli, gdzie się znajdują. Na ogół jednak sprawiali wrażenie zadowolonych z gorącego posiłku.

Pani Boone wraz z kilkoma koleżankami po fachu założyła w schronisku bezpłatną poradnię prawniczą, żeby udzielać porad kobietom i ich rodzinom. Po kolacji poszła do małego pomieszczenia i zaczęła przyjmować klientów. Theo udał się do sali zabaw, gdzie pomagał dzieciom w lekcjach. Pan Boone urządził sobie miejsce pracy na końcu stołu jadalnego i zajął się przeglądaniem dokumentów bezdomnych ludzi, którzy zostali wyeksmitowani ze swoich mieszkań.

O wpół do dziewiątej Theo dostał wiadomość od Ike'a. Wyszedł na zewnątrz i zadzwonił do stryja.

– Właśnie rozmawiałem z FBI – poinformował go Ike. – Zatelefonował do mnie agent Slade. Wszystko poszło tak, jak zaplanowano, zaangażowano kilkunastu agentów, ale ani śladu Duffy'ego. Nic. Obserwowali jego dom przez trzy godziny i nie zauważyli go. Nie przeszukali jego mieszkania, bo nie mogą tego zrobić, dopóki go nie zamkną.

– I co to oznacza?

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewien. Duffy to cwaniak, może mieć więcej kryjówek. Może zauważył jakąś podejrzaną osobę albo ktoś zbyt długo mu się przyglądał. Nie wiadomo.

– Jaki jest plan?

– Jutro spróbują znowu. Będą obserwować jego mieszkanie przez całą noc i sprawdzą, czy wyjdzie rano. Zamierzają też kontrolować metro. Ale wiesz, jak to jest. W godzinach szczytu tymi pociągami przemieszcza się milion osób. Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiem.

Theo był zdruzgotany. Żywił głębokie przekonanie, że FBI dzięki swoim nieograniczonym siłom i technologii przed północą zatrzyma Pete'a Duffy'ego. Wszedł z powrotem do schroniska, żeby powiedzieć o wszystkim rodzicom.

Rozdział 7

W środę na lekcji hiszpańskiego, którą prowadziła madame Monique, Theo błądził bezustannie myślami po ulicach Waszyngtonu. Nie dawało mu spokoju dręczące przekonanie, że zrobił coś nie tak. A jeśli zidentyfikował niewłaściwego człowieka? I teraz, przez niego, kilkunastu agentów i ekspertów FBI marnowało czas, jeżdżąc metrem, śledząc nie tego, kogo trzeba, analizując bezużyteczne nagranie, innymi słowy – jak wyraził się Ike Boone – „goniąc własny ogon”.

Podczas prowadzonej przez pannę Garman lekcji geometrii Theo uderzyła koszmarna myśl, że może się wpakować w kłopoty. A jeśli FBI się wkurzy, że oskarżył niewinnego człowieka? Jeśli ten człowiek dowie się w jakiś sposób, że on, Theodore Boone, nagrał go potajemnie na telefonie komórkowym i zawiadomił FBI? Czy groziło mu aresztowanie? Albo oskarżenie o oszczerstwo?

Kiedy nadeszła pora lunchu, ledwie mógł jeść. April domyślała się, że coś jest nie w porządku, ale powiedział, że dokucza mu żołądek. Zgodnie z prawdą. Próbowala z niego coś wyciągnąć, lecz trzymał usta na kłódkę i niczego nie ujawnił. Jak można powiedzieć komukolwiek, nawet najbliższej przyjaciółce, że ma się kontakty z FBI i że być może popełniło się wielki błąd? Przetrwał lekcję chemii z panem Tubcheckiem, WF z panem Tylerem, zajęcia z panem Mountem przeznaczone na samodzielną naukę, wreszcie poprosił, żeby go zwolnić z kółka dyskusyjnego. Liczył minuty do końcowego dzwonka, a potem popędził ku bezpiecznej przystani, czyli kancelarii Boone i Boone. Żadne z rodziców nie otrzymało wiadomości od FBI. Zadzwoił do Ike’a, ale stryj nie odebrał.

Gdy chował się w swoim gabinecie, z Asesorem, który przycupnął u jego stóp, wparowała nagle Elsa z talerzem babeczek; zapewniła, że przygotowała je specjalnie dla niego. Namawiała go, żeby posiedział z nią w recepcji i opowiedział o wycieczce do Waszyngtonu. Theo nie miał wyboru, choć tak naprawdę nie przepadał za babeczkami. Asesor poszedł za nim do frontowej części budynku. Theo usiadł i przez pół godziny rozmawiał z Elsą, która w tym czasie odbierała telefony i zajmowała się sprawami kancelarii. W pewnej chwili pojawiła się jego matka i spytała, czy odrobił lekcje. Theo powiedział, że prawie. Potem przez recepcję przemaszerował ojciec z papierami w ręce, zobaczył syna i spytał, czy odrobił lekcje. Theo odparł, że prawie. Elsa przestała rozmawiać przez telefon.

– Chyba będzie lepiej, jak dokończysz tę pracę domową.

– Na to wygląda – przyznał chłopiec i wrócił do swojego gabinetu.

Ponieważ jego rodzice byli prawnikami, w domu obowiązywało mnóstwo zasad. Jedną z najbardziej irytujących dotyczyła tego, czego po nim oczekiwali: żeby zamiast kręcić się późnym popołudniem po kancelarii, usiadł nad książkami

i odrobił pracę domową. Spodziewali się doskonałych stopni, a Theo spełniał zazwyczaj ich oczekiwania. Trafiała się czasem czwórka na świadectwie, ale tak naprawdę nie mieli się o co czepiać. Kiedy przynosił czwórkę, a oni unosili brwi, pytał, czy dostawali w szkole same piątki. No tak, oczywiście. Przecież wszyscy rodzice w czasach swojej młodszej świetności mieli same piątki! Kiedy w czwartej klasie miał trójkę z matematyki, wydawało mu się, że oddadzą go do poprawczaka. Jedna trójka, i cały świat niemal się zawalił.

Nie potrafił się skoncentrować, a praca domowa była jak zwykle nudna.

Ike zadzwonił tuż po szóstej.

– Właśnie rozmawiałem z FBI – poinformował bratanka. – Jeszcze więcej złych wiadomości. Znowu obserwowali metro i nie zauważyli śladu naszego człowieka. Wygląda na to, że zniknął. Jak dym.

– Trudno uwierzyć – odparł Theo. Z jednej strony ulżyło mu, że Duffy rozplynął się w powietrzu i że on sam nie zostanie jeszcze bardziej wciągnięty w tę historię. Z drugiej... czuł się fatalnie, że narobił takiego zamieszania. I znów zadał sobie pytanie: po co właściwie wtykał w to nos? – Jak myślisz, co się stało? – spytał.

– Nie wiem, ale niewykluczone, że stary Pete nie jest taki głupi, jak im się wydaje. Żyje bezustannie jako zbieg, człowiek poszukiwany, i może nauczył się patrzeć przez ramię. FBI rusza niczym stado psów myśliwskich, a Duffy wyczuwa kłopoty. Zauważa ludzi, którzy mu się przyglądają, widzi obce twarze, a ponieważ i tak jest już spietryny, postanawia przyciąć się na chwilę, zmienić rutynę, wsiąść do innego pociągu, chodzić innymi ulicami, nosić inny garnitur. W Waszyngtonie mieszka dwa miliony ludzi, a on wie, jak się zgubić w tłumie.

– Domyślam się.

– Obserwowali przez całą noc budynek, w którym mieszka. Nie pojawił się w domu. Wie, że coś się dzieje, to pewne. Prawdopodobnie nie znajdą go w najbliższym czasie.

– Kiepsko – rzucił chłopiec.

– Tak czy inaczej, niewiele możemy w tej chwili zrobić.

– Dzięki, Ike. – Theo schował komórkę do kieszeni i poszedł do rodziców, żeby powiedzieć im o Duffym.

W środy zamawiali chińszczyznę na wynos z Dragon Lady; był to jeden z ulubionych posiłków Theo. Jedli z kartonów w gabinecie i oglądali powtórki *Perry'ego Masona*, jego ulubionego serialu.

– Theo, ledwie tknąłeś swoją porcję – zauważyła matka w połowie pierwszego odcinka.

Pochłonął czym prędzej mnóstwo krewetek w sosie słodko-kwaśnym.

– Skąd! To bardzo smaczne, a ja umieram z głodu.

Posłała mu typowe matczyne spojrzenie.

– Pewnie, ale znam prawdę – rzuciła.

– Martwisz się, Theo? – spytał ojciec.

– Czym?

– Och, nie wiem. Może FBI i tym, że nie znaleźli jeszcze Pete'a Duffy'ego.

– W ogóle o tym nie myślałem.

Ojciec uśmiechnął się z ustami pełnymi jedzenia i spojrział znacząco na żonę. Kiedy oboje znów skierowali wzrok na telewizor, Theo sięgnął pod stół i dał Asesorowi sajonkę, jego przysmak nad przysmaki.

* * *

W czwartek wczesnym rankiem Theo jadł spokojnie w samotności śniadanie składające się, jak co dzień, z miseczki cheerios i szklanki soku pomarańczowego; Asesor przycupnął u jego stóp, racząc się tym samym, prócz soku. Ojciec wyszedł wcześniej, żeby zjeść i poplotkować w śródmieściu ze swoim gangiem kawowym. Matka siedziała w salonie z poranną gazetą, popijając napój dietetyczny. Theo nie myślał o niczym konkretnym, zajmował się własnymi sprawami i nie szukał przygód ani kłopotów, kiedy zadzwonił telefon.

– Odbierz! – zawołała matka.

– Dobrze, mam – odparł, wstał i sięgnął po słuchawkę. – Halo?

– Tu agent Marcus Slade z FBI – odezwał się nieco szorstki głos. – Mogę rozmawiać z panem albo panią Boone?

– Jasne – odrzekł Theo z nieco ściśniętym gardłem. No tak, pomyślał w mgnieniu oka, dobiorą się do mnie! Są wściekli, ponieważ zmarnowałem im tyle czasu. Zakrył słuchawkę i zawołał: – Mam, to FBI!

Ilu ośmioklasistów w gimnazjum w Stattenburgu musiało mieć do czynienia z FBI? – zadawał sobie pytanie. Kiedy matka odebrała w salonie, kusilo go, żeby nie

odkładać słuchawki i dowiedzieć się, o co chodzi, ale szybko zmienił zdanie. Po co się prosić o więcej kłopotów? Ukrył się za drzwiami salonu, niewidoczny dla matki; słyszał jej głos, lecz nie poszczególne słowa. Gdy się rozłączyła, usiadł z powrotem przy stole i zaczął jeść cheerios. Pani Boone weszła do kuchni i popatrzyła na niego, jakby właśnie kogoś zabił.

– Dzwonili z FBI – powiedziała.

Coś takiego, mam. Nie wiedziałem.

– Chcą się z nami spotkać w kancelarii. Mówią, że to pilne.

Z jednej strony Theo cieszył się, że znów nie pójdzie do szkoły, ale z drugiej – uświadamiał sobie powagę sytuacji: agenci FBI byli wkurzeni i zamierzali go ochrzanić.

– Czego chcą? – spytał.

– Nie chcieli powiedzieć. Już jadą do kancelarii. Spotkamy się o dziewiątej.

– Spotkamy się? Ja też?

– Tak, jesteś zaproszony.

– Rany, mam, nie znoszę opuszczać lekcji – wyznał szczerze. Prawdę powiedziawszy, wolałby w tym momencie wsiąść na rower i pojechać do szkoły.

Godzinę później kręcili się po pokoju konferencyjnym, czekając na Ike'a, który nie był rannym ptaszkiem. W końcu zjawił się z zaczerwienionymi oczami, wyjątkowo marudny, i od razu poszedł po kawę. Po kilku minutach do kancelarii

weszli agenci Slade i Ackerman i wszyscy się przywitani. Pani Boone zamknęła drzwi, ponieważ w pobliżu kręciła się Elsa, gotowa podsłuchiwać. Vince, aplikant i jeden z najbliższych sprzymierzeńców Theo, także zdradzał zainteresowanie. Dorothy, sekretarka zajmująca się nieruchomościami, również nadstawiała uszu i zachowywała czujność, ponieważ zauważyła, że: po pierwsze, Theo znowu nie był w szkole, po drugie, przyszedł Ike, po trzecie, dwóch agentów FBI jeszcze raz zjawili się w kancelarii.

– Przejdziemy od razu do rzeczy – zaczął Slade. – Nie natknęliśmy się na ślad Pete’a Duffego. Uważamy, że zmienił codzienną rutynę. Jesteśmy też przekonani, że to on jest na nagraniu, i mamy powody przypuszczać, że wciąż przebywa w Waszyngtonie. – Przerwał, jakby czekał, aż go spytają, skąd FBI to wszystko wie, ale

Boone’owie zgodnie milczeli. Po chwili ciągnął: – Chcielibyśmy, żeby Theo i Ike wrócili do Waszyngtonu i pomogli nam w poszukiwaniach.

– Wy dwaj zauważyliście go od razu – wtrącił Ackerman. – Wiecie, jak wygląda, bo widzieliście go wcześniej tutaj, w Stattenburgu. Theo, wspomniawszy podczas naszego pierwszego spotkania, że rozpoznał sposób, w jaki się porusza, tak?

Chłopiec nie bardzo wiedział, jak zareagować. Kilka minut temu, kiedy wszyscy zasiedli przy stole, był przerażony, ale teraz zaintrygowała go myśl o następnej wyprawie do Waszyngtonu. I to na zaproszenie FBI! Nie przyszli go aresztować – chcieli, żeby im pomógł.

– Uhm, no tak – zdołał z siebie wydusić.

– Opowiedz nam o tym – poprosił Slade.

Theo spojrział w lewo, na matkę, potem na ojca siedzącego po prawej. Odchrząknął.

– No, czytałem raz powieść szpiegowską, w której jeden Amerykanin był śledzony przez kilku rosyjskich szpiegów z KGB, tak to się chyba nazywało.

– Zgadza się, KGB – potwierdził Slade.

– I ten Amerykanin wiedział, że każda twarz jest inna i że twarze łatwo zmienić. Ale wiedział też, że każdy człowiek porusza się w charakterystyczny dla siebie sposób, i to trudno jest zmienić. Włożył więc do buta mały kamyk, dzięki czemu chodził w dziwny sposób. Zgubił Rosjan i uciekł. Potem go zabili, ale nie dlatego, że miał w bucie kamyk.

– I możesz rozpoznać Pete’a Duffy’ego po jego chodzie?

– Nie wiem, ale kiedy szedłem za nim w zeszły czwartek, jak już wysiadł z metra, rozpoznałem ten krok. Nie było w nim nic dziwnego, tak się po prostu porusza. Widziałem go kilka razy podczas procesu.

Rodzice patrzyli na niego zdziwieni, jakby opowiadał niestworzone historie. Ike jednak uśmiechał się szeroko i wyraźnie podziwiał bratanka.

– Czy dobrze zrozumiałem? – spytał pan Boone. – Chcecie, żeby mój syn wrócił do Waszyngtonu i obserwował ludzi na ulicach?

– Tak, i żeby znów jeździł metrem. Mamy nadzieję, że dopisze nam szczęście. Będą jeździć we dwóch, on i Ike. To strzał w ciemno, lecz nie mamy nic do stracenia.

Ike parsknął śmiechem.

– Super – rzucił. – FBI to najpotężniejsza na świecie agencja walcząca z przestępczością i dysponująca najnowocześniejszą technologią, a musi korzystać z pomocy trzynastolatka, któremu się wydaje, że potrafi zidentyfikować kogoś po tym, jak się porusza.

Ackerman i Slade odetchnęli głęboko, zignorowali Ike'a i kontynuowali.

– Polecicie do Waszyngtonu i z powrotem – powiedział ten pierwszy. – Pokryjemy wszelkie koszty. Nie spuścimy was z oka. Będziecie cały czas otoczeni agentami FBI. Nie ma mowy o jakimkolwiek niebezpieczeństwie.

– Nie wygląda to bezpiecznie – wtrąciła się pani Boone.

– Ale takie jest – zapewnił Ackerman. – Duffy nikogo nie skrzywdzi. Nie chce kłopotów.

– Jak długo Theo ma przebywać w Waszyngtonie? – spytał pan Boone.

– Niezbyt długo – zapewnił Slade. – Mamy czwartek. Jeśli się pospieszymy, to złapiemy samolot dziś w południe i przylecimy do Waszyngtonu, żeby zdążyć na godziny szczytu w metrze. Będziemy prowadzić obserwację wieczorem i jutro. W sobotę wróci do domu.

Theo zdołał zachować kamienną twarz i ukryć podniecenie.

– Uważam, że jedno z nas też powinno polecieć – powiedziała matka, niemal wszystko psując.

– Zgadzam się, ale w piątek muszę sfinalizować dwie duże umowy – oznajmił jej mąż.

– A ja jutro muszę być cały dzień w sądzie – przypomniała.

Jakże typowe! Rodzice grali w to bezustannie – każde chciało udowodnić, że jest bardziej zajęte niż to drugie.

– Spokojnie – odezwał się Ike. – Zaopiekuję się Theo. Nie jedziemy na koniec świata, zgadzam się też, że nie ma żadnego ryzyka.

– Ale nie będzie go dwa dni w szkole – zauważyła pani Boone.

Zawisło to nad stołem niczym zły omen.

– Tak, i jest nam z tego powodu przykro – przyznał Slade. – Jestem jednak pewien, że Theo nadrobi zaległości. Chodzi o bardzo ważną sprawę, pani Boone, a my potrzebujemy pomocy pani syna i Ike'a. Co ty na to, Theo?

– No cóż... naprawdę nie znoszę opuszczania lekcji, ale skoro nalegacie...

Pięcioro dorosłych nie kryło rozbawienia.

Rozdział 8

Kiedy Theo, Ike, Slade i Ackerman wylądowali na Narodowym Lotnisku Reagana w Waszyngtonie, czekało już na nich dwóch innych agentów FBI, w takich samych ciemnych garniturach i takich samych ciemnych krawatach; obaj mieli takie same poważne miny. Dokonano szybkiej prezentacji; uścisnęli dłoń Theo jak dorosłemu. Jeden wziął jego torbę podróżną i powiedział: „Tędy”. Pod halą przylotów, przy krawężniku, w miejscu, gdzie nie wolno było parkować, czekał na nich czarny SUV, ale ochrona lotniska nie zwracała na

to uwagi. Wsiedli wszyscy do wozu i młody Theodore Boone odjechał niczym bardzo ważna osoba. Siedział ze stryjem na tylnym siedzeniu i słuchał, jak czterej agenci rozmawiają o znanych im ludziach z FBI. Kiedy przemknęli obok pomnika Korpusu Piechoty Morskiej, Theo spojrzął w dal, podziwiając Washington Monument. Zaledwie sześć dni wcześniej stał na samym jego szczycie i patrzył z niekłamanym zachwytem na miasto. Przejechali nad Potomakiem przez most Arlington Memorial i włączyli się do ruchu ulicznego.

Podczas lotu Theo studiował plan ulic i tras metra centrum i północno-zachodniego Waszyngtonu. Chciał wiedzieć dokładnie, gdzie za każdym razem się znajdował. Kiedy skręcili w Constitution Avenue, spojrzął w prawo, na mauzoleum Lincolna. Przejechali obok Sadzawki Lustrzanej, potem wzdłuż parku National Mall i minęli Washington Monument. Skręcili w lewo, w Dwunastą Ulicę, i skierowali się na północ, gdzie ruch się nasilił. Niedaleko stacji Metro Center zatrzymali się nagle przed Marriottem. Znowu zaparkowali w miejscu niedozwolonym, ale odźwierni zostali szybko odprawieni.

FBI nie musi się chyba martwić, że odholują im samochód, pomyślał Theo.

Agenci zajęli się zameldowaniem. Potem wszyscy wjechali windą na piąte piętro i ruszyli szybko do pokoju 520.

– Twój pokój jest obok, Theo, a pan Boone będzie zajmował sąsiedni, który ma połączenie z twoim – poinformował jeden z agentów. Popatrzył na Slade’a i Ackermana. – Wy, chłopaki, zamieszkacie naprzeciwko.

Drzwi się otworzyły i weszli do dużego apartamentu, gdzie przebywało jeszcze więcej agentów. Żaden z nich nie nosił ciemnego garnituru. Do przodu wysunął się starszy facet o szarych włosach i uśmiechnął szeroko.

– Cześć, jestem Daniel Frye i kieruję tym zespołem. Witamy w Waszyngtonie.

Zanim wszyscy uścisnęli sobie dłonie i przedstawili się, upłynęło trochę czasu. Sześć osób, nie licząc Frye’a, i każda ubrana inaczej. Jeden z mężczyzn w brązowy dres z napisem *Mississippi State* na piersi, inny w dżinsy i buty turystyczne; ten wyglądał jak ktoś, kto właśnie wyszedł z lasu. Jedna z kobiet była ubrana na biało

jak żeglarka, druga mogłaby uchodzić za bezdomną. Chudy biały chłopak, wyglądający na rówieśnika Theo, był ubrany jak uczeń – miał plecak i kolczyk w uchu. Szósty agent, z włosami długimi jak Ike, sprawiał wrażenie równie obcesowego. Frye wyglądał jak ktoś, kto właśnie rozegrał partyjkę golfa.

Wszyscy byli przyjacielscy i wydawali się rozbawieni faktem, że współpracują z trzynastolatkiem. Theo był pod ogromnym wrażeniem; z trudem się powstrzymywał, by nie szczyrzyć zębów jak idiota. Agenci usadowili się w różnych miejscach pokoju. Na kanapie leżały czapki i swetry.

– Dobra, Theo, zacznijmy od początku. Jaka jest twoja ulubiona drużyna?

– No, Minnesota Twins.

Frye zmarszczył czoło, podobnie jak kilkoro pozostałych.

– To trochę dziwne. Nie mieszkasz w Minnesocie. Dlaczego Twins?

– Bo nikt inny w Strattenburgu im nie kibicuje.

– Jasna sprawa. Problem polega na tym, że w tym wypadku nie mamy żadnych akcesoriów. – Frye machnął w stronę zbioru rekwizytów leżących na kanapie.

– Macie coś Jankesów? – spytał Ike.

– Nie uznaję Jankesów – odparł bez wahania Theo, co wywołało śmiech.

– W porządku – powiedział Frye. – Co powiesz na Redskinów?

– Wolałbym nie – wyznał Theo. Znowu śmiech.

– Nationals?

– Pewnie, lubię ich.

– Świetnie. Sprawę mamy z głowy. Włóżysz tę czerwoną bluzę z ich emblematem i odpowiednią czapkę.

– Żadnej czapki – oznajmił zdecydowanie Theo.

– Chwileczkę, uważamy, że powinieneś nosić jakąś czapkę. To część kamuflażu.

– No tak, jasne, ale nie czapkę Nationals. Włożę jedną ze swoich.

– No dobrze. Obejrzymy ją za chwilę. Możemy przejść do następnego punktu. –

Na jednej ścianie wisiała ogromna mapa centrum Waszyngtonu, a nad nią szereg powiększonych fotografii, na każdej bez wyjątku widniał Duffy. Frye podszedł tam i wskazał miejsce oznaczone jako MARRIOTT. – Jesteśmy tutaj. Stacja Metro Center znajduje się tuż za rogiem. Właśnie tam wsiadłeś w zeszły czwartek.

– Tak, proszę pana.

– A Duffy był już w pociągu, zgadza się?

– Tak, proszę pana.

– Nadmienię, że będziemy posługiwać się w jego przypadku kryptonimem. Kowboj.

– Kowbojów też nie lubię – oznajmił Theo. Znowu śmiech.

– A co lubisz? Jaka jest twoja ulubiona drużyna futbolowa?

– Green Bay Packers.

– Okay, niech będzie Packer. Pasuje? – Popatrzył na swój zespół. Wszyscy wzruszyli zgodnie ramionami. Kogo tak naprawdę obchodziło, jak będą faceta nazywać? – Dobra – rzucił Frye. – Posuwamy się szybko do przodu. O czwartej wsiądziesz z panem Boone'em do

metra i dojedziecie aż do stacji Union, a tam złapiecie pociąg powrotny o czwartej trzydzieści osiem. Theo będzie w trzecim wagonie, pan Boone w czwartym. W każdym będą siedzieć nasi agenci i jeden zawsze będzie trzymał się w odległości trzech metrów od ciebie, Theo. O czwartej trzydzieści pokręcicie się obaj po Judiciary Square, czekając na następny pociąg i obserwując ludzi. – Frye wskazywał punkty na mapie. – W tym miejscu wsiądziecie do pociągu i przyjedziecie tutaj,

na Metro Center. Jeśli nic nie zobaczycie, pojedziecie na Farragut, zmienicie wagony i dojedziecie aż do Tenleytown. Wsiądziecie i pokręcicie się pół godziny. Tam właśnie Packer wysiadł w zeszłym tygodniu. Sprawdziliśmy dokładnie tę trasę we wtorek i środę, niczego nie zauważyliśmy i, szczerze mówiąc, w tej chwili modlimy się o cud.

– Jak będziemy się porozumiewać? – spytał Ike.

– Och, mamy mnóstwo zabawek, panie Boone.

– Mogę występować jako Ike?

– Jasne. Tak będzie nawet prościej. – Frye podszedł do małego stolika z mnóstwem gadżetów i wziął jeden do

ręki. – Wygląda jak nasz typowy smartfon, prawda? Ale to w rzeczywistości aparat nadawczo-odbiorczy. Włóżcie słuchawki do uszu i obaj będziecie wyglądać jak dwaj faceci, którzy słuchają muzyki, wysyłają jednocześnie maile i w coś grają. – Przynął urządzenie do twarzy. – I jeśli będziecie musieli się z nami skontaktować, zbliżcie to na odległość czterdziestu pięciu centymetrów od ust, wciśnijcie zielony guzik i mówcie cicho. Wychwyci niemal wszystko. Będziemy na tej samej częstotliwości. Każdy z nas może w dowolnej chwili rozmawiać z pozostałymi. – Popatrzył na Slade'a

i Ackermana. – Rozumiem, chłopaki, że chcecie się przyłączyć do zabawy.

Obaj skinęli zgodnie głowami.

– Damy wam dwie walizeczki, będziecie udawać prawników. Jest ich w tym mieście tylko pół miliona, więc łatwo się wtopicie. Ja obstawię Metro Center. Salter przejmie Woodley Park, a Keenum zajmie się Tenleytown. Pytania?

Zgłosił się Theo.

– A jeśli namierzemy Packera?

– Właśnie do tego zmierzałem. Po pierwsze, nie gapić się na niego. Istnieje jakiegokolwiek ryzyko, że cię rozpozna?

Theo spojrział na Ike'a i wzruszył ramionami.

– Bardzo wątpię. Nigdy się nie spotkaliśmy, nigdy się do siebie nie zbliżyliśmy. Widziałem go w sądzie, ale jestem pewien, że mnie nie zobaczył. Na sali był tłum. Widziałem go też kilka razy poza gmachem sądu, ale nie mógłby mnie zapamiętać. W końcu jestem tylko dzieciakiem. Co sądzisz, Ike?

– Ja też w to wątpię, ale nie ryzykujemy.

– Patrzył w twoją stronę, kiedy w zeszłym tygodniu zauważyłeś go w metrze? – spytał Frye.

– Nie wydaje mi się. Ani razu nie spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Jeśli go zauważysz, nie patrz na niego, i gdy tylko uda ci się zrobić to niepostrzeżenie, wciśnij zielony guzik i powiedz nam. Będziemy ci zadawać pytania w zależności od tego, jak blisko ciebie będzie się znajdował. Kiedy zobaczysz, że zamierza wysiąść, daj nam znać. Potem idź za nim, ale zachowaj bezpieczny dystans. Nasi ludzie będą już gotowi go zatrzymać.

Myśl, że znajdzie się na miejscu, gdy FBI przyskrzyni Pete’a Duffy’ego, przyprawiła Theo o gwałtowny skurcz żołądka. Wiedział, że będzie to niebywale ekscytujące i że zostanie uznany za bohatera, ale tak naprawdę nie pragnął rozgłosu.

Frye przekonał go do włożenia okularów w czarnych oprawkach; miało to stanowić część kamuflażu. Przez następne dziesięć minut targowali się o właściwą czapkę. Nikomu jakoś nie podobała się ta, którą ze sobą przywiózł – spłowieła i zielona, z emblematem firmy John Deere i paskiem ściągającym. Dzieciaki w Waszyngtonie nie chciałyby pewnie nosić czapki reklamującej przedsiębiorstwo, które produkuje maszyny rolnicze, i Theo w końcu dał za wygraną. Zgodził się na szarą, z logo Georgetown Hoyas. Postanowili nie wykorzystywać jego plecaka, tylko dali mu znacznie lżejszy, na wypadek gdyby musiał poruszać się szybciej. Potem Theo i Ike zapoznali się z działaniem nadajników i słuchawek i gdy wszystko wydawało się gotowe, wyszli z hotelu i ruszyli w stronę stacji Metro Center.

Wsiedli do pociągu i Theo znalazł miejsce pośrodku czwartego wagonu. Ike, który nosił sportową marynarkę, okulary, spodnie khaki i mokasyny, usiadł naprzeciwko niego. Facet w brązowym dresie stał jakiś metr dalej. Gdy pociąg ruszył, Theo podłączył słuchawki i zaczął rozglądać się po tłumie pasażerów. Udało mu się wysłać SMS-a, kiedy usłyszał głos Frye’a.

– Jak ci idzie, Theo?

Podniósł telefon o kilka centymetrów, nacisnął zielony guzik i odpowiedział cicho:

– Wszystko w porządku. Ani śladu Packera.

– Słyszemy cię doskonale.

Theo, Ike i biegacz wysiedli na stacji Tenleytown, odczekali parę minut, po czym złapali następny pociąg. Po kilku minutach wysiedli na Judiciary Square. Tu właśnie, jak zakładali agenci, wsiadł Pete Duffy. Theo zaczął spacerować, zajęty bez reszty muzyką i swoimi SMS-ami, podobnie jak inne dzieciaki czekające na pociąg. Ani śladu Duffy’ego. Na jednym końcu peronu zauważył żeglarke, na drugim – chudego ucznia. Pojawiło się jeszcze więcej pasażerów i na stacji zrobił się tłok. Theo dostrzegł w tej ciżbie Slade’a, który wyglądał w każdym calu jak prawnik. Nadjechał pociąg. Nikt nie wysiadł i ludzie przypuścili szturm na wagony; Theo, porwany przez tę falę, znalazł miejsce pośrodku trzeciego, a Ike zniknął w czwartym. Biegacz stał w odległości półtora metra od Theo, który gdy pociąg szarpnął do przodu, rozejrzał się niby od niechcienia.

Nic. Nikt nawet nie przypominał Pete’a Duffy’ego.

Na stacji Metro Center wsiadło jeszcze więcej ludzi. I znowu nic. Na Farragut North Theo zdołał wysiąść i przejść do piątego wagonu. Nic. Ich następnym –

końcowym – przystankiem była stacja Tenleytown. Wsiadło kilku pasażerów, podobnie jak Theo, Ike, biegacz i żeglarka. Kiedy chłopiec poczuł się pewnie, nacisnął zielony guzik.

– Tu Theo – powiedział. – Właśnie wysiadłem z pociągu. Nikogo nie widziałem.

– Tu Ike – powiedział jego stryj. – Nic.

Zgodnie z instrukcjami, pokręcili się po stacji; w tym czasie przejechały dwa pociągi. Frye polecił im wsiąść do jadącego z przeciwnego kierunku, wrócić na Judiciary Square i powtórzyć całą procedurę. Theo czuł, jak jego podniecenie przygasa. Z metra korzystało tylu ludzi, że nie sposób było obserwować wszystkich jednocześnie.

Przez dwie godziny on i Ike jeździli czerwoną linią tam i z powrotem między stacjami Tenleytown i Judiciary Square.

Jeśli Pete Duffy wciąż przebywał w mieście, to albo poruszał się taksówkami, albo korzystał z innej linii metra. Trzeciego dnia z rzędu poszukiwania tego człowieka nie przyniosły rezultatu.

Po powrocie do hotelu Theo zdjął czerwoną bluzę i czapkę. Zadzwoił do matki i zdał jej pełną relację z tego, co się wydarzyło. Metro nudziło go śmiertelnie, ale polowanie wciąż wzbudzało jego ekscytację. Uważał lednak, że marnują czas.

Wczesnym rankiem w piątek Theo, Ike i cały zespół znowu zeszli do metra i przez trzy godziny jeździli pociągami. Nic. Frye zawiesił poszukiwania o wpół do jedenastej. Theo i Ike wrócili do hotelu. Początkowo nic nie robili, potem zjedli wspólnie lunch w hotelowej restauracji i rozmawiali o zwiedzaniu miasta, kiedy zajrzał do nich Frye i zaproponował, żeby obejrzeni siedzibę FBI. Skorzystali ochoczo z zaproszenia i spędzili dwie godziny w J. Edgar Hoover Building przy Pennsylvania Avenue. O czwartej znów byli w metrze i patrzyli na obcych ludzi. Nie zauważyli niczego ciekawego.

O siódmej Theo był śmiertelnie znudzony wszystkim – metrem, tłumami ludzi, bezustannym myśleniem o Pecie Duffym i samym miastem. Chciał tylko wrócić do domu.

Rozdział 9

Agent Daniel Frye był miłym gościem, ale przedziergał się z wolna w sierżanta od musztry. Upierał się, by cały zespół wrócił do metra wczesnym rankiem w sobotę, bo przecież Pete Duffy może się w każdej chwili pojawić; nie ulegało wątpliwości, że facet zmienił ustalony porządek dnia, ale skoro Theo i Ike byli w mieście, to dlaczego nie mieliby jeszcze pojeździć i liczyć na cud? Ich samolot odlatywał dopiero w południe.

Przy wczesnym śniadaniu Theo rozmawiał ze stryjem o rzeczy oczywistej: jeśli Pete Duffy od czterech dni nie pojawił się w swoim mieszkaniu, oznaczało to, że zniknął. Coś go wystraszyło i ukrył się. Raz mieli szczęście, ale teraz ich opuściło.

Pochłonęli naleśniki i spotkali się z zespołem przed ostatnim wypadem do metra.

Cud się nie zdarzył. Theo, Ike, Slade i Ackerman opuścili o dziesiątej hotel w czarnym vanie FBI – innym niż poprzednio – i pojechali na lotnisko. Po długiej wędrówce przez halę odlotów znaleźli swoją bramkę. Mieli co najmniej godzinę i Theo zaczął się nudzić. Był zmęczony tą małą przygodą. Nawet poirytowany, ponieważ ominęła go cotygodniowa gra w golfa z ojcem.

Podczas wizyty w siedzibie FBI myślał o tym, żeby zostać agentem, podróżować po świecie i ścigać terrorystów i innych przestępców. Teraz jednak doszedł do wniosku, że nie wyobraża sobie kariery, która polegałaby na siedzeniu godzinami w pociągach metra. Powiedział stryjowi, że idzie poszukać toalety i trochę pospacerować. Ike, który wsadził nos w gazetę, mruknął coś tylko w odpowiedzi. Slade i Ackerman rozmawiali przez komórki i obserwowali startujące i lądujące samoloty. Na lotnisku nie było tłoku; Theo minął księgarnię, sklep z upominkami, dwa bary, gdzie niektórzy wypili już za dużo, małą smutną klitkę, w której siedzieli palacze, i kilka restauracji. Skorzystał z toalety i gdy wszedł z powrotem do hali odlotów, żeby kontynuować przechadzkę, wpadł na mężczyznę, który bardzo się spieszył. Nie była to poważna kolizja, ale tamten upuścił swoją torbę podróżną.

– Przepraszam – powiedział, podnosząc pospiesznie bagaż. Kiedy się schylił, zsunęły mu się z nosa okulary.

– Ja też przepraszam – zapewnił zakłopotany Theo.

Gdy mężczyzna chwycił swoje szkła, chłopiec spojrział na niego i cofnął się o krok. Było w nim coś znajomego; ściślej mówiąc, bardzo przypominał Pete'a Duffy'ego, tyle że miał blond włosy i nosił inne okulary. Znieruchomiał na chwilę, popatrzył na Theo ze złością, jakby go znał, potem jednak się uśmiechnął, jakby nic się nie stało. Theo zastygł, lecz natychmiast przypomniał sobie ostrzeżenie Frye'a: nie gapić się. Też się uśmiechnął i ruszył w przeciwną stronę.

Podczas gdy Duffy oddalał się pospiesznie, on schował się za kioskiem z prasą. Przyglądając się, jak mężczyzna przemierza szybko halę odlotów, uświadomił sobie, że widział już ten charakterystyczny chód. Zadzwoił do Ike'a. Odezwała się poczta głosowa. Miał numery Slade'a i Ackermana. Zadzwoił do tego pierwszego i zaczął śledzić Duffy'ego, który oddalał się coraz bardziej. Dwa razy zerknął przez ramię, jakby wiedział, że ktoś go obserwuje.

Slade odebrał po czwartym sygnale.

– Tak, Theo?

– Mam Packera – poinformował go chłopiec. – Pospieszcie się.

– Gdzie?

– Właśnie minął bramkę trzydzieści jeden. Bardzo mu się spieszy, chce chyba złapać jakiś samolot.

– Nie spuszcza go z oka. Zaraz tam będziemy.

Theo trzymał się blisko ściany, starając się nie rzucić w oczy, ale z trudem dotrzymywał Duffy'emu kroku. Przy bramce dwadzieścia siedem tamten jednak zwolnił i stanął na końcu długiej kolejki. Znowu się obejrzał, lecz Theo już chował się za stanowiskiem informacji. Wydawało mu się, że czeka godzinami, zanim zobaczył Slade'a i Ackermana, którzy zblizali się do niego pospiesznie. Ike próbował za nimi nadążyć.

Theo przywołał ich skinieniem ręki.

– Jest przy bramce dwadzieścia siedem, czeka na kontrolę.

– Jesteś pewien, że to on? – spytał Ackerman.

– Całkowicie. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Pomyślał chyba, że już gdzieś mnie widział.

– Który to? – rzucił Ackerman, kiedy wyjrzeli zza budki.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała kobieta w punkcie informacyjnym.

– FBI, proszę pani. Poradzimy sobie.

– Stoi na końcu kolejki, brązowa kurtka, spodnie khaki, czarna torba podróżna. Ma teraz blond włosy – wyjaśnił Theo.

Ackerman spojrział na duży ekran.

– Bramka dwadzieścia siedem. Linie Delta, lot bezpośredni do Miami.

– Zadzwoń do Frye'a – polecił Slade. – Niech opóźni lot, uziemi jakoś maszynę, cokolwiek. Zostańmy tutaj i pozwólmy Packerowi wejść na pokład. Nie będzie mógł zwać.

– Racja – przyznał Ackerman, wystukując numer na komórce.

– Stanę za nim, żeby nie zniknął – powiedział Slade, ruszył niedbałym krokiem jak każdy inny pasażer i ustawił się w kolejce do samolotu lecącego do Miami.

Od Duffy'ego dzieliło go sześć osób, kolejka przesuwająca się wolno. Duffy sprawiał wrażenie podenerwowanego. Zastanawiał się zapewne, gdzie widział już tego dzieciaka, i bezustannie zerkał w stronę holu.

Tymczasem Ackerman rozmawiał z Frye'em. Ike przykucnął za Theo i oddychał z wysiłkiem. Kobieta za kontuarem punktu informacyjnego patrzyła tylko na nich szeroko otwartymi oczami. Ten dzieciak nie może być agentem FBI, myślała prawdopodobnie. Nie odezwała się jednak słowem.

Ackerman schował komórkę do kieszeni.

– Załatwione. Lot zostanie wstrzymany, dopóki nie załatwimy sprawy. Packer nie poleci do Miami. Zakładając oczywiście, że to naprawdę on.

– Czy to Duffy? – mruknął Ike do bratanka.

– Mam nadzieję – odparł Theo i niemal natychmiast zrobiło mu się niedobrze na myśl, że może wskazał niewłaściwego człowieka. A jeśli to wszystko okaże się jedną wielką pomyłką?

Ale to był Duffy. Theo widział jego oczy. I widział, jak się porusza.

Gdy tylko Duffy wręczył bilet przedstawicielowi Delty i zniknął za drzwiami rękawa, Slade podszedł do kontuaru i pokazał legitymację innemu pracownikowi Delty.

– FBI. Ten lot jest chwilowo wstrzymany.

Ackerman pospieszył do bramki, Theo i Ike tuż za nim. Wszyscy pasażerowie byli już na pokładzie maszyny, a załoga została poinformowana, że nastąpi zwłoka w starcie.

– Wejdę do samolotu i sprawdzę, gdzie Packer siedzi. Dzięki temu ustalimy jego nazwisko – powiedział Ackerman.

– Dobry pomysł – pochwalił Slade.

Ackerman wyjaśnił wszystko przedstawicielowi Delty i pospieszył do maszyny. Pięć minut później był z powrotem przy kontuarze.

– Miejsce numer czternaście B. Kto jest pasażerem?

Pracownik linii postukał w klawisze i spojrzał na monitor.

– Niejaki pan Tom Carson. Kupił bilet wczoraj w biurze Delty przy Connecticut Avenue.

– Płacił gotówką czy kartą?

– Hm, chwileczkę. Gotówką.

– Bilet w jedną stronę?

– Owszem.

– No dobrze. Myślę, że trzeba z nim porozmawiać. Tu jest nakaz aresztowania, ale najpierw musimy zweryfikować jego tożsamość, a to może trochę potrwać. Niech pilot przekaze pasażerom, że jest małe opóźnienie. Nikt się nie powinien dziwić.

– Jasne. Takie rzeczy się zdarzają.

* * *

Dwadzieścia minut później zjawił się Daniel Frye z trzema innymi agentami.

– Jesteś pewien? – zwrócił się do Theo.

Chłopiec skinął głową.

– Na dziewięćdziesiąt pięć procent.

– Plan jest taki. Wyciągniemy tego faceta z samolotu i pogadamy z nim. Sprawdzimy jego dokumenty i zobaczymy, co uda się nam ustalić. Jeśli to niewłaściwy gość, przeprosimy go i wyślemy w podróż, mając nadzieję, że nas nie pozwie.

Theo i Ike siedzieli pod ścianą w przestronnej poczekalni, kiedy w drzwiach rękawa ukazali się Frye i pan Tom Carson. Carson był albo zagniewany, albo wystraszony; z pewnością nie okazywał zadowolenia. Kiedy przyłączyli się do nich pozostali agenci, mężczyzna dostrzegł Theo i posłał mu nienawistne spojrzenie.

Zabrali go do biura portu lotniczego na przesłuchanie.

Theo i Ike, czekając, zaczęli się martwić o swój lot. Nie mogli wrócić do domu, nie mając pewności, że Carson to Duffy vel Packer. I nie chcieli wracać.

* * *

Frye był weteranem, a Duffy amatorem. Wystarczyło piętnaście minut, by jego historia legła w gruzach, a on przyznał się, kim jest. Jego nowiutkie dokumenty – prawo jazdy wydane przez stan Maryland, karta ubezpieczenia społecznego, paszport – były sfałszowane. Miał też w kieszeni bilet lotniczy linii United z Miami do São Paulo i dziewięć tysięcy dolarów gotówką. Do bezpiecznego odlotu zabrakło mu piętnastu minut.

Kiedy Frye poinformował go, że jest aresztowany, zażądał adwokata i odmówił składania zeznań.

Theo i Ike stali obok biura portu lotniczego, gdy wyprowadzono Duffy'ego w kajdankach. Kiedy ich mijał, ponownie spojrzał wściekłym wzrokiem na chłopca.

Po chwili podszedł do nich agent specjalny Frye w towarzystwie Slade'a, Ackermana i jeszcze jednego agenta.

– Dobra robota, dzieciaku – powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Theo.

Rozdział 10

Kiedy wczesnym rankiem w niedzielę Theo obudził się w swoim pokoju, padało. Powiedział „Dzień dobry” Asesorowi, który spał pod łóżkiem albo obok, a czasem nawet na łóżku, ale pies nie otworzył oczu. Theo włączył laptopa i od razu zajrzał na stronę internetową gazety porannej Strattenburga. Z ekranu krzyczał nagłówek: PETE DUFFY ARESZTOWANY NA LOTNISKU W WASZYNGTONIE. Theo przeczytał artykuł szybciej niż cokolwiek innego w życiu. Znał fakty – szukał swojego nazwiska. Swojego i Ike’a. Nie zobaczył go.

Odetchnął głęboko i przeczytał wszystko jeszcze raz. Korzystając z anonimowej informacji, zespół agentów FBI przyskrzynił Duffy’ego, kiedy ten wsiadł na pokład samolotu lecącego do Miami i tak dalej. Przestępca zamierzał uciec do São Paulo w Brazylii z podrobionymi dokumentami i gotówką w kieszeni. Według nienazwanego źródła, FBI wpadło na jego trop w zeszłym tygodniu. Przypuszczano, że od paru tygodni mieszkał w Cleveland Park. Firma, która zapewniła fałszywą tożsamość Tomowi Carsonowi, także znalazła się pod lupą śledczych. Duffy przebywał w więzieniu w Arlington w stanie Wirginia i wkrótce miał zostać przewieziony do Strattenburga. Jego adwokat, Clifford Nance, nie odpowiadał na telefony. Lokalna policja i oskarżyciele niczego nie komentowali.

W dalszej części artykułu omawiano zarzuty stawiane Duffy’emu, szczegóły, które wszyscy w mieście znali od roku, w tym ten najważniejszy – zabójstwo. Zamieszczono też zdjęcie Myry Duffy, ofiary, którą pewnego czwartkowego ranka znaleziono uduszoną w salonie własnego domu, podczas gdy jej mąż Pete grał w golfa, tuż obok miejsca zamieszkania, w Waverly Creek. Było również zdjęcie Duffy’ego wchodzącego do sądu podczas procesu, który się skończył, kiedy sędzia Henry Gantry go unieważnił i odesłał ławę przysięgłych do domu. Krążyła w tamtym czasie plotka, że pod koniec procesu pojawił się tajemniczy świadek, który twierdził, że Duffy w czasie zabójstwa przebywał w swoim domu. Świadek ten nie został jednak zidentyfikowany. Zanim zaczął się drugi proces, Duffy zniknął.

Theo wiedział to wszystko; tkwił w samym środku tej sprawy. Teraz znowu znalazł się w jej centrum i to budziło w nim niepokój. Poprawka: śmiertelnie go przerażało. Duffy miał kilku niebezpiecznych przyjaciół. FBI jednak zapewniło chłopca, że ani on, ani jego stryj nie pojawią się w oficjalnej wersji wydarzeń. Jak dotąd wszystko szło dobrze, lecz Ike nie ufał lokalnej policji, jeśli chodzi o dyskrecję.

Oprócz zarzutu zabójstwa Duffy'emu miał zostać postawiony kolejny – zarzut ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości, zagrożony karą dziesięciu lat więzienia. Theo zadawał sobie pytanie, jak Duffy wykręci się od oskarżenia, że zwiął z miasta.

Obudził Asesora i razem zeszli na dół. Rodzice siedzieli przy stole kuchennym, wciąż w piżamach; czytali tę samą gazetę i popijali – ojciec czarną kawę, matka napój dietetyczny. Po kilku sennych „Dzień dobry” pani Boone spytała:

– Zajrzałeś do gazety?

– Tak, przed chwilą czytałem. Nie znalazłem tam swojego nazwiska.

Rodzice zdobyli się na wymuszony uśmiech i skinęli głowami. Oni też byli chorzy ze zmartwienia w związku z udziałem syna w tej sprawie. No ale co miał zrobić? Widział Duffy'ego w metrze. Ten człowiek był poszukiwany za morderstwo. Czy każdy porządny obywatel nie zrobiłby tego samego co Theo?

Tak, zgodzili się, że postąpił słusznie, lecz Theo odnosił inne wrażenie. Niemal żałował, że zrobił cokolwiek.

– Wygląda na to, że grozi mu co najmniej dziesięć lat więzienia, prawda? – powiedział.

– Z pewnością – mruknął ojciec. – Nie wiem, jak mógłby twierdzić, że nie uciekł.

– Będzie miał szczęście, jeśli nie dostanie kary śmierci – dodała matka.

Theo przygotował dwie miski cheerios, jedną dla siebie, drugą dla Asesora. Rodzice zagłębili się w gazetę i wyglądali na zmartwionych.

– Idziemy do kościoła? – spytał po pierwszej porcji płatków.

– Jest niedziela, Theo. Dlaczego mielibyśmy nie pójść do kościoła?

– Tylko spytałem.

Świetnie, udawajmy, że wszystko jest w porządku.

* * *

Po kościele i lunchu Theo wyszedł z domu. Powiedział matce, że chce pojeździć na rowerze, z Asesorem na smyczy. Kazała mu wrócić przed zmrokiem. Ruszył z animuszem i jechał zacienionymi uliczkami swojej cichej i spokojnej okolicy. Pomachał panu Nunnery'emu, starszemu człowiekowi, który nigdy nie opuszczał swojego ganku; zawołał „Dzień dobry!” do sąsiadki, pani Goodloe; ta miała jednak kłopoty ze słuchem.

Po raz kolejny cieszył się, że żyje w mieście, w którym dzieciaki mogą jeździć na rowerach, gdzie im się podoba, nie martwiąc się o niezliczone samochody i miliony ludzi na chodnikach. Nie mógłby nigdy mieszkać w miejscu takim jak Waszyngton. Było to super miasto, na pewno warte odwiedzenia, ale on potrzebował przestrzeni. Z Asesorem, który galopował obok niego jak najszcześniejszy pies na świecie, skręcał to tu, to tam; omijał śródmieście, gdzie jakiś znudzony policjant mógł nawrzeszczeć na niego za to, że przejeżdża znaki stopu. Theo znał wielu policjantów w Strattenburgu; z reguły miłych facetów, ale paru uważało, że dzieciaki na rowerach powinny przestrzegać wszystkich bez

wyjątku przepisów. Jednym z jego ulubionych miejsc był kampus przy Stratten College, gdzie studenci zawsze rzucali frisbee i zabijali czas na rozległych zielonych trawnikach. Lubił ten college, ale nie bardzo wiedział, czy po szkole chce tam iść. Za blisko domu. Theo miał trzynaście lat, a już myślał o tym, żeby z niego uciec.

Okolica zwana Delmont leżała blisko szkoły i mieszkało tam wielu uczniów – w starszych bliźniakach i dużych budynkach, a także zaniedbanych domach jednorodzinnych. Były tam kawiarnie, bary, antykwariaty z książkami – jednym słowem śródmieście jak w starych miasteczkach. Znalazł ulicę, której szukał, a potem mały dom, gdzie od kilku miesięcy mieszkał Julio Pena z rodzicami.

Penowie przebywali kiedyś w schronisku dla bezdomnych przy Highland Street. To właśnie tam Theo poznał Julia i pomagał mu przy odrabianiu lekcji. Chłopak chodził do siódmej klasy gimnazjum i Theo widywał go czasem na szkolnym boisku. Jego kuzyn, Bobby Escobar, był głównym świadkiem oskarżenia w procesie Duffy’ego.

W dniu, w którym zamordowano Myrę Duffy, Bobby pracował na polu golfowym Waverley Creek, gdzie był zatrudniony od trzech miesięcy. Przed rokiem nielegalnie przyjechał do Stanów Zjednoczonych z Salwadoru. Niektórzy nazywali go „nielegalnym imigrantem”. Inni „pracownikiem bez dokumentów”.

Theo przeczytał w gazecie, że w kraju żyje około jedenastu milionów ludzi, którzy tak jak Bobby ukrywają się i pracują.

W każdym razie Bobby jadł sobie spokojnie lunch pod drzewami, kiedy zobaczył nagle Pete’a Duffy’ego na wózku golfowym. Duffy pojechał do swojego domu, zniknął w nim na dziesięć minut, po czym wyszedł, wskoczył z powrotem na wózek i czym prędzej odjechał. Była jedenasta czterdzieści pięć – mniej więcej o tej godzinie uduszono Myrę Duffy. Bobby bał się wychylać z oczywistego powodu – nie chciał być deportowany – ale Theo przekonał go do rozmowy z sędzią Gantrym. Doszło do niej już po rozpoczęciu procesu i właśnie dlatego sędzia go unieważnił. Policja obiecała chronić Bobby’ego i dopilnować, by nie miał żadnych problemów imigracyjnych. Boone’owie chcieli za niego poręczyć i pomóc mu w załatwieniu obywatelstwa, ale wszystko to przebiegało bardzo wolno.

* * *

Theo zapukał do drzwi, lecz nikt nie otworzył. Zajrzał na podwórze od tyłu, potem wskoczył na rower i ruszył ulicą. Kilku chłopców grało w niewielkim parku w piłkę nożną, czemu przyglądało się wielu ludzi. Niemal wszyscy byli latynoamerykańskiego pochodzenia. Julio stał w grupie dzieciaków ze swoim rodzeństwem, Hectorem i Ritą, za bramką; dla zabicia czasu kopał piłkę. Theo podjechał bliżej i Julio go zauważył. Uśmiechnął się i podszedł.

– Co tu robisz, Theo?

– Właściwie nic, jeżdżę na rowerze.

Hector i Rita, których Theo uczył w schronisku angielskiego, widząc, że chłopak rozmawia z ich bratem, podbiegli, żeby się przywitać. Niebawem ich uwagę skupił na sobie Asesor; wzięli od Theo smycz i poszli z psem na spacer. Inne dzieci też chciały pogłaskać go po łbie i coś do niego mówiły. Asesor pękał z dumy.

Theo i Julio rozmawiali o tym i owym.

– Słuchaj, Julio, jak tam Bobby? – spytał w końcu Theo. – Wciąż z wami mieszka?

Julio zmarszczył czoło i przez chwilę obserwował mecz.

– Bywa u nas, a potem wraca do swojego dawnego mieszkania. Wciąż się bardzo boi, wiesz? Poza tym Bobby i moja matka nie bardzo się dogadują.

– Kiepsko.

– Tak, często się kłóć. Bobby lubi piwo i przynosi je do domu, a to matkę denerwuje. Nie chce u siebie czegoś takiego. Mówi, że to jej dom i że Bobby musi się dostosować do obowiązujących w nim zasad. Wydaje mi się, że Bobby robi też inne złe rzeczy, wiesz?

– Wiem – rzucił Theo, choć tak naprawdę nie wiedział. – Nie wygląda to dobrze. Wciąż pracuje na polu golfowym?

Julio skinął głową.

– Posłuchaj, Julio, Bobby powinien o czymś wiedzieć. Właśnie znaleźli i aresztowali Pete'a Duffy'ego. Czeka go następny proces.

– Ten facet, który zabił żonę?

– Tak, a Bobby stanie się bardzo ważną osobą. Rozmawiał ostatnio z policją?

– Nie wiem. Nie widuję go codziennie.

– Hm... Chyba musisz z nim pogadać, żeby wiedział. Jestem pewien, że niedługo policja będzie chciała z nim rozmawiać. – Theo miał ochotę powiedzieć coś o Omarze Cheepie i Paco, a także innych twardych gościach, którzy wciąż chodzili po ziemi i zapewne pracowali dla Pete'a Duffy'ego, ale nie zamierzał nikogo straszyć. Gdyby Bobby się spietrał, ulotniłby się jak kamfora.

– Myśli o powrocie do domu – powiedział Julio. – Umiera mu matka, poza tym bardzo tęskni za rodzinnym krajem.

– To siostra twojej mamy?

– Tak.

– Cholernie mi przykro. Tylko że moi rodzice starają się dla niego o zezwolenie na pracę. Nie powinien w najbliższym czasie wyjeżdżać. Możesz mu to przekazać?

– Gdyby twoja matka umierała, nie chciałbyś wrócić do domu?

– Jasne, że chciałbym.

– Poza tym wciąż się denerwuje, że wciągną go w tę sprawę. W zeszłym tygodniu zatrzymano paru jego przyjaciół, którzy zbierali jabłka w sadzie, niedaleko stąd. Nie mieli papierów, więc teraz czekają gdzieś w więzieniu, aż ich odeślą do Salwadoru. Niełatwo tak żyć, Theo. Może trudno ci to zrozumieć, ale Bobby nie chce się mieszać w sprawę Duffy'ego. W przeciwieństwie do ciebie nie każdemu ufa.

– Rozumiem.

Hector i Rita wrócili z Asesorem, znudzeni psem i gotowi oddać komuś smycz. Asesor natomiast był zmęczony powszechną uwagą i chciał wracać do domu. Theo pożegnał się więc z rodzeństwem Penów i odjechał.

Rozdział 11

Ulubionym nauczycielem Theo był pan Mount, jego wychowawca i opiekun koła dyskusyjnego. Był po trzydziestce, nie miał żony i lubił flirtować z młodszymi nauczycielkami; chłopcy w szkole uwielbiali jego radosny i wyluzowany stosunek do życia. Miał w rodzinie wielu prawników i sam ukończył prawo. Przez rok, niezbyt przyjemny, pracował dla pewnej dużej kancelarii w Chicago. Uczenie było jego pasją i lubił kontakt z młodzieżą, doszedł więc do wniosku, że woli sale lekcyjne od sądowych. W trzecim semestrze Theo miał z nim wychowanie obywatelskie, na którym pan Mount często pozwalał chłopcom dyskutować o tym, o czym mieli ochotę rozmawiać, byleby miało to choćby odległy związek z polityką, historią czy prawem. No i zadawał proste prace domowe.

Ponieważ w mediach bezustannie mówiono o Duffym, wszyscy wiedzieli, jaki będzie temat następnej lekcji.

– Mam pytanie – zgłosił się Darren, gdy tylko pan Mount nakazał ciszę.

– O co chodzi, Darren?

– W gazecie napisali, że Pete Duffy może uzyskać zwolnienie z ekstradycji do Strattenburga. Co to znaczy?

Pan Mount zerknął na Theo, ale w końcu postanowił sam odpowiedzieć. Theo wiedział o prawie więcej niż ktokolwiek w klasie, z wyjątkiem pana Mounta, ale nie zawsze lubił wieść prym podczas dyskusji. Nie chciał uchodzić za mądralę.

– Dobrze pytanie – przyznał pan Mount. – Ekstradycja polega na odesłaniu osoby aresztowanej w jednym stanie do tego, na którego terenie dokonała przestępstwa. Jeśli przestępca nie chce wrócić tam, gdzie miał kłopoty, może się starać o to, by zaniechano ekstradycji. Zazwyczaj mu się to nie udaje. Problem pojawia się głównie wtedy, gdy w jednym stanie obowiązuje kara śmierci, a w drugim nie. Ale nawet wówczas przestępca zwykle przegrywa. Najgorzej jest, kiedy oskarżony przebywa w innym kraju. Stany Zjednoczone nie mają podpisanej umowy ekstradycyjnej ze wszystkimi państwami. Widzieliście może film *Wielki napad na pociąg*?

Kilku uczniów podniosło rękę.

– To prawdziwa historia napadu na pociąg w Anglii, chyba w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Gangsterzy zatrzymali pociąg wyładowany pieniędzmi i uciekli bez żadnych przeszkód. W końcu wszyscy zostali złapani z wyjątkiem jednego, który zwał do Brazylii, tego samego kraju, do którego zamierzał polecieć Duffy. W tamtym czasie Brazylia nie miała podpisanej umowy ekstradycyjnej z Wielką Brytanią, więc gość mógł tam sobie całkiem nieźle żyć, a brytyjska policja nie była w stanie go tknąć.

– Co się z nim stało? – spytał Darren.

– Zateśknił w końcu za krajem i wrócił do Londynu. Zdaje się, że umarł w więzieniu.

– Mam inne pytanie – powiedział Woody. – Mój tata mówi, że jest niemożliwe, by facet oskarżony o morderstwo mógł wpłacić kaucję i czekać na proces na wolności. Pete Duffy zdołał to obejść, no i wiadomo, co się stało. Był bogaty, więc potraktowano go ulgowo, zgadza się? Tata mówi, że każdy inny siedziałby w więzieniu i nie mógłby uciec. Nie rozumiem, o co chodzi z tą kaucją.

Pan Mount znowu spojrzął na Theo, a ten wyjaśnił:

– No cóż, twój tata ma rację. Sędziowie w większości nie rozpatrują nawet wniosku o kaucję w sprawie o zabójstwo z premedytacją. Jeśli chodzi o inne sprawy, na przykład malwersacje... Dajmy na to, że kradniesz pieniądze swojemu szefowi... To poważne przestępstwo, ale nie zbrodnia, więc twój adwokat prosi sędziego o wyznaczenie rozsądnej kaucji. Oskarżyciel zawsze się domaga, by była wysoka, a obrona, by była niska. Powiedzmy, że sędzia ustala kaucję w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Udajesz się do poręczyciela i wykładasz dziesięć procent w gotówce. On wypisuje czek, a ty wychodzisz i oczekujesz procesu na wolności, i wszyscy są zadowoleni. Jeśli nie stawisz się w sądzie, poręczyciel ma prawo cię ścigać i sprowadzić z powrotem.

– Jaka jest różnica między poręczeniem a kaucją? – spytał Woody.

– W gruncie rzeczy żadna. Prawnicy posługują się oboma określeniami. Mówią: „Poręczenie za mojego klienta wynosi pięć tysięcy dolarów” albo „Kaucja za mojego klienta wynosi pięć tysięcy dolarów”. Mają na myśli to samo.

– Więc jak Duffy uzyskał poręczenie?

– Miał pieniądze. Wyznaczono mu kaucję w wysokości miliona dolarów, a on zastawił kawałek ziemi, który był tyle wart. Nie poszedł do poręczyciela, a jego adwokat zawarł umowę z sądem.

– Co się stało, jak już zniknął?

– Hrabstwo przejęło ziemię. Tak po prostu.

– Odzyska ją, skoro go znaleźli?

– Nie, stracił ją na zawsze. Jak twierdzi mój tata, hrabstwo zamierza ją sprzedać i zatrzymać gotówkę.

– Czy Duffy może teraz ubiegać się o ustalenie wysokości kolejnej kaucji?

– Po tym, jak już raz zwiął przed wymiarem sprawiedliwości, nie może. W przypadku uciekiniera żaden sędzia nie będzie rozpatrywał wniosku o kaucję.

– Będziemy mogli przyglądać się procesowi? – zwrócił się do nauczyciela Ricardo.

Pan Mount się uśmiechnął.

– Spróbujemy. To wszystko, co mogę obiecać. Wątpię, czy szybko do niego dojdzie.

– Zastanawiam się, jak go złapali – wtrącił Brian.

Gdybyś tylko wiedział, pomyślał Theo.

Podczas samodzielnej nauki spytał pana Mounta, czy może na chwilę wyjść. Miał do załatwienia pewną sprawę. Nauczyciel popatrzył na niego podejrzliwie,

ale ostatecznie się zgodził. Jeśli chodzi o kłopoty, to Theo lubił od czasu do czasu pobalansować na linie, ale nigdy nie posunąłby się do czegoś strasznego.

Znalazł Julia na boisku szkolnym; chłopak znowu grał w piłkę. Julio zrobił sobie przerwę, stanął obok Theo i obaj obserwowali mecz.

– Jak poszło z Bobbym? – spytał Theo cicho.

– Widziałem go wczoraj wieczorem. Powtórzyłem mu to, co mi powiedziałaś. Zdenerwował się. Zastanawia się, dlaczego miałby występować na procesie w sprawie zabójstwa. Ma wszystko do stracenia i nic do zyskania. Nic go nie obchodzi, czy ten Duffy pójdzie do więzienia, czy nie. Poza tym bardzo martwi się o matkę.

– Trudno go o to winić.

– Wiesz, byłoby lepiej, gdyby tego Duffy'ego nigdy nie złapano.

– Może i masz rację – przyznał Theo, którego znów ogarnęło poczucie winy. Ale tak naprawdę czy był czemuś winien? Zauważył zbiega i zrobił to, co wydawało się słuszne. – Powiedz Bobby'emu, że wszystko będzie w porządku, dobra, Julio? Musi współpracować z policją.

– Może ty mu to powiesz.

– Zrobię to.

Po powrocie do klasy miał ochotę kopnąć się za to, że tak się wpakował. Wsadził nos w nie swoje sprawy i teraz tego żałował. Ten cyrk z Duffym znowu się zacznie i po mieście będą się kręcić źli goście. Gdyby jakimś cudem wyciekło, że on i Ike są odpowiedzialni za schwytanie Duffy'ego, mogłoby się zrobić nieprzyjemnie. W dodatku Bobby Escobar mógł w każdej chwili zniknąć.

Po szkole Theo zameldował się w kancelarii Boone i Boone. Elsa poinformowała go, że w zeszłym tygodniu włożył dwa razy tę samą koszulę i że jest znudzona jej widokiem. Podziękował i poszedł do swojego gabinetu, małego pokoju na tyłach, służącego niegdyś za magazyn podręczny. Kiedy wszyscy byli zajęci, zostawił Asesora w kancelarii, wymknął się tylnym wyjściem i pojechał na rowerze do śródmieścia na spotkanie z April Finnemore w Guff's Frozen Yogurt przy głównej ulicy.

Zamówił swój ulubiony mrożony jogurt – czekoladowy z kruszonymi ciasteczkami Oreo. April nigdy nie brała tego samego dwa razy z rzędu. Była artystką, typem kreatywnym i zawsze próbowała czegoś nowego. Nie rozumiał tego, a ona nie rozumiała, dlaczego Theo jest tak sztywny w swoich nawykach. Żył według zegarka i rzadko zapuszczał się na nieznane wody. Winił za to rodziców. Po skosztowaniu trzech specjałów – podczas gdy Theo czekał cierpliwie – w końcu zdecydowała się na jogurt pistacjowy z orzechami włoskimi.

Orzechy włoskie? Theo nie odezwał się słowem. Poszli do swojego stałego boksu, który dawał pewną dozę prywatności. April zaczęła od konkretnego pytania:

– Chcę wiedzieć, dlaczego nie byłeś w szkole w czwartek i w piątek.

– Nie mogę powiedzieć.

– Zachowujesz się dziwnie, Theo. Co się dzieje?

April była jedyną przyjaciółką, która umiała dochować tajemnicy. Pochodziła z rozbitej rodziny, która zachowywała się dziwnie i głupio, tak że gdyby ludzie o tym wiedzieli, byłiby zażenowani. April bardzo wcześnie nauczyła się więc siedzieć cicho. Potrafiła też wyczuwać kłopoty. Jeśli Theo się martwił, bał się albo był w złym nastroju, od razu pytała: „Dobra, Theo, co się dzieje?”. Zawsze jej mówił i zawsze czuł się wtedy lepiej. Ona też zwierzała mu się z różnych rzeczy, zwłaszcza dotyczących jej rodziny, ale także z marzeń o ucieczce z domu, o tym, że chce zostać wielką artystką i mieszkać w Paryżu. Większość chłopców nie miałaby cierpliwości do takich głupstw, lecz Theo uwielbiał April i zawsze chętnie jej słuchał.

Nabrał do ust trochę jogurtu, otarł serwetką okruchy oreo z wargi, rozejrzał się, by mieć pewność, że nikt nie słucha, i powiedział:

– Wiesz o tym, że złapali Pete’a Duffy’ego?

– Oczywiście. Trąbią o tym we wszystkich wiadomościach.

– Powiem ci, jak to było.

Zrelacjonował jej wszystko.

– To, co zrobiłeś, było naprawdę odważne i godne pochwały. Dzięki tobie morderca stanie przed sądem. Kiedy go zobaczyłeś i rozpoznałeś, nie miałeś wyboru. Musiałeś postąpić tak, jak postąpiłeś. Jestem z ciebie bardzo dumna. Nie wyobrażam sobie, by jakikolwiek inny chłopak tak się zachował. Przydybałeś go dwa razy!

– A jeśli się dowie, kim jestem? Gdybyś widziała jego minę, kiedy wprowadzali go w kajdankach, naprawdę byś się przeraziła.

– Nie robi ci krzywdy. Ma dość własnych kłopotów. Poza tym wątpię, czy cię rozpoznał. Nigdy nie poznałeś tego człowieka. Jesteś trzynastolatkiem, którego widział na lotnisku, w chwili gdy na pewno był w szoku. Nie martwiłabym się o to.

– A co z Bobbym Escobarem? Jest w trudnym położeniu i prawdopodobnie śmiertelnie się boi. Skomplikowałem mu życie.

– Jest głównym świadkiem. Musisz wierzyć, że policja zadba o swojego głównego świadka.

– Tak sędzę. Ale Duffy wynajmuje zbirów, których widziałem podczas pierwszego procesu. Wciąż pewnie się tu kręcą.

– Może nie. Niewykluczone, że zwiali z miasta, kiedy Duffy uciekł. No dobra, powiedzmy, że wciąż tu są. Co zyskają, dobierając się do ciebie? Jesteś tylko dzieciakiem. Jeśli cię skrzywdzą, to nie pomogą Duffy’emu w procesie.

– Jakoś mnie to nie uspokaja.

– Wyluzuj, Theo, za bardzo się przejmujesz.

– Martwi mnie coś jeszcze. To sprawa odległej przyszłości, ale myślę o tym. Założmy, że Duffy staje przed sądem, zostaje skazany za zabójstwo, a ława przysięgłych orzeka karę śmierci. Potem, pewnego dnia, prowadzą go na miejsce egzekucji w Deep Rock Prison, dają mu zastrzyk i koniec. Jeśli do tego dojdzie, część winy spadnie na mnie.

– Zawsze mówiłeś, że wierzysz w prawo, tak?

– Oczywiście.

– A prawo tego stanu mówi, że jeśli ktoś zostaje skazany za zabójstwo z premedytacją, to zasługuje na karę śmierci. Nie zgadzam się z tym, ale tak jest. Nikt cię nie będzie winił tylko dlatego, że postąpiono zgodnie z prawem.

Theo przełknął trochę mrożonego jogurtu i starał się pomyśleć o czymś innym, czym mógłby się martwić. Nic mu jednak nie przyszło do głowy.

– Nie wierzysz w skuteczność kary śmierci? – spytał.

– Nie, uważam, że to coś okropnego. Nie mów mi, że jesteś za tym, żeby stan przeprowadzał egzekucję.

– Nie wiem, jeśli mam być szczery. Mój tata opowiada się za karą śmierci. Mama jest tego samego zdania co ty. Spierają się o to, a ja wysłuchuję obu stron. Co zrobić z seryjnymi zabójcami i terrorystami?

– Po to mamy więzienia, żeby zamykać w nich złych ludzi i trzymać ich od nas z daleka.

– Więc jeśli udowodnię, że Pete Duffy udusił żonę, żeby zgarnąć milion dolarów ubezpieczenia, to uważasz, że powinni go wysłać na resztę życia do więzienia?

– Tak. A co innego mieliby z nim zrobić?

– Nie wiem. Będę musiał się nad tym zastanowić. Ale jeśli jego zbiry zaczną mnie szukać, to jestem za karą śmierci.

– Wyluzuj, Theo. Za bardzo się przejmujesz.

– Dzięki, April. Zawsze czuję się lepiej, jak z tobą porozmawiam.

– Od tego są przyjaciele.

– Tylko proszę, nic nikomu nie mów.

– Przestań się martwić.

* * *

Ike się nie martwił. Popijał piwo i słuchał starych przebojów, kiedy Theo i Asesor zjawili się u niego w poniedziałek po południu w ramach obowiązkowych odwiedzin.

– Coś nowego? – spytał go bratanek.

Ike popijał i grywał w pokera ze starymi gośćmi, emerytowanymi sędziami i policjantami, a nawet podejrzanymi typami, których policja nigdy nie ujęła i nie stanęli przed obliczem sędziego. Był bardzo dumny ze swej umiejętności zbierania plotek.

– Mówi się, że Duffy nie wystąpi o wstrzymanie ekstradycji. Może się tu znaleźć w ciągu dwóch dni. Jego sytuacja przedstawia się kiepsko. Jest splukany i nie stać go na ponowne wynajęcie Clifforda Nance'a. Prawdopodobnie nie może wynająć żadnego przyzwoitego adwokata. Stracił milion dolarów na kaucję i jego uroczy dom w Waverly Creek zostanie pewnie przejęty przez bank.

– No to kto go będzie reprezentował?

– Nie mam pojęcia. Znajdzie kogoś, jakiegoś wygłodniałego adwokata, który szuka dużej sprawy. Wziąłbyś jego sprawę, Theo, gdybyś był młodym prawnikiem? Zawsze powtarzasz, że chcesz występować jako adwokat w sądzie.

– Raczej nie podjąłbym się jego obrony. Wygląda na winnego.

– Jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. Adwokaci nie zawsze mogą wybierać sobie klientów, a większość oskarżonych w sprawach kryminalnych i tak jest winna. Ktoś musi ich reprezentować przed sądem.

– Jest winien ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości. Grozi za to dziesięć lat. obrońca niewiele może tu zdziałać.

– Owszem. Mam przecucie, że Duffy zechce pójść na ugodę. Przyzna się do popełnienia zabójstwa, uniknie procesu, a w zamian za to stan nie będzie się domagał kary śmierci. Takie rzeczy często się zdarzają. Spędzi resztę życia w więzieniu, gdzie jego miejsce, ale przynajmniej będzie żył.

– Czy w więzieniu naprawdę jest tak źle, Ike? – spytał ostrożnie Theo. Ten temat zawsze był tabu.

Ike oparł stopy o biurko i pociągał z butelki, namyślając się przez długą chwilę.

– Można by powiedzieć, że miałem szczęście – odezwał się w końcu – ponieważ nie trafiłem do okropnego więzienia. Każde jest złe, bo siedzisz zamknięty i zapomniany. Straciłem wszystko, łącznie z rodziną. Nazwisko, szacunek, zawód, poczucie własnej wartości, wszystko. O tym myślisz, kiedy jesteś w więzieniu, o tym, czego wcześniej nie doceniałeś. To było straszne, po prostu straszne. Nie przebywałem w miejscu, gdzie spotykały nas jakieś okropne rzeczy. Jasne, dochodziło do przemocy, ale nigdy nie oberwałem. Znalazłem sobie przyjaciół. Poznałem ludzi, którzy siedzieli znacznie dłużej ode mnie i przetrwali. Pracowaliśmy, płacono nam, czytaliśmy tysiące książek, mieliśmy dostęp do gazet i magazynów, oglądaliśmy telewizję, czasem stare filmy, pisaliśmy listy, ćwiczyliśmy. Jedzenie było koszarne, ale w gruncie rzeczy moje zdrowie się poprawiło, ponieważ przestałem palić i pić, za to codziennie biegałem. – Łyknął piwa i zapatrzył się w ścianę. – Więzienie, do którego pójdzie Duffy, będzie znacznie gorsze, lecz da się tam przeżyć. Jeśli trafi do celi śmierci, to czekając na egzekucję, będzie siedział sam zamknięty przez dwadzieścia trzy godziny na dobę. Więc na miejscu Pete'a Duffy'ego poszedłbym na ugodę i uniknął kary śmierci. Zachowa życie, a to znaczy bardzo dużo.

– Stan zaproponuje mu ugodę?

– Nie wiem i jest za wcześnie na snucie jakichkolwiek przypuszczeń. Jack Hogan to bardzo dobry prokurator, i to on podejmie decyzję.

– Chciałbym śledzić ten proces. Naprawdę.

– Przykro mi, ale w tej sprawie nie będziesz miał chyba zbyt dużo do powiedzenia. – W tym momencie na biurku zadzwonił telefon i Ike rzucił okiem na numer, który się wyświetlił. – Muszę odebrać.

Rozdział 12

Dwa dni później w Strattenburgu jak grom z jasnego nieba gruchnęła wieść. Pete Duffy nie zamierzał starać się o zaniechanie ekstradycji i wracał do miasta. W środowych wieczornych wiadomościach głównym tematem był przyjazd pana Duffy'ego, a ekipa telewizyjna filmowała go z daleka, kiedy w otoczeniu policjantów wysiadał z nieoznakowanego samochodu i powłócząc nogami, zniknął w bocznym wejściu do więzienia. Był w kajdankach, nogi na wysokości kostek też mu skuto. Nosił czapkę i okulary przeciwsłoneczne. Mignął tylko przez krótką chwilę, ale wystarczyło, by Theo poczuł dreszcz podniecenia.

Oglądał wiadomości z rodzicami. Powinien już leżeć w łóżku, lecz w takiej sytuacji machnęli na to ręką. Reporterka, powołując się na anonimowe źródło, poinformowała, że pan Duffy pojawi się w sądzie w piątek.

Theo zaczął kombinować, jak tu wykręcić się od szkoły i pójść do sądu.

– Co ty na to, Theo? – spytała matka.

Wzruszył ramionami, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– Gdyby nie ty, Duffy byłby już w Ameryce Południowej. Jako wolny człowiek, prawdopodobnie do końca życia – dodała.

Z jednej strony żałował, że Duffy nie jest w Brazylii, z drugiej jednak ekscytował się na myśl, że widzi faceta z powrotem w mieście i że będzie śledził jego proces.

– Wiem, że powinniśmy uznawać go za niewinnego, dopóki nie udowodni mu się winy, ale trudno w tej chwili tak na niego patrzeć – powiedział. – Skoro jest niewinny, to dlaczego uciekał, jakby był winny?

– No tak, ciąży na nim zarzut o ucieczkę przed wymiarem sprawiedliwości – przyznała pani Boone.

– Ike uważa, że Duffy będzie próbował pójść na ugodę – oznajmił Theo.

– Wątpię – wtrącił ojciec, zawsze gotów nie zgadzać się z bratem. – Po co miałby akceptować dożywocie bez jakiegokolwiek możliwości zwolnienia?

– Żeby ocalić głowę – odparła pani Boone, zawsze gotowa nie zgadzać się z mężem, przynajmniej w kwestiach prawnych. – Grozi mu kara śmierci, Woods.

– Wiem o tym.

Reporterka przeszła kilka kroków i przywitała się z Jackiem Hoganem, wieloletnim prokuratorem hrabstwa Stratten. Spytała go o szczegóły zatrzymania Duffy'ego w Waszyngtonie, ten jednak oświadczył, że nie może mówić na ten temat.

Przez sekundę Theo miał problemy z oddychaniem.

Potem spytała Hogana o zarzuty, które zostaną postawione Duffy'emu. Takie same jak poprzednim razem, odparł. Przede wszystkim zabójstwo z premedytacją. I, co oczywiste, ucieczka przed wymiarem sprawiedliwości. Kiedy Duffy pojawi się po raz pierwszy w sądzie? Nie zostało to jeszcze ustalone, odpowiedział Hogan, i było jasne, że nie powie wiele więcej. Reporterka w końcu podziękowała mu i na tym relacja się skończyła.

– Pora spać – rzuciła pani Boone i jej syn ruszył na górę po schodach z psem deptającym mu po piętach.

Asesor bez trudu zasnął pod łóżkiem, ale Theo nie był w stanie zamknąć oczu. W którymś momencie długiej i ciemnej nocy wpadł na genialny pomysł. Pan Mount wymagał oddania pod koniec semestru dziesięciostronicowej pracy. Theo zamierzał napisać o czynnościach wstępnych przed poważnym procesem w sprawie kryminalnej. Na początkowym etapie zawsze dużo się działo, bo prawnicy reprezentujący strony próbowali zyskać przewagę. Spierali się o wysokość kaucji. Przedkładali wnioski o zmianę właściwości terytorialnej sądu, czyli o przeniesienie procesu do innego miasta. Walczyli zaciekle o to, jakie dowody należy przedstawić ławie przysięgłych, a jakich nie. I tak dalej. Większość ludzi nie jest świadoma tego całego wysiłku poprzedzającego procesy, zanim jeszcze w ogóle się rozpoczną.

Theo zamierzał jednak wyjaśnić to wszystko w swojej pracy semestralnej. I gdyby pan Mount wyraził zgodę, on musiałby spędzić mnóstwo czasu w sądzie.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej sobie uświadamiał, jakie to genialne.

Panu Mountowi spodobał się ten pomysł. Kiedy w czwartej Theo rozmawiał z nim o tym, zdradzał taką ekscytację, że nie sposób było mu odmówić. W piątek poinformował nauczyciela, że o pierwszej piętnaście musi być w sądzie. Właśnie o tej godzinie miał się tam pojawić Pete Duffy, po raz pierwszy od chwili, gdy sprowadzono go z powrotem do Strattenburga. By zdążyć na czas, Theo musiał się zwolnić z lekcji angielskiego z panem Tylerem i nauki własnej, z WF-u. Chłopiec targował się przez kilka minut z panem Tylerem, zanim ten ustąpił. W piątek po południu i tak zwykle zwalniano Theo z angielskiego z powodu astmy, którą wykorzystywał, ilekroć było to konieczne.

Tak więc dziesięć po pierwszej Theo i Ike siedzieli w sali sądowej wibrującej podnieceniem. Zjawiło się sporo ludzi, żeby zobaczyć Duffy'ego. Theo rozpoznał większość urzędników i woźnych. Była też jak zwykle grupa znudzonych prawników, którzy kręcili się w pobliżu, zajmując się głównie tym, by wyglądać poważnie. Przyszło także trzech reporterów i kilku policjantów po służbie. Clifford Nance rozmawiał przy stole obrony z dwoma innymi adwokatami. Przy stole oskarżenia natomiast prokurator Jack Hogan i jego podwładni czytali dokumenty, a sądząc po ich zmarszczonych czołach, chodziło o jakieś skomplikowane sprawy.

Drzwi się otworzyły i do sali wkroczyli dwaj potężnie zbudowani policjanci. Za nimi szedł Pete Duffy w pomarańczowym więziennym kombinezonie; nadgarstki i kostki nóg miał skute. Wszyscy umilkli i popatrzyli z niedowierzaniem. To był naprawdę on. Złapany! Bogaty facet, który nosił drogie garnitury i emanował

pewnością siebie, został sprowadzony do poziomu zwykłego pensjonariusza miejskiego zakładu karnego. Przystojny, elegancki dżentelmen z kiepsko ufarbowanymi na blond włosami i zarosniętą twarzą wyglądał jak typ spod ciemnej gwiazdy.

Policjanci szybko go rozkuli. Gdy prowadzili go w stronę stołu obrony, pocierał sobie nadgarstki. Clifford Nance pochylił się i coś do niego powiedział. Duffy rozejrzał się dzikim wzrokiem po sali, zaniepokojony liczbą ludzi, którzy przyszedli go oglądać. Sprawiał wrażenie wystraszonego i zdezorientowanego, jakby nie mógł uwierzyć, że znów tu jest.

W pierwszym rzędzie za barierką Theo dostrzegł Omara Cheepe'a, jednego z ludzi Duffy'ego.

Na sygnał woźnego wszyscy podnieśli się z miejsc; w tym momencie w drzwiach z tyłu sali ukazał się sędzia Henry Gantry. Stuknął młotkiem i poprosił, by usiedli. Nie marnując czasu, spojrzął na oskarżonego i spytał:

– Zechciałby pan podejść?

Duffy wstał i pokonał kilka kroków dzielących go od sędziego. Popatrzył ku górze, a sędzia Gantry spojrzął w dół. Clifford Nance zbliżył się niespiesznie i stanął obok swojego klienta.

– Nazywa się pan Pete Duffy? – zaczął sędzia.

– Tak.

– Witamy w domu.

– Dziękuję.

– Czy obecny tu pan Clifford Nance to wciąż pański adwokat?

– Tak.

– Jest pan nadal oskarżony o zamordowanie żony, pani Myry Duffy. Rozumie pan?

– Rozumiem.

– Przyznaje się pan do winy?

– Nie przyznaję się, Wysoki Sądzie.

– Jest pan także oskarżony o ukrywanie się przed wymiarem sprawiedliwości. Omówił pan tę sprawę ze swoim obrońcą?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Pańska odpowiedź na ten zarzut?

– Jestem niewinny.

– Dziękuję. Może pan wrócić na miejsce.

Duffy i Nance usiedli za stołem obrony. Sędzia oznajmił, że chce, by sprawa przebiegła tak szybko, jak to możliwe, zaznaczył, że nie będzie tolerował opóźnień którejkolwiek ze stron i jest zdecydowany ustalić datę pierwszej rozprawy. Clifford Nance wspomniał o przesłuchaniu w celu ustalenia kaucji, ale sędzia Gantry z miejsca mu przerwał. Nie, pan Duffy będzie spędzał dni i noce w więzieniu, czekając na proces. Zwolnienie za kaucją jest wykluczone. Nance najwyraźniej się tego spodziewał. Podobnie jak wszyscy inni. Adwokaci zaczęli dyskutować o tym, ile czasu potrzebują na przygotowania.

– Myślałem, że tym razem Duffy nie da rady wynająć Nance'a – wyszeptał Theo do stryja.

– Jak widać, mógł – odpowiedział Ike, też szeptem. – Wszyscy uważają, że on jest splukany, ale może ma gdzieś ukryty jakiś łup. Albo Nance zgodził się bronić go za mniejsze honorarium, bo zależy mu na udziale w dużej sprawie. Kto wie?

Ike często prezentował zwariowane teorie, nie mając nic na ich poparcie. Theo podejrzewał, że spędza za dużo czasu na plotkowaniu ze swoim starymi kumplami, z których wszyscy mieli już najlepsze lata za sobą i byli skłonni spekulować bez znajomości jakichkolwiek faktów.

Theo zachowywał ostrożność. Garbił się i chował za osobą, która siedziała przed nim. Nie chciał napotkać wzroku Pete'a Duffy'ego. Jasne, facet przebywał w więzieniu i należało go zapewne uznać za nieszkodliwego, lecz Theo wolał trzymać się od niego z daleka. Spojrzeli sobie w oczy zeszłej soboty na lotnisku w Waszyngtonie i Duffy mógł to zapamiętać. Oczywiście, Theo był wtedy w przebraniu. Zwierzył się ze swoich lęków stryjowi, ale ten nie dawał się łatwo przestraszyć.

No i był Omar Cheepe, podejrzany typ, znany z tego, że kręcił się niedaleko kancelarii Clifforda Nance'a i wykonywał dla niego brudną robotę. Miał pomagiera imieniem Paco; po prostu para zbirów.

Kiedy posiedzenie w sądzie dobiegło końca, Theo miał dwie możliwości do wyboru. Mógł wskoczyć na rower i popędzić z powrotem do szkoły albo zaproponować Ike'owi mrożony jogurt u Guffa, kawalek dalej. Wiedział, że stryj nigdy nie odmawia i że chętnie będzie stawiał.

Theo zamówił to, co zwykle – czekoladowy z kruszonymi ciasteczkami Oreo. Ike wziął dla siebie jogurt z mango i czarną kawę.

– Mam do ciebie pytanie, Ike – powiedział Theo, po czym nabrał na łyżeczkę imponującą porcję.

– Nie wątpię. Zawsze masz jakieś pytania.

– Tak jak to rozumiem, obie strony przed procesem muszą wymienić się listą świadków, czy tak?

– Zgadza się. Nazywa się to ujawnieniem. I nie są to tylko nazwiska świadków, ale też streszczenia ich zeznań.

– Więc tożsamość Bobby'ego Escobara będzie znana Duffy'emu i jego prawnikom. Dowiedzą się, że oskarżenie ma świadka, który powie, że widział, jak Duffy wchodzi do swojego domu w tym samym czasie, gdy uduszono jego żonę. Zgadza się?

– Zazwyczaj tak jest.

– Zazwyczaj? Są wyjątki od tej zasady?

– Zdaje się, że są. Na ile sobie przypominam z dawnych czasów, to oskarżenie może poprosić sędziego o utajnienie nazwiska świadka, jeśli ten powinien być otoczony ochroną. To efekt dawnych procesów mafijnych, w których główny świadek zeznający przeciwko szefowi mafii był wtyką w organizacji. Gdyby jego tożsamość została ujawniona, znaleźliby faceta w betonowych butach na dnie jeziora.

- Jasne.
- W tym wypadku mogę się założyć, że Jack Hogan i policja zrobią wszystko, by utrzymać tożsamość Bobby'ego w tajemnicy tak długo, jak tylko się da.
- Mam nadzieję. Widziałem tego drania Omara Cheepe'a w sądzie. I jestem pewien, że Paco też kręci się gdzieś w pobliżu. Jeśli dowiedzą się o Bobbym, może być niebezpiecznie.
- Nie martwiłbym się tym tak bardzo, Theo. Hogan wie, że bez Bobby'ego ma niewiele atutów. Pamiętasz pierwszy proces. Oskarżenie cienko przedło i wiadomo było, że Duffy się wywinie. Hogan i policja będą ochraniać chłopaka.
- Myślisz, że powinienem go ostrzec?
- Nie. Sądzę, że dość już zrobiłeś. Sprawa jest niebezpieczna i powinieneś trzymać się od niej z daleka.
- Chyba tak.
- Ike wyciągnął rękę, chwycił bratanka za nadgarstek i zmarszczył czoło.
- Posłuchaj mnie, Theo. Nie pakuj się w to, dobrze? To nie twój interes.
- No, niezupełnie. Bobby Escobar nie zostałby w to wmieszany, gdybym nie przekonał jego kuzyna Julia, że powinien zeznawać. I nie prowadzilibyśmy teraz tej rozmowy, gdybym nie zauważył Duffy'ego w metrze.
- Prawda. Dobra robota. A teraz daj sobie spokój. Możesz pisać swoją pracę semestralną. Będziemy obserwować proces i mieć nadzieję, że sprawiedliwość zwycięży. Ale ty trzymaj się z boku. - Ike puścił jego nadgarstek.
- W porządku - rzucił niechętnie Theo.
- Musisz teraz wrócić do szkoły.
- Nie wydaje mi się. Jest piątek po południu, a ja mam za sobą ciężki tydzień.
- Ciężki tydzień! Gadasz jak robotnik, który haruje przez czterdzieści godzin w fabryce.
- Nawet nieletni prawnicy miewają ciężkie tygodnie.

Rozdział 13

Po drugiej stronie głównej ulicy miasta, cztery przecznice od Guff's Frozen Yogurt, odbywała się inna rozmowa, a jej tematem również był proces Duffy'ego. Clifford Nance miał wspaniałe biuro na pierwszym piętrze niegdyśszego najlepszego hotelu w mieście; właściwie cały budynek należał do niego, a większość powierzchni zajmowała kancelaria prawna. Z wysokich, zwieńczonych łukiem okien miał wspaniały widok na ulicę w dole, gmach sądu, a nawet rzekę w dali. Co nie znaczy, że starczało mu czasu na podziwianie tej panoramy. Był w mieście ważnym i świetnie prosperującym adwokatem.

Siedział przy biurku, popijając kawę i gawędząc z młodym prawnikiem, Breelandem, jednym z wielu współpracowników, którzy wykonywali jego polecenia.

– Kiedy sędzia Gantry przerwał pierwszy proces i odesłał wszystkich do domu – mówił – wyjaśnił nazajutrz rano mnie i Jackowi Hoganowi, że niespodziewanie zgłosił się nowy świadek z informacjami niezwykle istotnymi dla ustalenia prawdy. Nie chciał nam zdradzić nazwiska tego świadka ani tego, co mógłby powiedzieć. Nie wiedzieliśmy dosłownie nic. Szykowaliśmy się do ponownego procesu i w pewnym momencie Jack Hogan musiałby ujawnić nazwiska wszystkich swoich świadków. Zanim się to stało, nasz klient zwiął z miasta.

– Więc nadal nic nie wiemy o tym świadku? – spytał Breeland.

– Absolutnie nic. Sądzę jednak, że wkrótce się dowiemy.

– I co zrobimy?

– Zależy od tego, kto to jest i co powie.

– Pachnie to robotą dla Omara.

– Jeszcze nie. Ale przypomnij mi, żebym go ostrzegł, że grożenie świadkowi oskarżenia to poważne przestępstwo.

– Omar zdaje sobie z tego sprawę.

Zawibrowała komórka Breelanda i ten na nią zerknął.

– O wilku mowa. Omar czeka na dole i chce rozmawiać.

– Przyślij go na górę.

Cheepe wszedł do gabinetu i usiadł obok Breelanda.

– Mam za dziesięć minut spotkanie, więc się streszczaj – rzucił opryskliwie Nance.

– W porządku – odparł Omar. – Byłem właśnie w więzieniu i rozmawiałem z Duffym. Ten mały dzieciak Boone'ów siedział dziś po południu w sądzie... nie wiem, jak udaje mu się opuszczać tyle lekcji. W każdym razie przyszedł do sądu razem ze swoim stukniętym stryjem. Widziałem ich. Pete też ich zauważył i przysięga, że widział ich także zeszłej soboty na lotnisku w Waszyngtonie, kiedy

zgarnęli go federalni. Nie może zrozumieć, jak to się stało. Ale jeśli sobie przypomnicie, to przed unieważnieniem procesu widzieliśmy sędziego Gantry'ego, jak szedł wieczorem do kancelarii Boone i Boone. Był tam też dzieciak i jego stuknięty stryj. A następnego dnia... bum! Unieważnienie procesu. Tam się działo coś dziwnego.

– Ale Boone'owie nie zajmują się sprawami kryminalnymi – zauważył Nance. – Znam ich bardzo dobrze.

– Może to nie oni. Może to ten ich syn – powiedział Omar. – Wpycha nos w sprawę Pete'a, a rodzice starają się go chronić.

– Nie możesz łązić za dzieciakiem po mieście, Omar – przestrzegł go Breeland.

– Smarkacz wie, kto jest tym tajemniczym świadkiem – upierał się Cheepe. – Mogę się założyć.

Nance i Breeland patrzyli na siebie przez chwilę.

– I mogę się założyć, że ma coś wspólnego z tym, że federalni znaleźli Pete'a – ciągnął Omar. – Byli w Waszyngtonie tydzień wcześniej, zanim go przymknęli.

– Kto był? – spytał Nance.

– Cała ósma klasa z miejscowej szkoły. Coroczna wycieczka. Tłum dzieciaków włóczących się po Waszyngtonie. Może ktoś coś zobaczył.

– A to pociąga za sobą oczywiste pytanie – wtrącił Breeland. – Dlaczego Pete Duffy przebywał w Waszyngtonie?

– Za późno, żeby się tym martwić – zauważył Nance. – Nie chodź za tym dzieciakiem i nie zbliżaj się do niego. Ale miej na niego oko.

Rozdział 14

Kiedy w środę po południu Theo wychodził ze szkoły, przy stojaku z rowerami zatrzymał go Woody, który najwyraźniej się czymś martwił.

– Słuchaj, znasz tego sędziego z sądu od zwierząt, prawda?

Było to podchwytliwe pytanie i Theo od razu zaczął się zastanawiać, co ten chłopak knuje. Woody był dobrym dzieciakiem i Theo go lubił i ufał mu, ale jego rodzina popadała czasem w kłopoty, co odbijało się na Woodym.

– Jasne. A o co chodzi?

– Hm... – Woody rozejrzał się niespokojnie, jakby się bał, że podsłuchuje ich policja. – Jutro po południu mam się stawić w tym sądzie. Jesteśmy o coś oskarżeni. Ja i mój brat Evan.

Theo zsiadł powoli z roweru i oparł go na nóżce.

– O co jesteście oskarżeni?

– Moja mama i ojczym nic o tym nie wiedzą i chciałbym zachować wszystko w tajemnicy. – Życie Woody’ego nie przypominało oazy spokoju. Jego matka wychodziła dwukrotnie za mąż, a jej obecny mąż dużo podróżował. Ojciec Woody’ego był kamieniarzem, który mieszkał w Strattenburgu z drugą żoną i kilkorgiem dzieci. – Jeśli staje się przed sądem od zwierząt, to trzeba powiedzieć o tym rodzicom?

– Nie zawsze – odparł Theo. Miał już na końcu języka, że zawsze należy mówić o wszystkim rodzicom i że tak jest najlepiej, ale z drugiej strony sam miał przed nimi sekrety.

– Co się stało?

– Słyszałeś kiedyś o mdlejących kozach?

– O mdlejących kozach?

– Tak. O mdlejących kozach.

– Nie. Nigdy nie słyszałem o mdlejących kozach.

– Hm... to długa historia.

* * *

Nazajutrz po południu Theo siedział obok Woody’ego i Evana w małym i ciasnym pokoju w piwnicy sądu okręgowego w Strattenburgu, czekając, aż sędzia Sergio Yeck zajmie swoje miejsce i ogłosi początek posiedzenia. Usadowili się na składanych krzesłach przy składanym stole, a za nimi inni, w tym Chase, Aaron i Brandon, którzy zjawili się z czystej ciekawości. Po drugiej stronie przejścia siedział rozgniewany człowiek, Marvin Tweel. Był farmerem i miał na sobie strój roboczy – spłowiały dżinsowy kombinezon, koszulę w kratę i buty

o stalowych czubkach, jak zwykle z zaschniętym błotem na podszewkach i obcasach. Za nimi usadowiło się kilka osób, typowych bywalców sądu, ludzi, którzy próbowali ratować psy spuszczone ze smyczy i schwytane przez wyjątkowo agresywnego miejscowego hyla.

Punktualnie o szesnastej w drzwiach sali pojawił się sędzia Yeck i zajął miejsce za swoim stołem. Jak zawsze był w dżinsach, butach kowbojskich i starej sportowej marynarce. I, również jak zawsze, wydawał się znudzony tym, co robi. Uchodził za najniższego rangą sędziego w mieście; jako jedyny pracował na pół etatu. Sąd do spraw zwierząt nie cieszył się szczególnym szacunkiem. Theo go jednak uwielbiał, ponieważ obowiązywały tu nieliczne zasady, a obecność zawodowych prawników nie była wymagana. Każdy, nie wyłączając trzynastolatka, który uważał się za adwokata, mógł występować w imieniu swego klienta.

– Witaj, Theo – zwrócił się do niego sędzia Yeck. – Jak tam rodzice?

– Doskonale, dziękuję, panie sędzio.

Yeck rzucił okiem na plik papierów.

– W porządku, nasza pierwsza sprawa to pan Marvin Tweel przeciwko Woody'emu i Evanowi Lambertom. – Spojrzał na farmera. – Pan się nazywa Tweel?

Mężczyzna wstał.

– Tak, panie sędzio.

– Witamy w sądzie do spraw zwierząt. Może pan usiąść. Obowiązują tu procedury nieformalne. – Pan Tweel skinął niezgrabnie głową i usiadł. Był niewątpliwie podenerwowany i czuł się nieswojo. Sędzia Yeck spojrzał na Theo. – Rozumiem, że reprezentujesz braci Lambertów.

– Tak, panie sędzio.

– W porządku. Panie Tweel, to pan jest stroną poszkodowaną, więc proszę mówić.

– No cóż, hm... Wysoki Sądzie... Czy potrzebuję adwokata? Jeśli oni go mają, to czy mnie też jest potrzebny?

– Nie, proszę pana, nie w tym sądzie. A obecny tu pan Boone nie jest prawdziwym obrońcą, w każdym razie jeszcze nim nie jest. To raczej doradca prawny.

– Czy potrzebuję doradcy prawnego, takiego jak on?

– Nie, w żadnym razie. Proszę kontynuować.

Zadowolony i już spokojniejszy, pan Tweel zaczął:

– No cóż, panie sędzio, widzi pan, mam niewielką farmę na południe od miasta. Hoduję i sprzedaję pewien gatunek kóz, które niektórzy ludzie traktują jak zwierzęta domowe. Inni hodują je na mięso i kaszmir. To nie są typowe kozy. Są znacznie mniejsze i łatwiej się nimi opiekować. Nazywa się je kozami miotonicznymi ze względu na pewne schorzenie mięśni zwane chorobą Thomsena. To wszystko, co wiem, jeśli chodzi o naukę, ale to schorzenie polega między innymi na tym, że mięśnie tych zwierząt tężeją, kiedy ogarnia je panika. Przewracają się wtedy z wyciągniętymi do góry nogami. Dlatego są znane jako

mdlejące kozy. Nie mdleją tak naprawdę, pozostają przytomne, ale trwają w bezruchu przez jakieś dziesięć sekund. Potem wstają i wszystko jest w porządku. To schorzenie mięśni i nie ma nic wspólnego z mózgiem.

– Mdlejące kozy? – spytał sędzia Yeck.

– Tak. Są znane w kozim świecie.

– No dobrze. Co konkretnie zarzuca pan Woody’emu i Evanowi Lambertom?

Pan Tweel spojrzał złym wzrokiem na obu chłopców.

– W poniedziałek późnym popołudniem siedziałem w domu i czytałem gazetę, a tu nagle moja żona zagląda do pokoju i mówi, że w szopie dla kóz panuje jakieś zamieszanie. Szopa jest mniej więcej sto metrów za domem, więc idę tam. Kiedy się do niej zbliżam, słyszę, jak ktoś się śmieje... ktoś na moim terenie. Więc zaglądam do szopy na narzędzia i biorę strzelbę. Podchodzę do szopy i widzę tych dwóch chłopców, którzy robią zamieszanie przy moich kozach. Obserwuję ich przez kilka minut. Jeden stoi na jednym końcu wybiegu, a drugi wychyla się nad ogrodzeniem i robi zdjęcia. Jeden... nie potrafię ich odróżnić... wyskakuje zza poidła, klaszcze naprawdę głośno, wrzeszczy na moje kozy, a potem wybucha śmiechem, kiedy mdleją. A gdy wstają i uciekają, goni je i drze się jak idiota. Zagania dwa zwierzaki do kąta, rzuca się na nie i wyje, kiedy padają.

Sędzia Yeck, rozbawiony, spojrzał na Theo.

– Mamy to nagrane? – spytał.

Theo skinął głową. Tak.

– Ile kóz było na wybiegu? – spytał sędzia Yeck.

– Jedenaście.

– Proszę kontynuować.

– A potem... i to mnie naprawdę wkurza... kiedy wszystko się uspokaja, jeden z chłopców odpala petardę i rzuca w kozy. Bum! Wszystkie, a jest ich jedenaście, padają i wyciągają sztywno nogi, jakby były martwe. W tym momencie chłopcy zaczynają uciekać, ale dopadam ich. Widzą moją strzelbę i koniec zabawy. Mają szczęście, że ich nie zastrzeliłem.

– Kozy wstały? – spytał sędzia Yeck.

– Tak, proszę pana, wstały, ale teraz powiem o najgorszym. Mniej więcej po godzinie, gdy już pozbyłem się tych chłopaków, po tym, jak już spisałem ich nazwiska i adresy, wracam do wybiegu, żeby sprawdzić, co się dzieje. I wtedy zobaczyłem, że Becky nie żyje.

– Kto to jest Becky?

Pan Tweel wziął do ręki dwa duże zdjęcia. Jedno wręczył sędziemu, a drugie Theo. Na obu widać było puszystą białą kozę leżącą na boku, albo w stanie omdlenia, albo rzeczywiście martwą.

– To Becky. – Głos mężczyzny załamał się w tym momencie. Popatrzyli na niego i zauważyli, że jego oczy są wilgotne.

– Ile lat miała Becky? – spytał sędzia Yeck.

– Cztery, panie sędzio. Byłem przy jej narodzinach. Chyba najśłodsza koza, jaką kiedykolwiek miałem. – Otarł policzki wierzchem dłoni i ciągnął coraz

słabszym głosem: – Cieszyła się doskonałym zdrowiem. Trzymałem ją, bo była dobrą sztuką rozplodową. A teraz zdechła.

– Oskarża pan Woody’ego i Evana Lambertów o zabicie pańskiej kozy? – spytał sędzieja Yeck.

– Czują się świetnie, dopóki się nie zjawili. Nie zmuszam swoich kóz, żeby mdlały. Niektórzy ludzie tak robią, chyba dla zabawy i sportu. Ja nie. Ci chłopcy najpierw wystraszyli je śmiertelnie, a potem jeszcze ta petarda... Tak, panie sędzio, myślę, że zabili Becky.

– Ile była warta?

– Czterysta dolarów według ceny rynkowej, ale dla mnie znacznie więcej, bo dobrze rodziła – odparł pan Tweel, już nieco bardziej opanowany.

Sędzia Yeck milczał przez długą chwilę.

– Coś jeszcze, panie Tweel? – spytał w końcu.

Mężczyzna pokręcił głową. Nie.

– Theo?

Theo, który przez cały środowy wieczór zastanawiał się nad argumentami i przez cały dzień nie myślał właściwie o niczym innym, zaczął od rzeczy oczywistej:

– No cóż, panie sędzio, moich klientów nie powinno tam być. To teren prywatny, a oni bezprawnie na niego wkroczyli i należy im się za to kara. Nie ma jednak mowy o złych intencjach. Proszę posłuchać, mdlejące kozy słyną z tego, że mdleją. Pan Tweel powiedział przed chwilą, że wielu ludzi doprowadza je do tego stanu dla zabawy. Proszę zajrzeć do internetu i sprawdzić na YouTubie. Jest tam mnóstwo filmików zamieszczanych przez osoby, które mają takie kozy. Ci ludzie podskakują, drą się i rozkładają wielkie parasole, wszystko po to, żeby wystraszyć kozy i żeby zrobiły to, czego się po nich oczekuje: żeby zemdlały! To tyle.

– Ale twoi klienci nie są właścicielami kóz – zauważył sędzia Yeck.

– Nie, panie sędzio, oczywiście, że nie. Powtarzam, nie powinni się tam znaleźć.

– I nagrali to wszystko?

– Tak, panie sędzio.

– Żeby zamieścić to na YouTubie, jak przypuszczam.

– Tak, panie sędzio.

– Masz to nagranie?

– Tak, panie sędzio.

– Doskonale. Obejrzyjmy je.

Theo wiedział, że film zostanie pokazany, i przygotował się odpowiednio. Materiał był zabawny, a on i tak zamierzał go zaprezentować. Odrobina humoru mogła zmiękczyć serce sędziego Yecka i przekonać go, że doprowadzanie mdlejących kóz do omdlenia jest nieszkodliwe.

Wcześniej wgrał film do swojego laptopa i teraz podłączył go do dużego ekranu. Umieścił sprzęt na składanym stoliku obok sędziego i wcisnął odpowiedni klawisz. Wszyscy obecni w sali przysunęli się do stolika.

Na ekranie ukazał się ogrodzony wybieg przylegający do szopy, a na nim stado jedenastu małych kóz – niektóre czarne, inne białe, wszystkie o wielkich jak u owada i wyłupiastych oczach, zajęte bez wątpienia swoimi sprawami. Nagle zza poidła wyskakuje Evan Lambert, który wrzeszczy i klaszcze, pohukuje i rzuca się na wystraszone i niczego niespodziewające się kozy; kilka przewraca się na sztywnych nogach; inne pierzchają na boki, kiedy Evan je goni, wciąż drąc się jak szalencie, ale też śmiejąc się do rozpuku. Skupia się na jednej kozie i ściga ją, dopóki ta nie dochodzi zapewne do wniosku, że życie może być bezpieczniejsze, jeśli się po prostu zemdleje; inne wstają, becząc na siebie w niepowstrzymanym szaleństwie; Evan wciąż je prześladuje, a zza trzymanej przez Woody'ego kamery dobiega histeryczny śmiech.

Było to naprawdę komiczne i większość ludzi na sali nie mogła zapanować nad rozbawieniem. Zwłaszcza Woody, Evan, Chase, Aaron i Brandon pokładali się ze śmiechu. Theo, obrońca, zdołał zachować kamienną twarz, po części dlatego, że oglądał ten materiał już wielokrotnie. Sędzia Yeck był rozbawiony. Pan Tweel wręcz przeciwnie.

Tymczasem na ekranie kozy – stojące teraz bez wyjątku – zbierają się w stadko, jakby szukały bezpiecznego miejsca, podczas gdy Evan wyciąga coś z kieszeni. Petardę. Uśmiecha się szeroko do obiektywu, odpala ją i rzuca w pobliże podenerwowanych zwierząt. Huk jak wystrzał armatni, i jedenaście kóz pada na ziemię; ich krótkie nogi sterczą do góry sztywno niczym patyki. Evan ślania się ze śmiechu. Znow słyhać rechot Woody'ego.

Koniec nagrania.

Wszyscy wycofali się na swoje miejsca. Sędzia Yeck zaczekał, aż sala się uspoko, i odetchnął głęboko.

- Proszę kontynuować, panie Boone – odezwał się w końcu.
- Chciałbym, żeby Evan Lambert złożył oświadczenie – powiedział Theo.
- Doskonale.

Evan wyprostował się na krześle i odchrząknął. Miał piętnaście lat, ale nie był wyższy od brata. Rozbawienie się ulotniło i teraz chłopak okazywał niepewność.

– Hm... panie sędzio, tak jak zauważył Theo, nie powinniśmy się tam znaleźć – przyznał. – To był mój pomysł. Widziałem w zeszłym tygodniu film na YouTube, więc razem z Woodym zacząłem szukać mdlejących kóz. Zajrzeliśmy do książki telefonicznej i znaleźliśmy kilka kozich farm, a potem dowiedzieliśmy się o panu Tweelu. Chcieliśmy tylko zobaczyć, czy te kozy naprawdę mdleją. Wie pan, jak to jest... nie można wierzyć we wszystko, co pokazują w internecie. Mieliśmy trochę zabawy. Nic więcej.

- Wrzuciłeś to nagranie do sieci? – spytał sędzia Yeck.
- Nie, proszę pana. Pan Tweel powiedział, że nas zastrzeli, jeśli to zrobimy.
- I zastrzele! – warknął pan Tweel z odległości siedmiu metrów.
- Dosyć – uciszył go sędzia. – Theo...
- Tak, panie sędzio, chciałbym, żeby mój klient Woody Lambert złożył oświadczenie.

Woody był pewniejszy siebie niż jego starszy brat i w gruncie rzeczy nie poczuwał się do żadnej winy. Theo ostrzegł go, że jakakolwiek arogancja może zaszkodzić ich sprawie. Zachowuj się tak, jakby ci było przykro, pouczał go, i to wielokrotnie.

– No tak... jest nam bardzo przykro. Nie zamierzaliśmy nikogo skrzywdzić, ani człowieka, ani żadnej kozy. Czy pan wie, panie sędzio, że w Tennessee odbywa się coroczny festiwal mdlejących kóz? Przysięgam. Ludzie przywożą je tam i przez trzy dni robią wszystko, żeby zemdlały. Chyba nawet dostają za to nagrody. Więc to, co zrobiliśmy, nie było takie złe. Ale zgadzam się, że postąpiliśmy niewłaściwie.

– A co z Becky? – spytał sędzia.

– Z kim?

– Z martwą kozą.

– Ach, z tą... Kiedy stamtąd odchodziliśmy, po długiej rozmowie z panem Tweelem, wszystkie jego kozy czuły się doskonale. Nie zabiliśmy żadnej. Jeśli jedna zdechła później, to nie bardzo rozumiem, jak można nas za to winić.

– Przyprawiliście ją o atak serca – oznajmił pan Tweel. – To tak pewne jak to, że tu siedzę.

– Nie można tego jednak w żaden sposób udowodnić bez przeprowadzenia autopsji, panie sędzio – zauważył Theo. – Tylko tak można by stwierdzić, co było przyczyną zgonu.

– Chcesz zlecić autopsję kozy? – spytał sędzia Yeck, unosząc brwi tak wysoko, jak to tylko możliwe.

– Nie, tego nie powiedziałem, panie sędzio. Jej koszt przekroczyłby wartość zwierzęcia.

Sędzia Yeck, głęboko zamyślony, podrapał się po zaroście.

– Musisz przyznać, Theo, że wygląda to bardzo podejrzanie – odezwał się w końcu. – Kozy były w doskonałym stanie, dopóki petarda nie odpaliła, a one padły zszokowane na ziemię.

– Tylko zemdlały, panie sędzio, potem wstały i całkowicie zapomniały o tym incydencie.

– Skąd wiesz, że zapomniały?

– No, chyba nie wiem tak naprawdę.

– Więc zważaj na słowa, Theo – pouczył go sędzia Yeck. – obrońcy mają skłonność do ich nadużywania.

– Przepraszam, panie sędzio, ale to przesada oskarżać moich klientów o zabicie kozy. Jak stanowi nasze prawo, zabicie zwierzęcia hodowlanego jest przestępstwem zagrożonym karą więzienia do lat pięciu. Naprawdę pan sądzi, że Woody i Evan zasługują na taki wyrok?

Woody popatrzył na niego, jakby chciał powiedzieć: „Po co z tym wyjeżdżałeś?”.

Evan spojrzał na niego, jakby chciał powiedzieć: „Brawo, superadwokacie!”.

Sędzia Yeck zwrócił się do pana Tweela:

– Chce pan, żeby ci chłopcy poszli do więzienia?

– Nie martwiłbym się – odpalił właściciel kóz.

– Czy wasi rodzice wiedzą o tym wszystkim? – spytał sędzia, zwracając wzrok ku braciom Lambertom.

Obaj pokręcili zdecydowanie głowami. Nie, odparł Evan.

– Wolelibyśmy zachować to przed nimi w tajemnicy. Mają dość kłopotów.

Sędzia notował coś w zeszycie. W sali zapanowała cisza, kiedy wszyscy wstrzymali oddech. Ponieważ Theo występował tu wiele razy, wiedział, że sędzia poszukuje jakiegoś kompromisu i że pewnie doceni dobrą radę.

– Czy mogę coś zaproponować, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, Wysoki Sądzie?

– Oczywiście, Theo.

– To chyba przesada mówić o wyroku więzienia. Moi klienci chodzą do szkoły, a umieszczenie ich w zakładzie karnym w niczym nie pomoże. A ponieważ ich rodzice nie są w tę sprawę zamieszani i nie mają pieniędzy na zapłacenie ewentualnej grzywny za wtargnięcie na teren prywatny, może należałoby moich klientów skazać na kilka godzin pracy na farmie pana Tweela.

– Nie chcę ich na swojej farmie! – zastrzegł z miejsca pan Tweel. – Moje kozy nie będą się już zachowywać tak jak dawniej.

Theo spojrział na Woody’ego, a ten podniósł się z miejsca.

– Panie Tweel, ja i mój brat wyrażamy ubolewanie z powodu tego, co się stało – powiedział zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami obrońcy. – Nie powinniśmy wchodzić na pana farmę i zdajemy sobie sprawę, że wtargnęliśmy na teren prywatny. Zrobiliśmy to dla zabawy, bez zamiaru wyrządzenia jakiegokolwiek szkody. Przepraszamy i jesteśmy gotowi zrobić wszystko, czegokolwiek pan zażąda.

Szczere przeprosiny miały ogromne znaczenie w sali sędziego Yecka.

Pan Tweel był w gruncie rzeczy miłym człowiekiem o wielkim sercu. Czy można hodować mdlejące kozy i nie odznaczać się pogodnym spojrzeniem na świat? Wciąż jednak miał posępną minę i wlepił wzrok w podłogę.

Woody usiadł, a sędzia Yeck spojrział na pana Tweela.

– Jak duża jest pańska farma?

– Osiemdziesiąt hektarów.

– No cóż, sam dorastałem na farmie i wiem, że zawsze są jakieś krzaki do wycięcia i drewno na opał do porąbania. Jestem pewien, że znajdzie pan odpowiednio ciężką pracę dla tych chłopców, coś, co nie będzie miało nic wspólnego z wybiegiem dla kóz.

Pan Tweel zaczął przytakiwać głową i prawie się uśmiechnął, jakby właśnie przyszła mu do głowy jakaś wyjątkowo paskudna robota, którą zaniedbywał od lat.

– Przypuszczam, że tak.

– Oto co postanawiam. Uznaję was obu za winnych bezprawnego wkroczenia na teren prywatny, ale wyrok nie zostanie odnotowany w aktach. Ponieważ nie macie pieniędzy, nie skażę was na grzywnę. Będziecie musieli przepracować w następnym miesiącu dwadzieścia godzin na farmie pana Tweela. Jeśli się tam

nie pojawicie albo nie wykonacie jego poleceń, znowu się tu spotkamy, a ja nie będę wtedy w dobrym nastroju. I trzymajcie się z daleka od kóz. Zgadza się pan, panie Tweel?

- Chyba tak.
- Jakież pytania, Theo?
- Nie, panie sędzio.
- W porządku. Następna sprawa.

Część druga

POWTÓRNY PROCES

Rozdział 15

W poniedziałek rano Theo obudził się na odgłos gromu i deszczu uderzającego w okno sypialni. Na dworze było ciemno, zbyt ciemno, by wstać, ale nie mógł już zasnąć. Wpatrywał się w sufit, zanurzony w świecie intensywnego myślenia, kiedy uświadomił sobie, że coś się obok niego porusza.

– W porządku – powiedział i przesunął się, by Asesor mógł wgramolić się do łóżka. Pies nie lubił grzmotów i czuł się bezpieczniej pod kołdrą niż pod łóżkiem.

W jakim stopniu kiepska pogoda może wpłynąć na proces? Theo nie bardzo wiedział. Niewykluczone, że zatrzyma niektórych widzów w domach, było to jednak wątpliwe. Wiedział, że sala sądu będzie pękać w szwach. Od kiedy Pete Duffy został zatrzymany w Waszyngtonie, w Strattenburgu nie mówiono o niczym innym.

Czy Theo powinien pójść na proces? Było to niezwykle istotne pytanie. Pan Mount spytał panią Gladwell, dyrektorkę szkoły, czy jego uczniowie mogą być wśród widzów na sali sądowej pierwszego dnia procesu, ale spotkał się z odmową. Chłopcy mieli inne zajęcia, inne obowiązki; godziny wychowawczej nie należało spędzać poza szkołą. Zirytowało to Theo, podobnie jak pana Mounta, nic jednak nie mogli zrobić.

Drugi proces Pete'a Duffy'ego, człowieka oskarżonego o zabójstwo z premedytacją, był jeszcze ważniejszy niż pierwszy. Dlaczego pani Gladwell nie potrafiła tego zrozumieć? Chłopcy nauczyliby się znacznie więcej na sali sądowej niż podczas kolejnej nudnej lekcji hiszpańskiego albo chemii. Kiedy stało się jasne, że nie ma mowy o zbiorowym wyjściu, Theo zaczął się zastanawiać, jak się tu wykręcić od szkoły. Myślał o tym, żeby znowu zachorować, i nie chodziło o prześladowający go suchy kaszel, niestrawność czy gorączkę wywołaną dzięki ręcznikowi podgrzanemu na kaloryferze i przyłożonemu do czoła. Żadna z tych metod nie okazałaby się skuteczna, ponieważ rodzice mieli z nimi już do czynienia. Wyszukał w Google'u objawy grypy i anginy, a także kokluszki, nawet zapalenia wyrostka robaczkowego, ale uświadomił sobie, że nie uda mu się ich symulować. Poza tym matka kazałaby mu leżeć przez wiele dni w łóżku. Rozważał zwrócenie się do sędziego Henry'ego Gantry'ego, bliskiego sprzymierzeńca; przekonałby go, że on, Theo, jest w sądzie bardzo potrzebny. Mógłby się w jakiś sposób przydać. Rozmawiał z Ikiem o numerze, który polegałby na tym, że stryj zabrałby go ze szkoły na jakiś pogrzeb, ale przypomniał sobie, że ta sztuczka została już kiedyś zastosowana. W końcu zdołał przekonać pana Mounta, by ten interweniował i poprosił pisemnie o wyrażenie zgody na jego uczestnictwo w procesie w dniu jego rozpoczęcia, dzięki czemu mógłby zrelacjonować wszystko podczas lekcji wychowania obywatelskiego. Pani

Gladwell niechętnie, ale ustąpiła, lecz tylko pod warunkiem, że rodzice Theo również wyrażą zgodę.

I tu natrafił na mur. Rodzice byli zdania, że i tak już opuścił za dużo lekcji. Zwykle się różnili: jeśli jedno mówiło tak, drugie mówiło nie, albo odwrotnie. Tym razem jednak zawiązali sojusz i Theo nie zdołał ich, jak na razie, przekonać.

Nie wyobrażał sobie, by mógł nie śledzić tego procesu.

Deszcz przestał padać i niebo przejaśniało. Wziął prysznic, ubrał się, wyczyścił zęby, obejrzał aparat korekcyjny i w końcu zszedł na dół, by stoczyć ostatnią bitwę. Rodzice siedzieli przy kuchennym stole, popijając kawę i czytając gazetę. Ojciec miał na sobie klasyczny ciemny garnitur. Matka wciąż była w piżamie i szlafroku. Atmosfera wydawała się napięta. Powiedzieli sobie „Dzień dobry” i Theo usiadł na swoim miejscu i czekał. Miał wrażenie, że nie zwracają na niego uwagi.

Po kilku niezręcznych minutach matka się odezwała:

– Nie jesz śniadania, Theo?

– Nie – rzucił.

– Dlaczego?

– Rozpocznym strajk głodowy.

Ojciec wzruszył ramionami, spojrzął na niego z przelotnym uśmiechem i wrócił do lektury. Głoduj, synu, jeśli chcesz.

– Dlaczego rozpoczynasz strajk głodowy? – zainteresowała się matka.

– Bo nie zachowujecie się fair. Nie podoba mi się taka niesprawiedliwość.

– Rozmawialiśmy już o tym – wtrącił ojciec, nie odrywając oczu od gazety.

Theo był często zdumiony tym, ile czasu rodzice spędzają na lekturze lokalnej prasy. Czy Strattenburg naprawdę dostarczał aż tylu fascynujących wiadomości?

– Niesprawiedliwość to bardzo mocne słowo, Teddy – zauważyła matka.

– Proszę, nie nazywaj mnie Teddym. Jestem na to za duży.

Zabrzmiało to dość opryskliwie i matka popatrzyła na niego ze smutkiem, a ojciec obrzucił twardym spojrzeniem. Upłynęła długa pełna napięcia chwila – Theo siedział z założonymi rękami, a Asesor patrzył w górę, najwyraźniej złakniony jedzenia.

Ojciec przewrócił kolejną stronę.

– Jak długo ma trwać ten strajk głodowy? – spytał w końcu.

– Do zakończenia procesu.

– A co z Asesorem? Omówiłeś to z nim?

– Tak, przeprowadziliśmy długą rozmowę – odparł Theo. – Powiedział, że się raczej nie przyłączy.

– Dobrze to słyszeć. – Ojciec opuścił gazetę i popatrzył na syna. – Pozwól, że powiem wprost. Dziś wieczorem wybieramy się do Robilia, twojej ulubionej włoskiej restauracji. Zamówię prawdopodobnie spaghetti z klopsikami albo ravioli ze szpinakiem i cielęciną, ale zaczniemy oczywiście od mozzarelli i grillowanych pomidorów. Mama zamówi pewnie capellini z owocami morza lub bakłażana z rusztu. Podadzą nam koszyk ich słynnego pieczywa czosnkowego. Może nawet weźmiemy tiramisu na deser. A ty przez cały czas będziesz siedział

i patrzył, jak jemy. Będiesz czuł zapach pieczywa, oglądał talerze ze smakowitymi daniami roznoszonymi przez kelnerów i popijał wodę z lodem. To chcesz nam powiedzieć, Theo?

Chłopiec poczuł nagle głód. Do ust napłynęła mu ślina, w żołądku ścisnęło. Niemal czuł smakowite zapachy, które atakowały jego powonienie w każdy poniedziałek, kiedy stawał w drzwiach u Robilia. Zdołał jednak powiedzieć:

– Właśnie to.

– Nie bądź niemądry, Theo – poradziła matka.

– Pomyśl o gotówce, którą zaoszczędzimy – powiedział ojciec. – Woda z lodem jest u Robilia gratis. No i te pieniądze za lunch...

Asesor podniósł łapę i podrapał nią nogę Theo, jakby chciał oznajmić: „Hej, stary, ja nie wszczynam strajku głodowego”.

Theo wstał niespiesznie i otworzył lodówkę. Wyjął butelkę pełnotłustego mleka – ani on, ani Asesor nie znosili odtłuszczonego – a z szafki paczkę cheerios. Kiedy wsypywał płatki do miski, dostrzegł coś ważnego. Ojciec opuścił nieznacznie gazetę, ale na tyle, by spojrzeć matce w oczy, i uśmiechnął się do niej szelmowsko.

Sprawa była ustawiona. Bawili się w te swoje gierki.

Chłopiec postawił miskę na podłodze i wrócił do stołu, by kontynuować swój strajk. Zrobiło się za spokojnie, więc postanowił zacząć kolejną dyskusję. Co miał w końcu do stracenia?

– Co by się stało, gdybym mógł obejrzeć początek procesu? Wiecie oboje, że to największy proces w historii Strattenburga, prawdopodobnie największy, jaki kiedykolwiek zobaczymy, i nie jest sprawiedliwe, że mnie ominie. Jestem zaangażowany w tę sprawę, ponieważ gdyby nie ja, nawet byśmy o tym procesie nie rozmawiali. Pete Duffy przebywałby w Ameryce Południowej, a policja nigdy by go nie odnalazła. Oskarżony o zabójstwo z premedytacją na wolności! Ale dzięki mnie i mojemu niezwykłemu zmysłowi obserwacji, a także zdumiewającej zdolności rozpoznawania osobników uciekających przed wymiarem sprawiedliwości, nie raz, ale dwa razy, my, mieszkańcy tego miasta i hrabstwa Stratten, zobaczymy nasz system sądowniczy w działaniu. Dzięki mnie. Poza tym wiem o tej sprawie więcej niż ktokolwiek. Wytropiłem Bobby'ego Escobara, głównego świadka oskarżenia. – Ścisnęło go w gardle i przez chwilę drżała mu warga. Nie chciał jednak dawać rodzicom satysfakcji i rozklejać się na ich oczach. – To po prostu nie fair. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Naprawdę uważam, że powinniście rozważyć sprawę ponownie.

Splótł dłonie i wlepił spojrzenie w blat stołu. Oboje byli zajęci lekturą gazety, jakby go w ogóle nie słyszeli.

– Woods, sądzisz, że powinniśmy rozważyć to ponownie? – spytała w końcu matka.

– Jestem za.

Popatrzyła na Theo i obdarzyła go tym swoim wielkim matczynym uśmiechem, który sprawiał, że wszystko od razu nabierało ciepła.

– W porządku, Theo, rozważyliśmy. Ale chodzi tylko o dzisiejszy dzień. Umowa stoi?

Chłopak poczuł dreszcz podniecenia, ale był na tyle przytomny, by nie iść na jakikolwiek układ. Wiedział, że pod koniec tygodnia, kiedy będzie zeznawał Bobby Escobar, znowu znajdzie się na sali sądowej, choć nie potrafił jeszcze powiedzieć, jak tego dokona. Zerwał się z miejsca, uściskał matkę, podziękował kilkanaście razy i poszedł po płatki.

– Rozumiem, że strajk głodowy dobiegł końca – powiedział ojciec.

– Jasne – odparł Theo. Udało się! Nigdy wcześniej nie użył tej broni, by podejść rodziców, ale teraz dorzucił ją do swego arsenału trików. Na tym właśnie polegał wielki plus bycia jedynakiem – rodzice nie musieli ustalać głupich zasad dla pozostałych dzieci. Mogli być bardziej elastyczni, a Theo wiedział, jak nimi manipulować.

Rozdział 16

O ósmej trzydzięci Theo siedział przy biurku w sali nauki własnej; wpatrywał się w zegar, obserwował, jak wskazówka sekundowa wykonuje z wolna swój obrót, i czekał na dzwonek, który obwieszczał początek dnia. Zjawił się w szkole wcześniej i próbował bez powodzenia przekonać pana Mounta, by ten wkroczył do gabinetu pani Gladwell i zażądał, żeby Theodore Boone został zwolniony i mógł pospieszyć do sądu, w którym sala rozpraw była już pewnie zapełniona do ostatniego miejsca. Nauczyciel był jednak zdania, że dość już niepokoił dyrektorę. Wyluzuj, Theo.

W końcu rozbrzmiał dzwonek i w klasie zapanował spokój. Aaron podniósł rękę.

– Uważam, że to niesprawiedliwe, że Theo może się dzisiaj przysłuchiwać procesowi, a my nie. Co się dzieje?

Pan Mount nie był w nastroju do kłótni.

– Nic się nie dzieje, Aaron – zapewnił. – Theo będzie oglądał proces, a jutro na lekcji wychowania obywatelskiego złoży nam sprawozdanie. Jeśli wam się to nie podoba, możecie napisać dziś wieczorem trzystronicową pracę na temat domniemania niewinności i dostarczyć ją na jutro.

Aaron nie miał więcej pytań ani komentarzy.

– Lepiej się zbieraj, Theo – rzucił nauczyciel. – Panna Gloria da ci zwolnienie.

Woody i kilku innych błaznów klasowych buczało i syczało, kiedy Theo wybiegał sprintem z sali. Panna Gloria siedziała przy biurku obok wejścia i uważała, że kontroluje całą szkołę. Choć miała niewdzięczne zajęcia, które wymagało kontaktu z chorymi uczniami, a także tymi, którzy nie byli chorzy, ale starali się za wszelką cenę to udawać, i rozzłoszczonymi rodzicami, zmordowanymi nauczycielami, twardą szefową (panią Gladwell) i wszelkiego rodzaju zestresowanymi ludźmi, zdołała zachować odwieczny uśmiech na twarzy. Theo dwukrotnie udzielił jej darmowej porady prawnej i z chęcią zrobiłby to ponownie, ponieważ dzięki panie Glorii mógł wymykać się ze szkoły. Nie wiadomo, czy nie będzie jej jeszcze potrzebował w tym tygodniu, ale tego dnia została wydana oficjalna zgoda na jego wczesne wyjście. Panna Gloria wręczyła mu zwolnienie chroniące przed nieznośnymi pracownikami kuratorium, którzy krążyli często po mieście w poszukiwaniu wagarowiczów. Dwukrotnie złapali Theo, ale w obu przypadkach zdołał się jakoś wykpić.

Wskoczył na rower i popędził ile sił w nogach w stronę śródmieścia. Proces miał się zacząć punktualnie o dziewiątej, a sędzia Gantry surowo przestrzegał zasad. Chłopiec był przekonany, że wszystkie miejsca są już zajęte. Pod gmachem sądu rozstawiły się z kamerami dwie ekipy telewizyjne, a obok kręcił się

niewielki tłum widzów. Theo zatrzymał się daleko od nich i przypiął rower do stojaka. Wszedł do budynku bocznymi drzwiami, po czym wbiegł po wąskich schodach, z których rzadko korzystano. Przywitał się z urzędnikiem w biurze, gdzie przechowywano akty własności, ale nie zwolnił. Pokonał zygzakiem kilka innych biur, pogadał z jeszcze jednym urzędnikiem i znalazł ciemny korytarz, który prowadził na półpiętro obok sali, gdzie obradowała ława przysięgłych. Wstrzymał oddech i otworzył wielkie drzwi sali sądowej. Tak jak się spodziewał, wypełniał ją tłum, a w pomieszczeniu wyczuwało się niespokojne wyczekiwanie. Zobaczył, że Ike macha do niego, i zdołał się jakoś wcisnąć w niewielką przestrzeń obok stryja. Siedzieli w trzecim rzędzie za stołem, przy którym pan Jack Hogan i jego zespół prokuratorski przygotowywali się pracowicie do przesłuchań.

Po drugiej stronie, przy stole obrony, siedział Pete Duffy z Cliffordem Nance'em i drugim obrońcą. Włosy, które kiedyś ufarbował sobie na blond, przybrały podczas jego pobytu w więzieniu swoją naturalną barwę – były czarne i przetkane siwizną bardziej, niż gdy stawał przed sądem poprzednim razem. Miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i krawat; mógł bez trudu uchodzić za jeszcze jednego prawnika.

- Jakież kłopoty? – spytał Ike.
- Nie. Rodzice zmienili dziś rano zdanie.
- Nie dziwi mnie to.
- Rozmawiałeś z nimi?

Ike tylko się uśmiechnął. Theo podejrzewał, że stryj zadzwonił wieczorem i przekonał Woodsa i Marcellę Boone'ów, żeby pozwolili pójść synowi do sądu.

Punktualnie o dziewiątej, według dużego zegara wiszącego na ścianie nad biurkiem sędziego, woźny wstał i obwieścił donośnym głosem: „Proszę wstać, sąd idzie”. Wszyscy się od razu podnieśli, podczas gdy kilku maruderów wciąż szukało miejsc. W drzwiach w głębi sali ukazał się sędzia Gantry.

– Ogłaszam posiedzenie sądu kryminalnego dziesiątego okręgu – kontynuował woźny. – Przewodniczy czcigodny Henry Gantry. Niech wystąpią ci, którzy mają coś do powiedzenia w tej sprawie. Niech Bóg błogosławi ten sąd.

Sędzia Gantry w długiej, obszernej czarnej todze zajął miejsce na podwyższeniu i nakazał: „Proszę siadać”. Theo rozejrzał się. Nigdzie nie zauważył pustego miejsca, łącznie z galerią, gdzie siedział wraz z kolegami w pierwszym dniu poprzedniego procesu.

Ten był inny. Wtedy w mieście przeważało przekonanie, że Pete Duffy zabił żonę, ale że oskarżenie będzie miało poważne problemy, by to udowodnić. Wielki obrońca oskarżonego, Clifford Nance, wykonał wspaniałą robotę, ujawniając poważne niedociągnięcia formalne prokuratury i wzbudzając dostatecznie dużo wątpliwości, by jego klient został uwolniony. Teraz jednak, na początku ponownego procesu, panowało głębsze przekonanie, że Duffy jest winny zabójstwa z premedytacją i że czeka go cela śmierci. Wszyscy wiedzieli, że uciekł przed wymiarem sprawiedliwości. Musiał być winien! Nawet Theo, który wierzył

głęboko w zasadę domniemania niewinności, nie potrafił postrzegać Duffy'ego jako człowieka niewinnego.

Jak twierdził Ike, Clifford Nance starał się pójść na układ z Jackiem Hoganem – zawrzeć z nim ugodę, na mocy której Duffy przyznałby się do zabójstwa i ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości i spędził dwadzieścia lat w więzieniu. Miał czterdzieści dziewięć lat i gdyby przetrwał wyrok, mógłby żyć jeszcze trochę jako wolny człowiek. Hogan, według Ike'a, się nie ugiął. Jego oferta sprowadzała się do wyroku dożywocia bez możliwości przedterminowego zwolnienia. Oskarżony miał, tak czy inaczej, umrzeć w więzieniu. Ike sądził, że Duffy przystanie na taką propozycję. Stryj twierdził, że różnica między siedzeniem w celi śmierci a życiem pośród więźniów zakładu karnego jest wielka.

Sędzia Gantry polecił woźnemu wezwać przysięgłych. Drzwi się otworzyły i wszyscy znieruchomieli, kiedy do sali wkroczyli gęsiego członkowie ławy przysięgłych i zaczęli podchodzić do swego stanowiska za balustradą. Było ich czternaścioro – wśród nich dwoje rezerwowych, na wypadek gdyby ktoś zachorował albo zrezygnował. Wszyscy przyglądali im się bacznie, gdy zajmowali miejsca. Strattenburg był niewielkim miastem, liczył jedynie siedemdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców; Theo sądził, że zna wszystkich, ale teraz nie rozpoznawał żadnego z tych ludzi. Ike twierdził, że zna przysięgłą numer sześć, atrakcyjną kobietę w średnim wieku, która pracowała w banku w śródmieściu. Poza nią wszyscy wydawali mu się obcy.

Sędzia przepytywał ich przez kilka minut. Kładł szczególny nacisk na zakazany przez prawo kontakt z którąkolwiek ze stron procesu. Czy ktokolwiek rozmawiał z nimi o sprawie? I tak dalej. Sędziowie zawsze poruszali tę kwestię, a przysięgli zawsze odpowiadali przecząco. Ta sprawa jednak była inna. Pete Duffy miał pieniądze – ile dokładnie, nikt nie wiedział z powodu tego, co go spotkało – a biorąc pod uwagę jego rozpaczliwą sytuację, nie można było wykluczyć, że zamierza uciekać się do brudnych sztuczek.

Jack Hogan wstał i podszedł do niewielkiego podium przed miejscem dla przysięgłych. Był wysoki i chudy i zawsze nosił ten sam ciemny garnitur. Był zaprawionym w bojach i bardzo szanowanym prokuratorem. Theo obserwował go wielokrotnie w sądzie. Prokurator zaczął od miłego „Dzień dobry, panie i panowie zasiadający w ławie przysięgłych”. Przedstawił się i poprosił, by członkowie jego zespołu powstali. Hogan nie był efekciarzem, ale udało mu się skutecznie przełamać lody i sprawić, że przysięgli się odprężyli. Wyjaśnił, że jego zadanie polega na przedstawieniu im faktów, by mogli wydać sprawiedliwy werdykt.

Fakty: Myra Duffy, wiek czterdzieści sześć lat, została uduszona w salonie swojego domu w pobliżu pola golfowego Waverly Creek. Golf stanowił istotny element całej sprawy. W tamtym czasie mąż Myry, oskarżony Pete Duffy, grał w golfa sam, jak mu się to często zdarzało. Hogan podszedł do stołu oskarżenia, wcisnął klawisz na laptopie i na dużym ekranie naprzeciwko ławy przysięgłych pojawiło się zdjęcie Myry Duffy. Była ładną kobietą, matką dwóch wspaniałych

młodych ludzi. Następne zdjęcie przedstawiało miejsce przestępstwa: Myra Duffy leżąca spokojnie na dywanie w salonie przestronnego domu. Ani śladu krwi, ani śladu walki, tylko dobrze ubrana kobieta, która wyglądała tak, jakby spała. Przyczyna śmierci: uduszenie. Na następnym zdjęciu widać było z lotu ptaka duży i nowoczesny dom pośrodku zadrzewionej działki przy samym polu golfowym. Posługując się fotografiami i wykresami, Hogan przedstawił przysięgłym wydarzenia tamtego strasznego poranka. Dziesięć po jedenastej Pete Duffy zaczął grę na północnym polu z zamiarem zaliczenia jedenastu dołków. Był sam, czego nie można uznać za nic niezwykłego. Uchodził za poważnego golfistę, który lubi grać w pojedynkę. Dzień był chłodny i posępny; na polu nie było praktycznie nikogo. Wybrał doskonałą porę na zbrodnię doskonałą.

W tym momencie Jack Hogan zaczął mówić o motywie. Pete Duffy zajmował się nieruchomościami i zarabiał mnóstwo pieniędzy. Rynek się jednak załamał, a oskarżony popadł w długi. Banki go przyciskały. Potrzebował gotówki, a Myra wcześniej wykupiła polisę na życie w wysokości miliona dolarów; beneficjentem był jej mąż.

Siląc się na dramatyzm, świadomy, że przysięgli chłoną każde słowo, Jack Hogan powiedział:

– Motyw stanowiły pieniądze. Milion dolarów dla Pete'a Duffy'ego w przypadku śmierci jego żony.

I znowu fakty: w chwili śmierci Myra przygotowywała się na spotkanie z siostrą, z którą zamierzała zjeść lunch. Drzwi wejściowe były lekko uchylone. Alarm wyłączyła. Śmierć nastąpiła około jedenastej czterdzieści pięć. Posługując się dużym wykresem, Hogan wyjaśnił, że Pete Duffy był przy czwartym albo piątym dołku na północnym polu, w odległości mniej więcej ośmiu minut jazdy wózkiem golfowym od swojego domu.

Hogan umilkł i przysunął się do ławy przysięgłych.

– W tym momencie Pete Duffy opuścił północne pole golfowe i pospieszył do domu. Zjawił się tam około jedenastej czterdzieści i zaparkował wózek obok patia. Pan Duffy jest praworęczny, więc jak wszyscy praworęczni golfiści nosił rękawiczkę na lewej ręce. Używaną rękawiczkę. Kiedy jednak wchodził do domu tylnymi drzwiami, zrobił coś dziwnego. Pospiesznie włożył rękawiczkę także na prawą dłoń. Dwie dłonie, dwie rękawiczki, coś, czego nigdy nie widuje się na polu golfowym. Zniknął wewnątrz, zaatakował żonę, a gdy była już martwa, zaczął buszować po domu: otwierał szuflady i wyjmował z nich rzeczy takie jak biżuteria, drogie zegarki i broń. Chciał, by wyglądało to na włamanie i żebyśmy sądzili, że do domu wtargnął nieznany złodziej i natknął się na Myrę, którą należało oczywiście wyeliminować.

Kolejna długa pauza. W sali panowała śmiertelna cisza. Zdawało się, że Hogan bawi się dramatyzmem chwili.

– A skąd o tym wiemy? – ciągnął. – Był świadek, młody człowiek, Bobby Escobar. Pracował na polu golfowym, ścinał trawę i zajmował się podobnymi sprawami. O jedenastej trzydzieści tamtego ranka zrobił sobie przerwę na lunch. Bobby pochodzi z Salwadoru i nie ma pozwolenia na pracę. Przebywa w Stanach

Zjednoczonych nielegalnie, jak wielu innych, ale to nie zmienia faktu, że widział, jak tamtego ranka Pete Duffy wpada do swojego domu. – Hogan dotknął laptopa i na ekranie ukazało się kolejne ujęcie z lotu ptaka. Posługując się wskaźnikiem laserowym, wskazał punkt: – Bobby siedział w zaroślach, w tym miejscu, mniej więcej w połowie przerwy na lunch. Z tego punktu miał doskonały widok na tyły domu Duffy’ego. Zobaczył, jak Pete Duffy zatrzymuje wózek, wkłada drugą rękawiczkę i wbiega do środka. Po kilku minutach pan Duffy wyłonił się z domu, w jeszcze większym pośpiechu, i czym prędzej odjechał.

Jack Hogan podszedł do stołu i napił się wody z plastikowego kubka. Wszyscy przysięgli obserwowali go bacznie. Wsunął ręce w kieszenie, jakby nadszedł czas na przyjacielską pogawędkę.

– No cóż, panie i panowie, łatwo jest krytykować, a nawet potępiać pana Escobara, który nie powinien znajdować się w tym kraju. Przyjechał tu w poszukiwaniu lepszego życia. Zostawił w domu rodzinę i co miesiąc wysyła matce pieniądze. Jest tu jednak nielegalnie i obrona będzie walczyć to bezustannie. Atakować go. Mówi słabo po angielsku, więc będzie zeznawał za pośrednictwem tłumacza. Proszę, by nie przysłoniło to waszego osądu. Nie chce zeznawać. Boi się sal sądowych i wszelkich władz. Trudno się temu dziwić. Ale widział to, co widział, a to jest ważnym elementem tej sprawy. Nie ma powodu kłamać. Nie znał Pete’a ani Myry Duffych. Nie szukał kłopotów. Nie wiedział, że ta kobieta została zamordowana. Był po prostu samotnym i stęsknionym za domem chłopcem, który jadł w zaroślach lunch, z dala od innych pracowników. Znalazł się przypadkowo we właściwym miejscu o właściwym czasie, dzięki czemu zobaczył coś bardzo istotnego. Bobby Escobar wykazuje się wielką odwagą, chcąc wystąpić w tym sądzie i zeznawać. Proszę, wysłuchajcie go z otwartymi umysłami.

Jack Hogan usiadł i w tym momencie Theo nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek mógł uwierzyć, że Pete Duffy jest niewinny.

Sędzia Gantry stuknął młotkiem i ogłosił piętnastominutową przerwę. Theo nie zamierzał ryzykować utraty miejsca, więc się nie ruszył, podobnie jak Ike.

– Miałeś jakieś wiadomości od Bobby’ego? – spytał szeptem stryj.

Theo pokręcił głową.

– Nie.

Rozdział 17

Miesiąc wcześniej tożsamość Bobby'ego Escobara została ujawniona sędziemu Gantry'emu podczas posiedzenia za zamkniętymi drzwiami. Jack Hogan utrzymywał jego nazwisko w tajemnicy do ostatniej chwili, ale procedura sądowa wymagała, by wszyscy świadkowie zostali ujawnieni przed procesem. Sędzia Gantry uprzedził surowo: jakikolwiek nieuzasadniony kontakt z Bobbym skończy się dotkliwymi karami. Manipulowanie świadkiem jest bardzo poważnym przestępstwem, on zaś nie zawaha się ukarać każdego, kto będzie próbował zastraszać rzeczonego świadka. Komentarze sędziego skierowane były głównie do Clifforda Nance'a i jego zespołu i w pewnym momencie Nance zgłosił sprzeciw.

– Wysoki Sądzie, z całym szacunkiem, ale najwyraźniej sugeruje pan działania przestępcze z naszej strony. Uważam to za obraźliwe.

– Niech pan uważa, co się panu podoba, panie Nance – odparł sędzia. – Ale nikt nie odezwie się nawet słowem do tego chłopca, jasne? Będę uważnie śledził jego sytuację.

Policja przewiozła Bobby'ego w bezpieczne miejsce i zapewniła mu całodobową ochronę. Miał ograniczony kontakt z przyjaciółmi i rodziną. Chodził codziennie do pracy na polu golfowym z policjantem po cywilnemu, który zawsze trzymał się blisko.

Theo potrzebował prawie tygodnia, by dowiedzieć się, gdzie Bobby przebywa. Julio powiedział, że jego kuzyn jest jeszcze bardziej wystraszony i żałuje, że się w ogóle zgłosił; podobno bardzo tęsknił za domem i martwił się o matkę, która została w Salwadorze. Była chora i chciała, by syn wrócił do kraju. Groził, że zniknie w rozległym świecie podziemia, dzięki któremu dostał się do Strattenburga. Żałował, że znalazł pracę na polu golfowym. Theo nakłaniał Julia, by przekonał kuzyna, że należy obstawać twardo przy swoim, być dzielnym i tak dalej, ale nawet Julio miał wątpliwości co do angażowania Bobby'ego w sprawę. Theo łatwo jest uważać, że trzeba postępować słusznie i wierzyć w sprawiedliwość na amerykańską modłę. Tylko że on nie rozumie, jak to jest, kiedy ktoś żyje z piętnem nielegalności, odrzucony, prześladowany przez strach, bez znajomości języka, martwiąc się bezustannie, że zostanie aresztowany i deportowany. Bobby nie wierzył policji, ponieważ bezustannie polowała na imigrantów i zakuwała ich w kajdanki. Jasne, funkcjonariusze dobrze go teraz traktują, ale co będzie potem, po procesie?

Obserwując Jacka Hogana i słysząc co chwila nazwisko Escobar, Theo sam zaczął mieć wątpliwości. To dzięki niemu znaleziono Bobby'ego i wciągnięto go w tę historię.

Wiedział, że sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót.

– Panie Nance, może pan wygłosić mowę wstępną – oznajmił po przerwie sędzia Gantry.

Nance podniósł się z poważną miną i zbliżył się do ławy przysięgłych. Jak zwykle, zaczął z impetem.

– Bobby Escobar to przestępca – oświadczył donośnie, z dramatyzmem. – Naruszył prawa naszego wielkiego narodu, przekraczając nielegalnie granicę w celu zysku ekonomicznego. Mieszka tu nielegalnie i korzysta z dobrodziejstw naszego kraju. Wykonuje pracę, do której nie jest uprawniony, podczas gdy wielu obywateli Stanów Zjednoczonych jest bezrobotnych. Jada trzy posiłki dziennie, podczas gdy dziesięć milionów amerykańskich dzieci kładzie się co wieczór do łóżka o pustym żołądku. Ma dach nad głową, podczas gdy pół miliona Amerykanów jest bezdomnych. Kiedy jest chory, może udać się do naszego szpitala i dzięki podatnikom otrzymać doskonałą opiekę medyczną. – Nance przerwał, przeszedł na drugi koniec balustrady przed ławą przysięgłych i popatrzył gniewnie na dwanaście siedzących tam osób. – Dlaczego nie jest w areszcie? Dlaczego nie został deportowany do Salwadoru? Dlatego, panie i panowie, że Bobby Escobar zawarł ugodę z policją i prokuraturą. Znalazł sposób, dzięki któremu może pozostać w kraju. Nie tylko pozostać, ale też mieszkać tu bez obawy o aresztowanie. Został głównym świadkiem w tej sprawie. Zasiądzie na swoim miejscu i powie wszystko, czego oczekują po nim policja i oskarżyciel. Po zeznaniach nie zostanie aresztowany i deportowany. Dlaczego? Bo zawarł ugodę. W zamian za fałszywe i niewiarygodne zeznanie przeciwko mojemu klientowi, panu Duffy’emu, będzie traktowany inaczej niż inni nielegalni imigranci. Otrzyma specjalny status, status nietykalności. Nie będzie podlegał deportacji. Nie będzie podlegał karze, na jaką zgodnie z naszym prawem zasługuje. Będzie ochroniany przez policję i prokuraturę, które postarają się dla niego o pozwolenie na pracę, może nawet o zieloną kartę. Kto wie, czy nie obiecano mu szybkiego uzyskania amerykańskiego obywatelstwa? – Kolejna pauza, kiedy Nance pomaszerował na drugi koniec balustrady. Przysięgli obserwowali go bacznie. Rozłożył ręce. – Panie i panowie, nie dajmy się zwieść temu zdesperowanemu człowiekowi. Bobby Escobar powie wszystko, byle uniknąć oskarżenia. Powie wszystko, byle pozostać w tym kraju. – Popatrzył każdemu przysięgłemu w oczy i wrócił niespiesznym krokiem do stołu obrony.

To było właśnie to! Najkrótsza mowa wstępna w historii amerykańskiego sądownictwa.

* * *

– Genialne, po prostu genialne! – skomentował Ike podczas lunchu w Pappy’s Deli. – Skupił się na najmocniejszym argumencie oskarżenia i zniszczył wiarygodność Bobby’ego Escobara.

– Myślisz, że przysięgli uwierzą, że Bobby kłamie? – spytał Theo, który odczuwał bolesny ucisk w żołądku od chwili, gdy Clifford Nance usiadł po

wyłoszeniu mowy wstępnej.

– Owszem, tak myślę. Nance przygwoździ go podczas przesłuchania. Ława przysięgłych już jest podejrzliwa. Musisz zrozumieć, Theo, że imigracja to poważny problem w tym kraju. Według ekspertów, my, naród, jesteśmy podzieleni jakby na pół, jeśli chodzi o pracowników szarej strefy. Z jednej strony wielu obywateli zdaje sobie sprawę, że ci ludzie robią to, czego nikt inny robić nie chce. Ale z drugiej... są tysiące drobnych biznesmenów, którzy nie mogą konkurować z tymi, co najmują nielegalnych imigrantów i płacą im nędzne pieniądze. Jestem pewien, że większość przysięgłych zna kogoś, kto musiał zwinąć interes, bo nie zatrudniał ludzi bez pozwolenia na pracę. Kto oparł się pokusie pójścia na łatwiznę i drogo za to zapłacił. Nielegalni imigranci dostają gotówkę do ręki i często zarabiają znacznie poniżej płacy minimalnej. Ludzie tacy jak Bobby Escobar wzbudzają głęboki gniew.

– Ale przecież Waverly Creek to najbardziej ekskluzywny klub golfowy w okolicy. Po co mieliby tam zatrudniać pracowników na lewo?

– Żeby zaoszczędzić pieniądze, i to duże. Poza tym nie zawsze wiedzą, że mają do czynienia z kimś, kto nie posiada pozwolenia na pracę. W obiegu jest mnóstwo sfalszowanych dokumentów. Niektórzy pracodawcy nie zadają pytań. Bardzo często gość, który prowadzi jakiś biznes, wynajmuje do gorszych robót mniejszą firmę i odwraca wzrok. W przypadku Bobby'ego istnieje duże prawdopodobieństwo, że pracuje dla jakiegoś niewielkiego przedsiębiorstwa zajmującego się architekturą krajobrazu i mającego kontrakt z klubem golfowym. To świat szarej strefy, a dowody trudno znaleźć. Łatwo jest ignorować pewne sprawy i oszczędzać pieniądze.

Theo nie tknął nawet swojej kanapki.

– A co się dzieje z pracodawcą, który został przyłapany na nielegalnym zatrudnianiu pracowników? – spytał.

– Robią mu nalot i musi zapłacić wysoką grzywnę. Ale to się zdarza bardzo rzadko. Więc jest zbyt wielu pracowników i zbyt wielu pracodawców, którzy są gotowi płacić gotówką i zyskać dzięki temu tanią siłę roboczą. Dlaczego nie jesz?

– Nie jestem głodny. Właściwie to mi niedobrze. Żałuję, że wciągnąłem Bobby'ego w tę sprawę.

– Ta sprawa zaczęła się w momencie, kiedy Pete Duffy zabił żonę. Nie jest to twoja ani moja wina. Ani Bobby'ego. Zbrodnia często wciąga w swoje tryby niewinnych ludzi, którzy najchętniej by się w coś takiego nie mieszcili. Tak to już jest. Gdyby świadkowie nie mieli odwagi zeznawać, nie ujawniono by wielu przestępstw.

Theo poskubał brzeg swojej kanapki, ale w ogóle nie miał apetytu.

* * *

Popołudniowa sesja sądu zaczęła się od wezwania przez Jacka Hogana pierwszego świadka oskarżenia. Była to Emily Green, młodsza siostra Myry Duffy. Po zaprzysiężeniu zajęła swoje miejsce i próbowała uśmiechać się do

przysięgłych, wyraźnie podenerwowana, jak większość ludzi w takiej sytuacji. Jack Hogan, nie spiesząc się, wypytywał ją o wydarzenia tego dnia, kiedy znalazła siostrę martwą. Miały spotkać się na lunchu i gdy Myra się nie pojawiła, Emily zaczęła do niej wydzwaniać. Siostra nie odbierała telefonu, więc uznała, że stało się coś złego, ponieważ Myra nie rozstawała się z komórką. Emily udała się czym prędzej do jej domu w Waverly Creek. Drzwi wejściowe były uchylone. Weszła do środka i znalazła Myrę leżącą na dywanie w salonie. Nie było żadnych śladów walki i w pierwszej chwili pomyślała, że siostra po prostu zemdliała albo dostała ataku serca. Sprawdziła jej puls i gdy uświadomiła sobie, że Myra nie żyje, wpadła w panikę i zadzwoniła pod numer 911. Mówiąc o tym, nie mogła powstrzymać rozpacz, ale zdołała nad sobą zapanować.

Clifford Nance wstał i powiedział, że nie ma pytań do świadka. Emily Green została zwolniona i zajęła miejsce w pierwszym rzędzie za stołem oskarżenia.

Jack Hogan wezwał następnego świadka, detektywa Thomasa Krone'a. Po kilku wstępnych pytaniach detektyw opisał miejsce przestępstwa. Na ekranie ukazało się duże zdjęcie i przysięgli jeszcze raz mogli obejrzeć Myrę Duffy znaną w pozycji leżącej na dywanie. Miała na sobie ładną sukienkę, na nogach szpilki. Hogan i Krone omówili szczegółowo każdy element fotografii. Następnie ukazało się zbliżenie szyi denatki i detektyw wyjaśnił, że kiedy po raz pierwszy badał ciało, zauważył zaczerwienienia i lekką opuchliznę po obu stronach szyi, tuż pod linią szczęki. Od razu zaczął podejrzewać uduszenie i chwilę później, gdy inny detektyw zajął się panią Green, Krone uniósł powiekę prawego oka Myry Duffy. Było całkowicie zaczerwienione, i w tym momencie zrozumiał, że ma do czynienia z zabójstwem.

Inne zdjęcia przedstawiały szafki i szuflady, które otwierał i wysuwał sprawca, a także porzucane bezładnie przedmioty, tak aby wszystko wyglądało na napad rabunkowy. Brakowało paru drogich zegarków Pete'a Duffy'ego, trzech sztuk broni palnej z jego kolekcji i kilku rzeczy z biżuterii Myry. Przedmiotów tych nigdy nie odnaleziono. Pojawiło się także zdjęcie drzwi wejściowych, drzwi na patio – zamkniętych, ale nie na klucz – i skrzynki alarmu. Hogan posłużył się ujęciem z lotu ptaka, by Krone mógł przedstawić przysięgłym dokładny widok na dom Duffy'ego i pokazać, jak niewielka dzieli go odległość od szóstego toru na polu golfowym. Inne zdjęcia ukazywały dom od frontu i z boku; wszystko było zacienione i odizolowane. Z drzwi, klamek, okien, szafek, szuflad, kasetek na biżuterię i zabytkowej mahoniowej skrzyneczki, w której oskarżony trzymał swoje zegarki, zdjęto odciski palców. Pasowały tylko do linii papilarnych państwa Duffych i ich gospodyni. Należało się tego spodziewać, skoro tam mieszkali, ale dowodziło też, że zabójca albo nosił rękawiczki i był bardzo ostrożny, albo jest nim Pete Duffy lub gospodyni. Tamtego dnia kobieta wzięła wolne. Miała niepodważalne alibi.

Po prezentacji zdjęć Jack Hogan przedstawił duży schemat Waverly Creek i krok po kroku przeanalizował z detektywem Krone'em lokalizację domu Duffych, trzech pól golfowych, siedziby klubu i tak dalej. Jak wynikało z danych zapisanych w komputerze w recepcji klubu, Pete Duffy rozpoczął grę o jedenastej

dziesięć przed południem, sam. Pogoda nie była sprzyjająca i na trzech polach kręciło się niewielu golfistów. Korzystał z własnego wózka, zamiast poruszać się pieszo, i jak wykazała wizja lokalna, w chwili śmierci żony znajdował się przy czwartym albo piątym dołku. Z tego miejsca mógł dotrzeć do domu Duffych w mniej więcej osiem minut.

Jak zdołał ustalić detektyw Krone, nikt nie widział Pete'a Duffy'ego pędzącego z jednego pola na drugie, by dostać się do domu. Nikt nie widział, by powrócił do gry po śmierci żony. Nie widziano, by ktokolwiek wchodził do domu albo go opuszczał. Żaden sąsiad nie zgłosił obecności nieznanego samochodu w pobliżu, choć, z drugiej strony, w Waverly Creek przestrzegano prywatności. Wszyscy mieszkali „tam”, za zamkniętymi bramami, i sąsiedzi zwykle nie śledzili tego, co dzieje się na ulicach. Krótko mówiąc, był to nieskazitelnie spokojny poranek, podczas którego nie wydarzyło się nic niezwykłego, dopóki oczywiście nie pojawiła się Emily Green.

Detektyw Krone zeznał, że przebywał w domu wraz ze swoimi ludźmi prawie dziesięć godzin. Był na miejscu, kiedy Pete Duffy zjawił się pospiesznie około drugiej trzydzieści i zobaczył żonę leżącą nieruchomo na podłodze. Sprawiał wrażenie osłupiałego i zrozpaczonego.

Jak każdy dobry prokurator, Jack Hogan był metodyczny, ale zaczął powtarzać pytania, na które padła już – identyczna – odpowiedź. Po dwóch godzinach Clifford Nance zaczął zgłaszać sprzeciw, ale sędziemu Gantry'emu się nie spieszyło. Kiedy Hogan oświadczył w końcu: „Nie mam więcej pytań”, sędzia zarządził piętnastominutową przerwę.

Theo musiał z niechęcią przyznać, że się nudzi. Była prawie czwarta, już po lekcjach. Chciał znaleźć Julia i upewnić się, że z Bobbym wszystko w porządku, ale wiedział, że nic z tego. Bobby znajdował się pod ochroną, a Julio nie miał z nim częstego kontaktu.

– Wystarczy mi jak na jeden dzień – wyznał Ike. – Zostajesz?

Ike miał ten luksus, że mógł śledzić cały proces. Czas, jakim dysponował Theo, był ograniczony.

– Chyba tak – odparł chłopak. – Kto jest następnym świadkiem?

– Najpierw Clifford Nance dobierze się do detektywa Krone'a. Nie wiem, czy wiele uzyska, ale spróbuje mu dowalić.

– Może być ciekawie. Zostanę. Do zobaczenia jutro.

Ike poklepał bratanka po kolanie i wyszedł z sali. Theo chciał wyjąć komórkę i przesłać wiadomość panu Mountowi, ale nie miał odwagi tego zrobić. W sali sędziego Gantry'ego każdy przyłapany na korzystaniu z telefonu komórkowego był wyprowadzany z zakazem powrotu i grzywną w wysokości stu dolarów. Nawet Theo nie potrafiłby się wykaraskać z takich tarapatów. Telefon pozostał więc w kieszeni.

Clifford Nance zaczął od zadania kilku prostych pytań. Ustalił, że Myra Duffy miała sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i w chwili śmierci ważyła około sześćdziesięciu pięciu kilogramów. Wiek czterdzieści sześć lat, zdrowa i sprawna, bez jakichkolwiek ułomności fizycznych, na ile Krone się orientował.

Grała często w tenisa, uprawiała okazjonalnie jogging i była pasjonatką jogi. Pete Duffy był o trzy lata starszy, dziesięć centymetrów wyższy i ważył siedemdziesiąt dziewięć kilogramów. Jak zeznał, ćwiczył niewiele i wypalał dwie paczki papierosów dziennie. Innymi słowy, pani Duffy nie należała do drobnych kobiet, a on nie należał do potężnie zbudowanych mężczyzn. Fizycznie była sprawniejsza od niego.

Czy jest więc rzeczą rozsądną wierzyć, że Pete Duffy mógł chwycić żonę za szyję i udusić ją, skoro nie stwierdzono żadnych śladów walki? Nie miała połamanych paznokci, co wskazywałoby na opór. On nie miał żadnych zadrapań na dłoniach, rękach ani twarzy, co dowodziłoby desperackiej walki.

Tak, odparł detektyw. Przede wszystkim znała go i ufała mu. Mógł się do niej zbliżyć, nie wzbudzając podejrzeń. Gdyby stanął za nią i chwycił ją obiema rękami za szyję, a potem zaciskał je mocno przez kilka sekund, straciłaby przytomność, a przy nieprzerwanym ucisku umarłaby w ciągu czterech minut.

Uduszenie gołymi rękoma to pospolita forma zabójstwa podczas konfliktów domowych, oznajmił Krone.

Nance zjeżył się na te słowa i spytał detektywa, z iloma takimi sprawami miał do czynienia. Krone nie potrafił odpowiedzieć, więc Nance zaatakował go jako niewiarygodnego świadka, który mówi za dużo. Przesłuchanie zeszło niebawem na niski poziom; obaj mężczyźni zaczęli okazywać gniew i przerywać sobie nawzajem. Sędzia Gantry strofował obu i próbował uspokoić sytuację, lecz starcie trwało nadal.

W miarę jak Nance nie odpuszczał, Krone musiał przyznać, że nie jest lekarzem i nie przeszedł szkolenia medycznego, nie uczestniczył nawet w takich zajęciach dla detektywów w wydziale zabójstw. Przyznał też, że nie jest pewien, jak zabójca chwycił i udusił ofiarę. I że oskarżony nie został należycie zbadany na okoliczność zadrapań i śladów po paznokciach. Wiedział, że Duffy miał na dłoniach rękawiczki golfowe, i napomknął, że być może chroniły one jego ręce, kiedy żona próbowała się wyswobodzić.

– Może! – grzmiał Nance. – Może to! Może tamto! A jeśli to?! Przypuśćmy, że tak! Jest pan czegokolwiek pewien, detektywie?

Im dłużej się spierali, tym gorzej detektyw wypadał. A Nance zdobywał kolejne punkty, rozkładając jego zeznania na czynniki pierwsze. Po godzinie brutalnego przepytywania oznajmił, że nie ma więcej pytań. Sędzia Gantry zarządził przerwę do dnia następnego. Wszyscy tego potrzebowali.

Rozdział 18

Późnym popołudniem w poniedziałek Theo siedział w swoim gabinecie z psem, który drzemał u jego stóp, i próbował skoncentrować się na pracy domowej, ale błądził myślami gdzie indziej. Najczęściej dotyczyły one Bobby'ego Escobara i koszmaru, jaki czekał na biednego chłopaka w sali sądowej. Wiedział, że Clifford Nance będzie atakował jak wściekły pies i zapewne doprowadzi go do płaczu. Że będzie obrzucał go wyzwiskami. Oskarżał o zawarcie szachrajskiego układu z prokuraturą, by móc pozostać w kraju. Będzie przekonywał ławę przysięgłych, że Bobby powie wszystko, byle ratować własną skórę. Nie było szans, by przygotować chłopaka na to, co go czeka.

I wszystko przez niego. Gdyby nie on, Bobby nigdy nie zostałby zidentyfikowany jako świadek. Gdyby nie on, Pete Duffy ukrywałby się w Ameryce Południowej i cała ta koszmarowa sprawa teraz by mu nie ciążyła.

Czuł się absolutnie nieszczęśliwy i żałował, że kiedykolwiek jego noga postąpiła w sądzie. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów prawo przyprawiało go o mdłości. Może powinien zostać architektem.

Nagle z tego żalospnego otępienia wyrwało go pukanie do tylnych drzwi. Asesor zerwał się i warknął cicho, chcąc pokazać Theo, że nie śpi i odpowiednio strzeże tego miejsca. Pies nie był w gruncie rzeczy taki odważny i wolał unikać kłopotów.

Okazało się, że to Julio, przestraszony i niepewny. Był tu już kiedyś, ale myśl o pójściu do kancelarii prawniczej w śródmieściu napawała go niepokojem. Usiadł na drugim krześle, wyraźnie przybity.

– O co chodzi, Julio? – spytał Theo.

– Jak tam proces? – Gdy spotkali się po raz pierwszy w schronisku dla bezdomnych, mówił z silnym obcym akcentem, teraz jednak był on ledwie wyczuwalny i Theo nie mógł wyjść ze zdumienia, że jego przyjaciel tak szybko uczy się angielskiego.

– Chyba w porządku – odparł. – Zwolnili mnie ze szkoły i pozwolili iść do sądu. Co z Bobbym?

– Przewieźli go do motelu, do innego miasta. Nie chciał zdradzić gdzie, bo policja zabroniła mu komukolwiek o tym mówić. Ale naprawdę się boi, Theo. – Julio przerwał i rozejrzał się nerwowo po pokoju. Było jasne, że ma więcej do powiedzenia, tylko nie był przekonany, czy powinien to zrobić. Zaciśnął jednak zęby i ciągnął mężnie: – Widzisz, Bobby ma przyjaciela, faceta, z którym pracuje, Amerykanina. Ten gość miał dzisiaj wolne. Poszedł do sądu, usiadł na galerii i obserwował proces. Powiedział Bobby'emu, że sprawy stoją kiepsko, że adwokat nazwał go przestępcą i kłamcą i takie tam. I jeszcze, że Bobby byłby wariatem, gdyby poszedł do sądu. On twierdzi, że obrona rzuci się na niego i robi z niego

głupka. I że przysięgli już są przekonani, że Bobby to jeszcze jeden kłamliwy imigrant, który powie wszystko, żeby dostać zieloną kartę. To prawda?

Theo kusilo, by trochę tę prawdę podkoloryzować, zapewnić Julia, że Bobby da sobie radę. Nie ma się czym martwić i tak dalej, ale nie mógł się po prostu na to zdobyć.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytał.

– Rozmawiałem z Bobbym.

– Jakim cudem mogłeś z nim rozmawiać, skoro policja zamknęła go w motelu?

– Bo ma komórkę. Nową.

– A jak tę komórkę zdobył?

– Policja mu dała. Uznali, że powinien ją mieć na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Zadzwoił do mnie godzinę temu i powiedział, że rozmawiał z tym przyjacielem. I że nie wie, co robić. Naprawdę jest tak źle?

Theo wziął głęboki oddech, starając się wymyślić coś, dzięki czemu sytuacja wyglądałaby lepiej.

– No cóż, Julio, musisz rozumieć, na czym polega proces. Wiem, że to irytujące, ale nie, nie jest aż tak źle. Podczas procesu adwokaci mówią czasem rzeczy, które niekoniecznie są prawdziwe. Pamiętaj, że Pete Duffy jest sądzony za zabójstwo z premedytacją i że grozi mu kara śmierci. Ma naprawdę dobrych obrońców, którzy będą walczyć twardo, żeby wygrać sprawę. Więc opowiadają historie, które nie brzmią najlepiej, ale w gruncie rzeczy nie są znów takie okropne. Bobby poradzi sobie, siedząc na miejscu dla świadków. A bez niego trudno będzie oskarżeniu uzyskać wyrok skazujący.

– Nazwali go przestępcą?

– Tak.

– I powiedzieli, że poszedł na jakąś ugodę?

– Tak.

Julio pokręcił głową z obrzydzeniem.

– Dla mnie to wszystko brzmi koszmarnie.

– To dopiero pierwszy dzień procesu. Będzie dobrze.

– Skąd wiesz? Jesteś tylko dzieciakiem.

Theo z pewnością czuł się jak dzieciak. Na dobrą sprawę czuł się jak mały głupi chłopak, który wtrącił się w sprawę świata, w którym nawet dorośli mogą nieźle oberwać.

Po drugiej stronie ulicy, kawałek dalej, za kierownicą starej furgonetki dostawczej z rodzaju tych, na które nikt nie zwraca uwagi, siedział Omar Cheepe. Czytał gazetę, która częściowo zakrywała mu twarz, a z uszu zwisały cienkie białe przewody, jakby słuchał iPod'a.

Ale nie słuchał muzyki, lecz każdego słowa, które padało w gabinecie Theo. W miniony weekend wraz z Paco spędził dwie godziny w pomieszczeniach kancelarii Boone i Boone. Posługując się ostrzem składanego noża, bez trudu otworzyli tylne drzwi. W firmie nie zamontowano alarmu. W końcu była to jedynie kancelaria prawnicza, a jej sprzęty nie przedstawiały większej wartości. Nie było tam czego pilnować. Kiedy już znaleźli się wewnątrz, zainstalowali

cztery urządzenia podsłuchowe, każde wielkości pudełka od zapalek: jedno za komodą w gabinecie pani Boone, w miejscu, do którego nigdy by nie zajrzała, drugie między zakurzonymi starymi książkami prawniczymi na najwyższej półce w gabinecie pana Boone'a, trzecie na grubej księdze prawniczej w pokoju konferencyjnym. I wreszcie ostatnie pod blatem chwiejnego stolika do kart, którego Theo używał jako biurka. Każde mogło działać około dwóch tygodni, aż do wyczerpania baterii. Gdyby je kiedykolwiek odkryto, istniała szansa, że nie zostałyby zidentyfikowane jako urządzenia podsłuchowe. Poza tym Boone'owie nie mieliby pojęcia, kto je podłożył w ich kancelarii. Gdyby było to konieczne, Omar i Paco mogli wejść nocą do pomieszczeń i zabrać swoje gadzety. Ale prawdopodobnie by tego nie zrobili. Po co zawracać sobie głowę? Proces dobiegnie niebawem końca.

Vince, aplikant adwokacki, zjawił się w poniedziałek pierwszy. Zapalił jak zwykle światła, włączył ogrzewanie, otworzył drzwi, zaparzył kawę i przeprowadził pobieżną inspekcję pomieszczeń. Nie zauważył niczego niezwykłego, ale też niczego takiego się nie spodziewał. Tylne drzwi były zamknięte, ani śladu najścia.

Omar uśmiechnął się do siebie.

– „Jesteś tylko dzieciakiem” – powtórzył szeptem.

– To wszystko twoja wina, Theo – powiedział Julio. – Bobby jest moim kuzynem, to miły gość. Jadł sobie tamtego dnia lunch w zaroślach, zupełnie sam, żeby pomyśleć spokojnie o rodzinie, odmawiał modlitwę i tęsknił za domem, i przypadkiem zobaczył tego faceta na wózku golfowym. Nie wiedział, że doszło do morderstwa. Zajmował się własnymi sprawami. Popełnił błąd, opowiadając mi o wszystkim, a ja popełniłem kolejny, mówiąc tobie. Wciągnąłeś w to rodziców, a potem sędziego. Bobby był taki szczęśliwy, kiedy ten Duffy zwiął, bo dzięki temu nie musiał się w nic mieszać. Pomyśl, czym to jest dla kogoś takiego jak on. Nie wie, co robić. Zaufaliśmy ci, a teraz Bobby chowa się w jakimś motelu z dwoma gliniarzami, żeby mógł zjawić się w sądzie, gdzie rozerwie go na strzępy banda adwokatów.

Zamilkł i wlepił wzrok w swoje stopy. Theo nic nie przychodziło do głowy. Upłynęła długa minuta, w pokoju panowała śmiertelna cisza.

– Bobby postępuje słusznie – odezwał się w końcu Theo. – Nie jest to łatwe, ale czasem człowiek musi postąpić jak należy. Bobby jest bardzo ważnym świadkiem, właściwie najważniejszym w całym procesie. Nie, nie prosił o to. Nie chce się mieszać, ale pewna kobieta została zamordowana przez własnego męża, we własnym domu. Ten człowiek zasługuje na karę. Nie możemy pozwolić, by mordercy chodzili sobie na wolności. Jasne, Bobby znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, ale nie może już tego zmienić. Widział to, co widział, i jego obowiązkiem jest zgłosić się do sądu i powiedzieć wszystko przysięgłym. Nie ma nic do zyskania, a ława przysięgłych mu uwierzy.

Julio zamknął oczy, jakby miał się lada chwila rozplakać.

– Porozmawiasz z nim? – spytał po chwili. – Masz komórkę.

Ta prośba przeraziła Theo.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Sędzia może pomyśleć, że próbuję manipulować świadkiem.

– Manipulować? Co to znaczy?

– To jest przestępstwo, kiedy jedna ze stron próbuje wpłynąć na świadka. Nazywa się to manipulowaniem. Prawnicy mogą przygotowywać przed procesem swoich świadków, to jest dozwolone, ale nie wtedy, gdy ktoś inny próbuje... no wiesz, wywierać na nich nacisk. Nie jestem pewien, czy ta zasada stosuje się do mnie, ale wydaje mi się, że to niewłaściwe.

– Nie wszystko tu rozumiem. Bobby zresztą też. Na tym polega problem. To nie jest nasz świat.

Theo wpatrywał się w ścianę, podczas gdy jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Coś mu mówiło, że ustalenie numeru komórki Bobby'ego jest bardzo ważne.

– Jak jego angielski? – spytał.

– Nie za dobrze. Właściwie beznadziejnie. A o co chodzi?

– Właśnie się zastanawiam. Może prześlesz mu wiadomość z mojego telefonu, po hiszpańsku, oczywiście. Że nie jest tak źle, jak mu się wydaje.

– Nie wpakujemy się w kłopoty?

Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, pomyślał Theo, ale w końcu nie próbowali wpłynąć na zeznania Bobby'ego. Chcieli tylko dodać mu odwagi. A on będzie miał w pamięci swojej komórki jego numer.

– Nie, nie wpakujemy się w kłopoty – odparł bez choćby cienia pewności.

– Nigdy nie przesyłałem esemesa – wyznał Julio.

– Napisz tylko krótką wiadomość po hiszpańsku, a ją prześlę. – Theo wręczył przyjacielowi bloczek i ołówek.

– Co mam napisać? – spytał Julio.

– Spróbuj tak: „Cześć, Bobby, to ja, Julio, to jest komórka Theo. Mówi, że nie masz się czym martwić. Dasz sobie świetnie radę, wszystko będzie okay”.

Gdyby Theo miał więcej czasu i słownik hiszpańskiego pod ręką, sam by ułożył jakoś tę wiadomość, ale nie była to odpowiednia chwila na eksperymenty. Julio skreślił kilka słów i wręczył mu bloczek.

– Jaki to numer? – spytał Theo, sięgając po komórkę.

Julio wyjął z kieszeni skrawek papieru i odczytał:

– Czteryście czterdzieści pięć, pięćset pięćdziesiąt pięć, osiemdziesiąt osiem, dwadzieścia dwa.

Theo wystukał numer, potem tekst wiadomości i wysłał. Położył komórkę na biurku i obserwował ją przez kilka sekund, licząc na natychmiastową odpowiedź.

– Jak długo siedzi już w tym motelu? – spytał.

– Przewieźli go w sobotę. Jego szef był wkurzony, ale policja go uspokoiła. Bobby to teraz ważna osoba, a gliniarze są dla niego bardzo mili.

– Domyślam się. Jest głównym świadkiem. Nic mu się nie stanie, Julio, nie martw się.

– Łatwo ci mówić. Muszę wracać do domu i zająć się Hectorem i Ritą.

– Pozdrów ich ode mnie.

– Jasne.

* * *

Omar patrzył, jak Julio wsiada na rower i szybko odjeżdża. Kiedy chłopak zniknął z pola widzenia, Omar wyjął słuchawki, wziął komórkę i zadzwonił do Paco.

– Pan Julio Pena opuścił właśnie kancelarię prawniczą młodego Theodore’a Boone’a – poinformował z odrażającym uśmiechem. – Nie uwierzysz. Nasz Bobby ukrywa się teraz w jakimś motelu w nieznanym mieście i jest pilnowany przez policję. Nie możemy go tknąć, ale ma telefon, a my mamy jego numer.

– Pięknie!

– Jak twój hiszpański?

– A jak myślisz? To mój rodzimy język, nie pamiętasz?

* * *

Państwo Boone’owie usiedli w restauracji przy swoim stałym stole i wymienili uprzejmości z właścicielem lokalu, panem Robilio, który czekał na nich co wieczór w poniedziałek. Rozwodził się nad ravioli, daniem dnia, i powiedział, że jeszcze nigdy nie były tak dobre. Z drugiej strony mówił tak codziennie o każdym daniu dnia.

– Opowiedz nam o procesie – poprosiła syna pani Boone, gdy tylko Robilio się oddalił. – Chcę wszystko usłyszeć.

Theo miał serdecznie dosyć procesu i nie chciał o niczym mówić. Rodzice byli jednak na tyle uprzejmi, by zwolnić go z lekcji, więc uznał, że jest im winien relację. Zaczął od samego początku, od mów wstępnych, i zdążył się już rozpędzić, kiedy powrócił pan Robilio.

– Co zamawiasz, Theo? – spytał.

– Nic – oznajmił głośno pan Boone. – Syn prowadzi strajk głodowy.

– Co?! – Pan Robilio nie krył przerażenia.

– Daj spokój, Woods – wtrąciła pani Boone. – Ten strajk trwał około dziesięciu minut.

– Ravioli – odparł pospiesznie chłopak.

Matka zamówiła sałatkę z kalmarów, a ojciec spaghetti z klopsikami cielęcymi. Wyraźnie zadowolony właściciel restauracji oddalił się czym prędzej. Theo kontynuował relację. Rodzice byli zszokowani komentarzami Clifforda Nance’a w jego mowie wstępnej.

– Nie może nazywać Bobby’ego przestępcą – oznajmiła pani Boone. – Ten człowiek nigdy nie został skazany.

– Czy Hogan zgłosił sprzeciw? – spytał jej mąż. – Takie słowa są niedopuszczalne.

– Żadnego sprzeciwu – rzucił Theo. – Prokurator tylko siedział i milczał. Nie wróży to dobrze Bobby’emu. Żał mi go. Czuję się z tego powodu podle.

Pan Boone ugryzł kawałek pieczywa czosnkowego.

– Hm... wydaje mi się, że Nance może sobie zaszkodzić, jeśli będzie atakował Bobby’ego za mówienie prawdy – powiedział, rozrzucając wokół okruchy chleba.

– Nie wiem. Nielegalni pracownicy nie cieszą się ogólną sympatią – zauważyła pani Boone.

Theo nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek rodzice zgadzali się w jakiejś kwestii prawnej. Wkrótce zaczęli się spierać o to, jak Bobby może być postrzegany przez ławę przysięgłych. Podano jedzenie i Theo rzucił się na ravioli. Było jasne, że rodzice są niezwykle zainteresowani procesem, podobnie jak wszyscy w mieście. Więc dlaczego nie mogli pójść do sądu i popatrzeć sobie na proces? Twierdzili, że są zajęci. Theo podejrzewał jednak, że nie chcą przyznać, że sprawa prowadzona przez innego prawnika może być ważniejsza od ich pracy. Wydawało mu się to niemądre.

Nagle stracił apetyt. Kiedy przełknął pierwsze ravioli i odłożył widelec, matka spytała:

– Nie jesz, Theo. O co chodzi?

– O nic, mamó. Wszystko w porządku.

Czasem, gdy był bardzo głodny, łąjała go, że je zbyt szybko. Kiedy z kolei coś się martwił i nie miał apetytu, dopytywała się, o co chodzi. A jeśli wszystko było w jak najlepszym porządku i jadł normalnie, nic nie mówiła.

Jego rodzicom przydałoby się jeszcze jedno dziecko, może dwoje, ktoś, kogo mogliby obserwować i oceniać. I choć doszedł już do wniosku, że bycie jedynakiem ma więcej dobrych stron niż złych, to zdarzało się, że pragnął towarzystwa, kogoś, kto skupiałby na sobie uwagę rodziców. Z drugiej strony Chase miał starszą siostrę, która była wręcz koszmarna, starszy brat Woody’ego przebywał w poprawczaku, a młodszy brat Aarona był podły i podstępny jak wąż.

Może naprawdę mógł się uważać za szczęściarza.

Wciąż ani słowa od Bobby’ego.

Rozdział 19

W motelu, pięćdziesiąt kilometrów od Strattenburga, Bobby Escobar siedział na łóżku i oglądał w telewizji kolejny stary film. Nie miał hiszpańskojęzycznej stacji i chciał za wszelką cenę zorientować się, o co chodzi w tym filmie. W każdym razie próbował. Wytężał słuch i starał się powtarzać szybko wymawiane angielskie zdania, ale było to ponad jego siły. Spędzał już trzecią noc w motelu i ta monotonia go męczyła.

W pokoju znajdowały się drzwi prowadzące do sąsiedniego; słyszał, jak funkcjonariusz Bard śmieje się, oglądając telewizję. Jego partner Sneed zajmował drugi pokój, też sąsiedni. Bobby tkwił między nimi, starannie strzeżony. Obaj policjanci wychodzili ze skóry, żeby czuł się dobrze. Poszli na kolację do meksykańskiej restauracji, gdzie serwowano świetne enchilady. Na lunch była jak dotąd pizza albo burgery. Na śniadanie jedli gofry w lokalu, gdzie zbierali się miejscowi, którzy zastanawiali się, kim są ci nowi. Między posiłkami siedzieli w hotelu i grali w warcaby albo włączyli się po mieście dla zabicia czasu. Policjanci nakłaniali Bobby'ego, żeby powtarzał angielskie słowa i zwroty, ale nie robił wielkich postępów. Oni też się nudzili, byli jednak profesjonalistami i swoje obowiązki traktowali poważnie.

O 21.07 zawibrowała nowa komórka Bobby'ego. Przeczytał wiadomość po hiszpańsku: *Bobby, w sądzie jesteś martwy. Adwokaci pożrą cię żywcem. Będziesz idiotą, jeśli tam pójdziesz.*

Chwycił telefon, wlepił wzrok w nieznany numer i poczuł, jak ogarnia go strach. Nikt nie znał tego numeru oprócz policji, jego szefa, ciotki Caroli – matki Julia – i Theo Boone'a. Miał ten telefon od niespełna tygodnia i wciąż się uczył, jak z niego korzystać. A teraz ktoś obcy wpadł na jego trop.

Co powinien zrobić? Instynkt podpowiadał mu, żeby zawołać funkcjonariusza Barda i pokazać wiadomość, ale Bobby zwlekał. Próbował się uspokoić, oddychając głęboko.

Upłynęły dwie minuty i o 21.09 telefon znowu zawibrował. Przyszła nowa wiadomość: *Bobby, policja zamierza aresztować cię natychmiast po procesie. Nie możesz jej ufać. Wykorzystują cię, żeby dostać to, o co im chodzi, a potem założą ci kajdanki. Uciekaj!*

Hiszpański był bezbłędny. Nieznany numer miał ten sam kierunkowy: 445. Ogarnęła go panika, ale się nie ruszył. Zbierało mu się na płacz.

O 21.15 nadeszła trzecia wiadomość: *Bobby, policja cię okłamuje, tak jak Julio, Theo Boone i wszyscy. Nie daj się złapać na ich sztuczki. Nie obchodzisz ich. To pułapka. Uciekaj, Bobby, uciekaj!!!*

Bobby wystukał powoli odpowiedź: *Kim jesteś?*

Upłynęło pół godziny bez żadnego odzewu. Bobby poczuł, że robi mu się niedobrze, i poszedł do łazienki. Pochylił głowę nad umywalką i spróbował wymiotować, ale na próżno. Wymył zęby i posiedział chwilę, nie odrywając wzroku od telefonu. Funkcjonariusz Sneed zajął do niego i powiedział, że kładzie się spać. Bobby zapewnił go, że wszystko jest w najlepszym porządku. Nazajutrz był wtorek, drugi dzień procesu, a oni wątpili, by tego dnia Bobby został wezwany do sądu. Jak twierdził Sneed, Jack Hogan zamierzał go przesłuchiwać dopiero w środę. A więc czekał ich kolejny nudny dzień.

Dzięki, powiedział Bobby; Sneed udał się do łóżka. Bard kręcił się jeszcze po swoim pokoju; drzwi wciąż były uchylone. Krzątał się przez chwilę w łazience, włożył podkoszulek i szorty, po czym wyciągnął się na łóżku, żeby pooglądać telewizję. Bobby był kilkakrotnie bliski tego, żeby zajrzeć do niego i pokazać mu otrzymane wiadomości, ale za każdym razem się wahał.

Nie wiedział, co robić. Lubił tych dwóch policjantów, a oni traktowali go jak kogoś ważnego, lecz żyli w innym świecie. Poza tym byli zwykłymi gliniarzami. To ich szefowie podejmowali decyzje.

O 21.47 nadeszła czwarta wiadomość: *Bobby, wiemy, że twoja matka jest bardzo chora. Jeśli wejdiesz do tego sądu, nie zobaczysz jej przez lata. Dlaczego? Bo będziesz gnął w amerykańskim więzieniu, czekając na deportację. To wszystko jest jedną wielką pułapką. Uciekaj!*

Bateria była w połowie wyczerpana. Bobby podłączył po cichu telefon do ładowarki. Czekając, myślał o swojej śmiertelnie chorej matce. Nie widział jej od ponad roku. Bolało go serce, kiedy przypominał sobie o niej i swoich młodszych braciach. I o ojcu, o tym, jak harował, żeby wyżywić rodzinę. To właśnie ojciec go namawiał na wyjazd do Ameryki. Żeby znalazł tam dobrą pracę i jeśli się da, przesyłał do domu pieniądze.

O 22.00 Bard wsunął głowę przez uchylone drzwi i posługując się koszmarnym hiszpańskim, spytał, czy wszystko w porządku. Bobby uśmiechnął się i zdołał wydusić z siebie: „Dobranoc”. Bard zamknął drzwi i zgasił światło, a Bobby zrobił to samo.

Godzinę później wymknął się z pokoju na korytarz, zbiegł po schodach na parter, wyszedł na zewnątrz i zniknął w ciemności.

* * *

Theo i Asesor spali głęboko, kiedy około północy ich spokój zakłócił jakiś cichy dźwięk. Była to delikatna wibracja komórki leżącej na nocnym stoliku. Pies się nie ruszył, ale Theo ocknął się i chwycił telefon. Była 00.02

– Halo – rzucił niemal szeptem, choć mógłby wrzeszczeć, a rodzice i tak by go nie usłyszeli. Spali na dole, daleko od niego, przy zamkniętych drzwiach.

– To ja, Julio. Nie śpisz?

Theo wziął głęboki oddech, rozmyślając o tych wszystkich celnych odpowiedziach, jakich mógłby użyć w tej sytuacji, ale uświadomił sobie szybko, że stało się coś złego. Po co by w przeciwnym razie Julio do niego dzwonił?

– Nie, Julio, nie śpię w tej chwili, więc o co chodzi?
– Właśnie rozmawiałem z Bobbym. Zadzwoił i obudził nas. Uciekł policji. Boi się i ukrywa. I nie wie, co robić. Moja mama płacze.
Wspaniale. Płacz był w tej sytuacji bardzo pomocny.
– Dlaczego uciekł? – spytał Theo.
– Powiedział, że wszyscy go okłamują. Policja, ty, ja, sędzia, prokurator. Nie ufa nikomu i podejrzewa, że zostanie zaraz po procesie aresztowany. Twierdzi, że nie zbliży się na krok do sali sądowej. Bardzo się denerwuje. Theo... co teraz?
– Gdzie on jest?
– W jakimś Weeksburgu. Siedział w motelu z policjantami i czekał, aż zasną. Mówi, że chowa się za sklepem całodobowym w gorszej części miasta. Bardzo się boi, ale nie wróci na policję.
Theo zdążył już wstać i krążył po pokoju. Wciąż zaspany, starał się myśleć jasno. Asesor obserwował go, wyraźnie poirytowany, że się go budzi i zakłóca mu spokojny sen.
– Mylisz, że będzie chciał ze mną rozmawiać? – spytał Theo.
– Nie.
– To i tak nie byłby dobry pomysł.
W gruncie rzeczy był do niczego. Theo wiedział, że najwyższa pora wycofać się i zostawić sprawę dorosłym. Nie chciał, żeby sędzia Gantry wrzeszczał na niego za kontakty ze świadkiem. Była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął. Postanowił zapomnieć o procesie. Zapomnieć o Duffym i Bobbym Escobarze. Zapomnieć o Jacku Hoganie i Cliffordzie Nansie. Zapomnieć o wszystkim i znów być zwykłym dzieciakiem.
Jeśli Bobby Escobar chciał zniknąć, to nic nie można było na to poradzić.
– Nie wiem, co robić, Julio – wyznał w końcu. – Nic nie możemy na to wszystko poradzić.
– Ale martwimy się o niego. On się ukrywa.
– Bo chce się ukrywać. Poza tym do twardego gościa. Da sobie radę.
– To wszystko twoja wina.
– Dzięki, Julio. Wielkie dzięki.
Theo położył się z powrotem do łóżka i wlepił wzrok w sufit. Asesor szybko zasnął, ale on nie zmrużył oka jeszcze przez wiele godzin.

* * *

Nabrał powoli łyżkę cheerios, potem obrócił ją i wrzucił płatki z powrotem do mleka. W ogóle nie czuł smaku. Znów nabrał pełną łyżkę i ponownie ją opróżnił. Asesor, który przycupnął u jego stóp, nie miał takich problemów.
Pani Boone siedziała w salonie, zajęta swoim napojem dietetycznym i gazetą, nieświadoma klęski, jaka miała nastąpić w procesie Pete'a Duffy'ego. Policja zdążyła już ustalić, że Booby zniknął. Funkcjonariusze zadzwonili bez wątplenia do Jacka Hogana i oskarżenie zaczęło się sypać. Jak za kilka godzin będzie

wyglądać sala sądowa? Theo dałby wszystko, by się tego dowiedzieć, ale z drugiej strony zamierzał ignorować proces.

O ósmej splukał miseczki w zlewie, schował mleko i sok pomarańczowy do lodówki, poszedł do salonu i pocałował matkę w policzek.

- Idę do szkoły – powiedział.
- Wyglądasz na zaspanego – zauważyła.
- Nic mi nie jest.
- Masz pieniądze na lunch? – Zadawała to samo pytanie pięć razy w tygodniu.
- Jak zawsze.
- I odrobiłeś lekcje?
- Wszystkie.
- Kiedy cię zobaczę?
- Po szkole.
- Uważaj na siebie i pamiętaj, żeby się uśmiechać.

Theo nienawidził się uśmiechać, ponieważ nosił na zębach duży aparat, matka była jednak przekonana, że każdy uśmiech czyni świat szczęśliwszym miejscem.

- Uśmiecham się, mam – zapewnił.
- Kocham cię, Teddy.
- Ja też cię kocham.

Uśmiechał się, dopóki nie dotarł do kuchni. Nienawidził, kiedy mama mówiła na niego Teddy, i teraz wymamrotał to pod nosem. Chwycił plecak, poklepał Asesora po łbie, pożegnał się i wyszedł z domu. Przemknął przez miasto i dziesięć minut później stał przed biurkiem Ike'a. Zadzwoił do niego godzinę wcześniej i stryj już na Theo czekał; miał zaczerwienione oczy i wyglądał okropnie.

- To klęska – warknął. – Kompletna klęska.
- Co będzie, Ike?

Stryj łyknął kawy z wysokiego papierowego kubka.

- Pamiętasz mowę wstępną Jacka Hogana? Jak obiecywał, że przysięgli wysłuchają Bobby'ego Escobara, głównego świadka? Pamiętasz?

- Jasne.

- Hm... to był błąd, bo teraz, jeśli Bobby nie pojawi się w sądzie, obrona wniesie o unieważnienie procesu ze względów proceduralnych, a sędzia Gantry, chcąc nie chcąc, będzie musiał to zrobić. I wiesz co? Zgodnie z naszym prawem, unieważnienie procesu po raz drugi oznacza, że zarzuty zostaną oddalone. Duffy wykpi się od oskarżenia o zabójstwo z premedytacją. Odsiedzi kilka lat za ucieczkę przed wymiarem sprawiedliwości, ale szybko wyjdzie i niebawem będzie wiódł spokojne życie. Morderstwo ujdzie mu na sucho, Theo. Tak właśnie będzie. Klęska.

Choć Ike od pewnego już czasu nie wspominał o nagrodzie, Theo podejrzewał, że stryj dużo o tym rozmyśla. Zarabiał na skromne życie jako księgowy, ale nie było tego wiele. Jeździł dwudziestoletnim samochodem. Mieszkał w obskurnej norze. Prowadził nędzne biuro, w którym panował bezustannie bałagan, ale Theo je uwielbiał.

Ike wydawał się bardzo zbulwersowany faktem, że drugi proces też może zostać unieważniony.

– Muszą znaleźć tego chłopca – powiedział.

Theo nie zamierzał mówić komukolwiek, że zna numer komórki Bobby'ego; nie miało to zresztą większego znaczenia. Był pewien, że Bobby, gdziekolwiek się ukrywa, nie odbierze telefonu.

– Kiedy powiedzą sędziemu Gantry'emu, że główny świadek zniknął? – spytał.

– Kto wie? Na miejscu Jacka Hogana siedziałbym cicho jak najdłużej i miał cholerną nadzieję, że znajdą Bobby'ego. Prokurator może wezwać całą bandę świadków, zanim będzie potrzebował Bobby'ego, więc prawdopodobnie zamierza działać tak, jakby nic się nie stało. Ale jeśli do jutra go nie znajdą, gra będzie skończona. Nie mam żadnej pewności, po prostu spekuluję.

– I nic nie możemy zrobić, prawda?

– Oczywiście, że nie – warknął Ike. – Możemy tylko czekać.

– No to jadę do szkoły. Wybierasz się do sądu?

– Tak, jasne. Za Boga bym tego nie przepuścił. Zadzwoń do ciebie, jak ogłoszą przerwę.

Julio czekał przy stojaku na rowery. Poszeptali przez kilka minut w drodze do szkoły. Ani słowa od kuzyna. Bobby nie odbierał telefonów.

– Jestem pewien, że policja szuka go wszędzie – powiedział Theo. – Może go znajdą.

– Myślisz, że wszystko z nim w porządku?

– Pewnie, jest cały i zdrowy – odparł Theo, choć nie miał pojęcia, czy to prawda.

– Przepraszam za to, co powiedziałem. Że to wszystko twoja wina. Wcale tak nie myślałem.

– Nie przejmuj się. Spotkajmy się podczas przerwy na lunch.

– Jasne.

Rozdział 20

O dziewiątej, siedząc na lekcji hiszpańskiego z madame Monique, Theo obserwował zegar na ścianie i zadawał sobie pytanie, co się dzieje w sądzie. Zaczynał się drugi dzień procesu. Sala była prawdopodobnie wypełniona po brzegi i przysięgli zajęli swoje miejsca w ławie, żeby wysłuchać kolejnych świadków oskarżenia. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Nikt z wyjątkiem Jacka Hogana i jego zespołu nie znał prawdy – że ich główny świadek zniknął. Godzinę później Theo męczył się na lekcji geometrii z panną Garman i myślał o Bobbym, który ukrywał się zapewne gdzieś w zaroślach i patrzył, jak po Weeksburgu krążą radiowozy w gorączkowych poszukiwaniach. Zdołał przebyć całą drogę z Salwadoru przez Meksyk, przekroczyć granicę i przedostać się niepostrzeżenie do Strattenburga. Theo często się zastanawiał, jakim cudem miliony ludzi mogą przedostawać się nielegalnie do Stanów, a potem żyć i przetrwać. Wiedzieli, jak w razie potrzeby kryć się w mroku i unikać władz.

Gdyby Bobby chciał zniknąć, nigdy by go nie znaleźli.

Między lekcją geometrii a wychowaniem obywatelskim z panem Mountem była dziesięciominutowa przerwa i Theo popędził na boisko szkolne, żeby zadzwonić do Ike'a. Stryj nie odebrał. Śledził zapewne proces i nie mógł rozmawiać ani przesłać wiadomości.

Na lekcji wychowania obywatelskiego Theo stał przed całą klasą i relacjonował pierwszy dzień procesu. Ponieważ chłopcy byli obecni w sądzie w dniu otwarcia poprzedniego procesu, mieli teraz setki pytań. Theo odpowiadał wyczerpująco na wszystkie.

W południe, podczas przerwy na lunch, Ike w końcu zadzwonił. Powiedział, że proces, jak dotąd, przebiegał normalnie, bez wzmianki o świadku, który zniknął. Jack Hogan nie zdradził nikomu prawdy. Sędzia Gantry sprawiał wrażenie nieświadomego sytuacji. Clifford Nance i jego zespół wydawali się jednak pewniejsi niż poprzedniego dnia.

– Wiedzą – powiedział Ike. – Coś mi mówi, że wiedzą.

Lecz Theo nie był tego taki pewien. Stryj lubił czasem przesadzać.

Chłopak odszukał Julia i wyjaśnił mu, co dzieje się w sądzie. Ten zaproponował, żeby zadzwonili do Bobby'ego z telefonu Theo.

– Jest zbyt cwany, żeby odebrać – odparł Theo.

Popołudnie wlokło się niemilosiernie, wolniej niż zwykle; musiał przebrnąć chemię, naukę własną i kółko dyskusyjne. Kiedy o wpół do czwartej rozległ się w końcu dzwonek, wskoczył na rower i ruszył w stronę sądu.

Było to dziwne – śledzić proces, jakby wszystko było w najlepszym porządku, wiedząc jednocześnie, że przedstawienie będzie miało swój szokujący finał. Przysięgli słuchali uważnie zeznań świadków. Prawnicy sporządzali notatki, przeglądali dokumenty i zadawali świadkom pytania. Sędzia Gantry przewodniczył rozprawie z powagą, uznając od czasu do czasu sprzeciw jednej ze stron. Protokolantka nie uroniła ani jednego słowa. Urzędnicy sądowi szeleścili papierami. Publiczność obserwowała wszystko, pochłonięta rozgrywającym się tu dramatem. Oskarżony, Pete Duffy, siedział w otoczeniu swoich prawników z niezmiennym wyrazem twarzy.

Jack Hogan i jego zespół sprawiali wrażenie trochę przygnębionych, ale Theo nie potrafił dostrzec jakiejś niezwyklej pewności po drugiej stronie sali sądowej. Wszystko wyglądało tak normalnie, jak można się tego spodziewać podczas dużego procesu.

Ostatnim świadkiem tego dnia był bankier. Jack Hogan pytał go o pożyczki i finanse Pete'a Duffy'ego, by udowodnić niezbicie, że oskarżony potrzebował rozpaczliwie gotówki. Stąd potrzeba skasowania sumy z polisy ubezpieczeniowej. I motyw morderstwa. Theo nie wszystko rozumiał i zeznanie zaczęło go nudzić.

Przysłuchując się, obserwował sędziego Gantry'ego, ze smutkiem i jednocześnie ze złością – ze smutkiem, ponieważ sędzia przewodniczył ważnemu procesowi i uważał, że wszystko przebiega prawidłowo, nie mając pojęcia, że lada chwila pojawią się prawdziwe kłopoty; ze złością, bo zanosilo się na to, że proces zostanie unieważniony, a Petet Duffy znów uniknie skazania za zabójstwo z premedytacją. Theo był pewien, że policja przeczesuje każdy centymetr kwadratowy Weeksburga, szukając Bobby'ego, podczas gdy zegar tykał, a na horyzoncie majaczyła kłęska. A gdyby go znaleźli? Czy mogliby go aresztować, zawlec do sądu i zmusić do składania zeznań? Theo nie bardzo w to wierzył.

O piątej piętnaście sędzia Gantry ogłosił przerwę i odesłał przysięgłych do domu. Theo i Ike rozmawiali przez chwilę pod gmachem sądu. Po drugiej stronie trawnika stał Omar Cheepe, paląc papierosa i rozmawiając przez telefon komórkowy. Patrzył wściekłym wzrokiem na Theo. Ike obiecał, że zadzwoni, jeśli tylko dowie się czegoś ważnego; bratanek pożegnał się z nim i wrócił bez pośpiechu do kancelarii. Zamknął drzwi i położył się na podłodze, a potem zaczął mówić Asesorowi, że sprawy przedstawiają się kiepsko. Pies jak zawsze słuchał z uwagą, wpatrując się w chłopca pełnymi zaciekawienia ślepiami; wierzył w każde słowo i był gotów pomóc. Dobrze było z kimś pogadać, nawet z czworonogiem.

Pani Boone siedziała u siebie w gabinecie, pracując nad czymś, z czym była spóźniona. Jej mąż był na górze, palił fajkę i poprawiał tekst obszernego dokumentu.

- Masz chwilę, tato? – spytał Theo, przerywając ojcu pracę.
- Jasne. Coś cię trapi?
- Nie uwierzysz, ale Bobby Escobar zniknął.

Panu Boone'owi opadła szczęka. Syn opowiedział mu wszystko, wyznał też, że ma numer komórki Bobby'ego.

Był wtorkowy wieczór i państwo Boone'owie wybrali się do schroniska przy Highland Street, kilka przecznic dalej, żeby odwiedzić bezdomnych. Theo obsługiwał ludzi stojących w kolejce po posiłek; serwował gorącą zupę jarzynową i kanapki tym wszystkim, którzy nie mieli dokąd pójść. Wiele twarzy było znajomych – smutni ludzie, którzy stracili wszystko i jakoś zdołali przeżyć bez dachu nad głową. Spali na ławkach parkowych i pod mostami, w tanich namiotach ukrytych pośród zarośli. Grzebali w kontenerach na śmieci i żebrali na ulicy. Szczęśliwcy, łącznie około pięćdziesięciu, mieszkali w schronisku, ale większość powoli spożywała posiłek, a potem wychodziła, by zniknąć w ciemności. Niektórzy nadużywali narkotyków i alkoholu. Niektórzy byli psychicznie chorzy. Praca w schronisku zawsze uświadamiała Theo, jakim jest szczęściarzem.

Kiedy już wszyscy zostali obsłużeni, on, jego rodzice i inni wolontariusze zjedli szybką kolację w kuchni. Kilka osób zaczęło zmywać naczynia i zbierać resztki jedzenia, podczas gdy pani Boone poszła do swojej klitki spotkać się z klientami, a jej mąż rozłożył się w kącie i zaczął przeglądać formularze ubezpieczenia zdrowotnego jakiegoś starszego małżeństwa.

Theo udzielał korepetycji z matematyki czwartoklasiście, kiedy odezwała się jego komórka. Dzwonił Julio. Theo przeprosił chłopca i wyszedł na zewnątrz, gdzie mógł swobodnie rozmawiać. Julio wyjaśnił, że właśnie kontaktował się z Bobbym, który ukrywał się na terenie sadu jabłoniowego daleko od miasta, w starym magazynie, gdzie mieszkali także inni nielegalni pracownicy. Policja raz tam zajrzała, ale ci ludzie wiedzieli, jak jej unikać. Bobby załatwiał sobie powrót do Teksasu, gdzie zamierzał przekroczyć granicę i ruszyć w stronę domu.

– Powiedziałeś mu, że musi zostać i jutro zeznawać? – spytał Theo, choć znał już odpowiedź.

– Nie, nie powiedziałem mu. On już wyjechał.

Po powrocie do domu, kiedy Theo szykował się do spania, powiedział rodzicom o telefonie.

– Jutro zapowiada się w sądzie bardzo ciekawy dzień – zauważył ojciec.

– Myślę, że powinienem tam być – rzucił Theo. Choć wmawiał sobie, że nie interesuje się procesem i że go nie obchodzi, co się stanie, nie mógł zaprzeczać prawdzie.

– Po co? – spytała matka.

– Daj spokój, mamó. Dlaczego nie chcesz przyznać, że ty, tata i każdy prawnik w mieście chcielibyście być w sądzie, kiedy Jack Hogan będzie zmuszony oświadczyć, że jego główny świadek zniknął? Clifford Nance podskoczy z radości i zażąda unieważnienia procesu. Dojdzie do walki, wszyscy będą wrzeszczeć, zaskoczeni tym, co się wydarzyło. Chcielibyście to zobaczyć.

– Jestem jutro bardzo zajęta, Teddy, i ty też. Opuściłeś już dość lekcji i...

– Wiem, wiem, ale szkoła jest taka nudna. Zastanawiam się, czy z niej nie zrezygnować.

– Możesz mieć kłopoty z dostaniem się na studia prawnicze, jeśli nie ukończysz gimnazjum – zauważył mądrze ojciec.

– Dobranoc – powiedział Theo, kierując się już ku schodom, z Asesorem, który deptał mu po piętach. Zamknął się w swoim pokoju, wyciągnął na łóżku i wlepił wzrok w sufit. Została jedna rzecz do zrobienia, a on rozmyślał o niej całe popołudnie. O wysłaniu Bobby’emu wiadomości, ostatecznej desperackiej prośby, by postąpił słusznie. Był przekonany, że da radę to zrobić i nie zostanie przyłapany. Bobby nie powiedziałby nikomu; przecież teraz jechał przez kraj, kuląc się na skrzyni ciężarówce pełnej jabłek i zmierzającej do Teksasu.

A może nie. Może wciąż się ukrywał, a jego jedynym środkiem łączności ze światem była komórka.

Theo otworzył laptopa i napisał wiadomość: *Cześć, Bobby, tu Theo. Proces dobiegł prawie końca. Jutrzejszy dzień jest bardzo ważny. Potrzebujemy cię tutaj. Będziesz bezpieczny i odwalisz w sądzie kawał dobrej roboty. Proszę, wróć. Twój przyjaciel, Theo.*

Wziął słownik angielsko-hiszpański i zaczął tłumaczyć. Madame Monique zawsze twierdziła, że uczący się obcego języka popełniają klasyczny błąd, próbując tłumaczyć słowo w słowo, ale w tej chwili Theo nie miał wyboru. Układał tekst pół godziny, przekonany, że zawiera mnóstwo błędów, a potem wklepał go do komórki. Zawahał się, mając świadomość, że robi coś złego, ale w końcu przesłał wiadomość.

Przewracał się na łóżku przez godzinę i wreszcie zasnął.

Rozdział 21

Theo obudził się wypoczęty i gotów zacząć nowy dzień. Stojąc pod prysznicem, myślał o Bobbym, ale zdołał jakoś uwolnić się od wszelkich rozważań o procesie.

Kiedy się ubierał, myślał o Jacku Hoganie, ale zdołał jakoś uwolnić się od wszelkich rozważań o procesie.

Przygotowując dwie miski cheerios, myślał o Duffym, ale zdołał jakoś uwolnić się od wszelkich rozważań o procesie.

Gdy jechał rowerem do szkoły, przeciął główną ulicę i zobaczył w oddali budynek sądu, ale zdołał jakoś uwolnić się od wszelkich rozważań o procesie.

Słuchając madame Monique, która mówiła o hiszpańskich przymiotnikach, myślał o swojej ostatniej wiadomości dla Bobby'ego – oczywiście, nie doczekał się odpowiedzi – ale zdołał jakoś uwolnić się od wszelkich rozważań o procesie.

Kiedy siedział na geometrii i marzył na jawie o zbliżającym się biwaku szkolnym, ktoś zapukał do drzwi, które po chwili otworzyły się na oścież. Do klasy weszła pani Gladwell z posępną miną, zignorowała pannę Garman i popatrzyła wprost na niego.

– Pozwól ze mną, Theo.

Czuł, jak serce i płuca zastygają mu w piersi, a nogi robią się jak z waty, gdy zmierzał do wyjścia. Na korytarzu czekali funkcjonariusze policji Bard i Sneed. Żaden się nie uśmiechał i Theo poczuł, jak zastygają mu także dłonie i nadgarstki w oczekiwaniu na kajdanki.

– Właśnie rozmawiałam z sędzią Henrym Gantrym – poinformowała go pani Gladwell. – Chce cię widzieć w swoim gabinecie, i to natychmiast. Przesłał tych dwóch panów, żeby zawieźli cię do sądu.

Theo nie był w stanie myśleć, nie był w stanie mówić, nie był w stanie zrobić niczego; mógł tylko stać jak przestraszony chłopiec, który pragnie wrócić do rodziców.

– Jasne – zdołał w końcu z siebie wydusić. – Co się dzieje?

Och, wiedział. W jakiś sposób odkryto, że przesłał Bobby'emu dwie wiadomości, i teraz czekało go oskarżenie o wpływanie na świadka. Sędzia Gantry był wściekły. Clifford Nance domagał się aresztowania. Theo czuł, że jego życie dobiega końca. Zmierzał prostą drogą do poprawczaka.

– Chodźmy – rzucił Bard.

Poprowadzili go korytarzem jak człowieka idącego na krzesło elektryczne albo do komory gazowej, albo przed pluton egzekucyjny. Theo czasem zdumiewało, że plotka może tak szybko obieć gimnazjum w Strattenburgu, więc nie był szczególnie zdziwiony, kiedy kilkoro wścibskich nauczycieli stało w otwartych

drzwiach swoich klas i przyglądało mu się z ciekawością. W holu wejściowym paru uczniów z siódmej klasy zajmowało się gazetką szkolną. Przerwali swoje zajęcie i zaczęli się gapić na więźnia, którego wyprowadzano. Przy krawężniku czekał radiowóz z emblematem miejscowej policji, kogutem i anteną.

– Wskakuj na tylne siedzenie – polecił Sneed.

Theo wszedł do samochodu i przygarbił się. Ledwie widział cokolwiek przez szybę, kiedy ruszyli, ale zdołał rzucić okiem na szkołę. W oknach stali tłumnie uczniowie i patrzyli, jak młody Theodore Boone ma być zawleczony przed wściekłe oblicze wymiaru sprawiedliwości.

Po kilku minutach całkowitego milczenia Theo spytał:

– Więc o co chodzi, panowie?

– Sędzia Gantry wszystko wyjaśni – odparł Bard, który prowadził.

– Mogę zadzwonić do rodziców?

– Jasne – zgodził się Sneed.

Theo zadzwonił do Ike'a.

– Hej, tato, to ja, Theo – powiedział, gdy stryj odebrał. – Posłuchaj, jadę do sądu spotkać się z sędzią Gantrym.

– Rozumiem, jestem pod salą – odparł Ike. – Ogłoszono przerwę. Przysięgli jeszcze nie wrócili. Nic specjalnego się nie wydarzyło, ale podejrzewam, że Jack Hogan przyzna w końcu, że Bobby Escobar zniknął. Wyczuwa się napięcie.

Nie musisz mi tego mówić.

– Będę na miejscu za pięć minut. Warto chyba zadzwonić do mamy.

– Zrobi się.

Zaparkowali za budynkiem i weszli od tyłu. Żeby uniknąć spotkania z kimkolwiek, wjechali na pierwsze piętro windą i pospieszyli do poczekalni przy gabinecie sędziego. Roilo się w niej od prawników – był tam Jack Hogan ze swoją grupą i cały zespół obrony. Hogan i Clifford Nance stali w kącie, szepcząc o czymś niezwykle ważnym. Wszyscy umilkli i spojrzeli na Theo, który ruszył za dwoma policjantami w stronę dużych drzwi.

W środku czekał sędzia Gantry; był sam. Odesłał Barda i Sneeda i przywitał się z chłopcem. Nie sprawiał wrażenia szczególnie rozgniewanego, a jedynie skupionego.

– Przepraszam, że tak cię tu ściągnąłem, Theo, ale wydarzyło się coś ważnego. Bobby Escobar zniknął. Wiesz coś o tym?

W tym momencie Theo nie był pewien, co jest słuszne, a co nie, ale nie mógł zmienić tego, co już się stało. Poza tym ufał sędziemu.

– Tak, panie sędzio – odparł. – Jego kuzyn Julio Pena zadzwonił do mnie około północy w poniedziałek i powiedział, że właśnie rozmawiał z Bobbym. Że Bobby opuścił przed chwilą motel i że się ukrywa.

– Więc wiedziałeś o tym od poniedziałku?

– Tak, panie sędzio. Nie byłem pewien, co robić. Jestem tylko dzieciakiem.

– Powiedziałeś rodzicom?

– Powiedziałem wczoraj rano Ike'owi, a rodzicom wczoraj po południu. Mieliśmy nadzieję, że znajdą Bobby'ego i wszystko będzie w porządku.

– Nie znaleźli go. Domyślasz się, gdzie jest?

– Zeszłej nocy zadzwonił do Julia i powiedział mu, że ukrywa się w sadzie z jabłoniami, gdzieś w okolicach Weeksburga. I że zamierza wrócić do Teksasu i przekroczyć tam granicę. Julio zadzwonił do mnie i mi to przekazał.

Sędzia Gantry zdjął okulary i potarł się po oczach. W koszuli i krawacie, zajmował miejsce za masywnym biurkiem. Theo siedział naprzeciwko niego na krześle; jego stopy ledwie dotykały podłogi. Czuł się bardzo mały.

– Jest coś jeszcze – powiedział, wyjmując z kieszeni komórkę. Odszukał dwie wiadomości przesłane Bobby’emu i położył telefon na blacie biurka.

Sędzia Gantry odczytał wiadomości i wzruszył ramionami.

– Są po hiszpańsku. Sam je napisałeś?

– Pierwszą z czyjąś pomocą, ale drugą sam.

– I o co w niej chodzi?

– Przekazałem Bobby’emu, że dzisiaj jest ważny dzień, że jest potrzebny w sądzie, że świetnie sobie poradzi i że nic mu nie grozi. To wszystko. Nie próbowałem wpływać na świadka. Przysięgam.

Sędzia znowu wzruszył ramionami i podsunął komórkę chłopcu.

– Jestem pod wrażeniem twojej znajomości hiszpańskiego.

Theo chwycił telefon i poczuł, jak całe jego ciało się odprężyło. Co, żadnych kajdanek? Więzienia? Żadnych wrzasków za przesłanie wiadomości tekstowych ważnemu świadkowi? Zaczerpnął głęboko powietrza i zdołał odetchnąć pełną piersią. Ucisk w żołądku zelżał odrobinę.

– Odezwał się? – spytał sędzia Gantry.

– Nie, panie sędzio.

– Rozmawiałeś dziś rano z Juliem?

– Nie, panie sędzio.

– No cóż, wygląda na to, że muszę po raz kolejny unieważnić proces. Jack Hogan opisał przysięgłym zeznanie Bobby’ego w swojej mowie wstępnej, a teraz ten chłopak zniknął. Nie mogę uwierzyć, że policja pozwoliła mu uciec.

– Rzeczywiście, trudno w to uwierzyć – przyznał Theo, ale tylko dlatego, że nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Zostań tu jakiś czas, na wypadek gdyby postanowił mimo wszystko zadzwonić. Chyba że chcesz wracać do szkoły.

– Zostanę.

Sędzia wskazał krzesło stojące w kącie między dwoma dużymi półkami na książki.

– Usiądź tam i ani słowa.

Theo zajął czym prędzej wyznaczone miejsce i stał się niewidzialny. Sędzia Gantry wcisnął guzik na telefonie stacjonarnym.

– Pani Hardy, proszę przysłać strony.

W ciągu kilku sekund drzwi się otworzyły i do gabinetu wkroczyli prawnicy, którzy czekali na zewnątrz. Sędzia skierował ich do długiego stołu konferencyjnego i sam zajął miejsce u jego szczytu. Protokolantka usadowiła się obok niego ze swoją maszyną do stenografii.

– Zaczynijmy – powiedział, gdy wszyscy usiedli. Protokolantka zastukała w klawisze, on zaś odchrząknął i ciągnął: – Jest środa rano, około wpół do jedenastej, i oskarżenie wezwało wszystkich świadków z wyjątkiem Bobby’ego Escobara, którego tu nie ma i którego, jak wszystko na to wskazuje, nie można znaleźć. Zgadza się pan, panie Hogan?

Prokurator nie ruszył się z miejsca. Był wyraźnie zagniewany i sfrustrowany, ale też pogodzony z porażką.

– Tak, Wysoki Sądzie, wszystko na to wskazuje.

– Panie Nance?

– Wysoki Sądzie, w imieniu oskarżonego, Pete’a Duffy’ego, wnoszę o unieważnienie procesu. Oskarżyciel, pan Hogan, obiecał przysięgłym w mowie wstępnej, że wysłuchają świadka, który obali nasze twierdzenia i którego zeznania będą miały wpływ na wyrok. Przysięgli mieli pełne prawo w to wierzyć. Wszyscy w to wierzyliśmy. Od poniedziałku ława przysięgłych spodziewa się, że prokurator przedstawi swojego świadka. Teraz natomiast okazuje się, że do tego nie dojdzie. Jest to wysoce niesprawiedliwe wobec oskarżonego i stanowi oczywistą podstawę do unieważnienia procesu.

– Panie Hogan?

– Nie tak szybko, Wysoki Sądzie. Myślę, że całą tę sytuację można wyjaśnić przysięgłym i przekonać ich, by pominęli niektóre moje słowa wygłoszone w mowie wstępnej. Chętnie ich przeproszę i wyjaśnię swoje działania. Wszystko odbywało się w dobrej wierze. Przedstawiliśmy dostatecznie dużo dowodów, żeby skazać oskarżonego nawet bez zeznań Bobby’ego Escobara. Unieważnienie procesu po raz drugi oznacza uchylenie oskarżenia o morderstwo, co stanowiłoby niesprawiedliwość.

– Nie jestem skłonny zgodzić się z panem, panie Hogan – odparł sędzia Gantry.

– Szkoda została wyrządzona i oskarżony nie ma możliwości konfrontacji ze świadkiem. Niesprawiedliwe jest obiecywanie zeznania tak istotnego świadka i niedotrzymanie słowa.

Hogan przygarbił się i pokręcił głową. Clifford Nance ledwie skrywał uśmiech. Theo nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Obserwował z bliska najważniejszy moment w największej sprawie o zabójstwo, jaką ktokolwiek mógł sobie przypomnieć. Zastygł w bezruchu i chłonął każde słowo.

– Przerwa potrwa do popołudnia – oświadczył sędzia Gantry. – Poszukiwania nie dobiegły jeszcze końca, więc niewykluczone, że otrzymam jakieś informacje. Spotkamy się tu o czternastej. Do tej pory nikomu ani słowa. Nie chcę, żeby przysięgli wiedzieli, co się dzieje. Koniec naszego spotkania.

Prawnicy podnieśli się powoli i skierowali do wyjścia. Sędzia skinął na Jacka Hogana, by pozostał jeszcze chwilę. Kiedy drzwi się zamknęły za pozostałymi, zwrócił się do prokuratora:

– Pod Weeksburkiem jest sad z jabłoniemi. Niech pan przekaże policji, by przeszukała go bezzwłocznie.

Hogan wyszedł pospiesznie z pokoju, a sędzia Gantry usiadł za biurkiem i popatrzył na Theo.

– Ale koszmar! Co byś w tej sytuacji zrobił?

Chłopiec zastanawiał się chwilę. Był poruszony do głębi samotnością funkcji sędziego, ważnością podejmowanych decyzji, które miały ogromny wpływ na życie tak wielu ludzi. Kiedy nie marzył akurat, by zostać sławnym adwokatem występującym w sądzie, marzył, by zostać mądrym i szanowanym sędzią. Teraz jednak naszyły go wątpliwości. W tej chwili nie chciałby być na miejscu sędziego Gantry'ego.

– Podoba mi się to, co powiedział prokurator Jack Hogan. Dlaczego nie wyjaśnić sprawy przysięgłym i pozwolić, by decydowali w oparciu o zeznania, których wysłuchali? Wiele dowodów wskazuje na Pete'a Duffy'ego.

– Zgadzam się, ale jeśli zostanie skazany, złoży apelację, a Sąd Najwyższy tego stanu z pewnością uchyla wyrok. Żaden sędzia nie lubi, kiedy uchyla się jego wyrok, Theo. Oznaczałoby to, że będziemy musieli sądzić Pete'a Duffy'ego po raz trzeci, a to nie wydaje się uczciwe.

– Ale czy nie zyskalibyśmy w ten sposób czasu na odnalezienie Bobby'ego Escobara?

– Naprawdę sądzisz, że go znajdą?

Theo zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, panie sędzio, nie bardzo. Pewnie jest już w drodze do Teksasu. Nie mogę powiedzieć, że bym go winił.

Ktoś zapukał głośno do drzwi i zanim sędzia zdążył odpowiedzieć, do gabinetu wpadła pani Marcella Boone.

– Henry, gdzie jest Theo?

Theo zerwał się z miejsca.

– Cześć, mamó.

Sędzia Gantry wstał zza biurka.

– Witaj, Marcello. Omawiamy proces.

– Słyszałam, że go aresztowano.

– Za co? Nie, pomaga mi rozważyć wniosek o unieważnienie procesu. Usiądź.

Wzięła głęboki oddech, pokręciła głową z niedowierzaniem albo niezadowolaniem, a najpewniej z jednym i drugim, i zdołała się trochę uspokoić.

Rozdział 22

Policja przeczesła sad niedaleko Weeksburga i nic nie znalazła. Wszyscy nielegalni pracownicy w promieniu paru kilometrów zniknęli w zaroślach; nie pozostał po nich nawet ślad, tak jak nie pozostał ślad po Bobbym. W południe przekazano policji w Strattenburgu złe wiadomości. Funkcjonariusze zjawili się też u Julia i jego matki, Caroli; żadne z nich nie miało wiadomości od Bobby'ego. Rozmawiano z jego szefem, który też nic nie wiedział. Poszukiwania zakończono. Świadek zniknął.

Theo zjadł przyjemny lunch z rodzicami i Ikiem w Pappy's Deli. Ojciec zasugerował, żeby wrócił do szkoły, ale Theo miał inne zdanie. Wyjaśnił, że sędzia Gantry go potrzebuje. Otrzymał ściśle polecenie, by przebywać w pobliżu sądu, na wypadek gdyby Bobby postanowił się tam stawić.

– Nie ma żadnych szans – skomentował Ike, przeżuwając słynną na cały świat kanapkę z pastrami.

Pani Boone musiała być o pierwszej w sądzie, a jej mąż spieszył się do kancelarii, żeby załatwić jakąś pilną sprawę. Theo i Ike spacerowali po głównej ulicy, zabijając czas i czekając na czternastą, kiedy to prawnicy znów mieli się spotkać, a sędzia Gantry zrobić coś nie do pomyślenia: ponownie unieważnić proces.

– Słuchaj, Ike, myślisz w ogóle o nagrodzie? – spytał w pewnym momencie Theo.

– Jasne – przyznał Ike.

– Co się z nią stanie?

– Nie wiem. Pete Duffy został zatrzymany i odsiedzi pięć lat za ucieczkę przed wymiarem sprawiedliwości. Przypuszczam, że możemy domagać się wypłaty na podstawie tego, że go złapano, sprowadzono z powrotem, skazano i zamknięto w więzieniu. Z drugiej jednak strony wyraźnie zaznaczono, że pieniądze dostanie ten, kto dostarczy informacje prowadzące do aresztowania i skazania Pete'a Duffy'ego za zabójstwo Myry Duffy. Za zabójstwo, nie ucieczkę przed wymiarem sprawiedliwości. Jeśli dojdzie do kolejnego unieważnienia procesu, z nagrodą może być kiepsko.

– No to mamy pecha.

– Na to wygląda. A ty? – Ike spojrzał na bratanka. – Myślisz o tej forsie?

– Od czasu do czasu.

Przy lokalu Guffa z mrożonymi jogurtami minęli dwóch sędziów przysięgłych; pamiętali ich twarze z sali sądowej. Obaj nosili duże okrągłe znaczki z napisem PRZYSIĘGŁY, tak by wszyscy wiedzieli, że są ważnymi osobami i że nie należy ich pytać o sprawę Pete'a Duffy'ego.

Ike chciał się napić kawy, wstąpili więc do Gertrude, starego lokalu przy głównej ulicy, słynącego na cały świat z gofrów z orzechami pekanowymi. Theo zastanawiał się często, czy każde małe miasto szczyci się jakimś rarytasem, który jest słynny na cały świat. W lokalu roiło się od znajomych twarzy – ludzi, których Theo nie znał, ale widział w sądzie. Zdawało się, że wszyscy czekają na czternastą.

Gdyby tylko wiedzieli...

– Tu właśnie mój tata przychodzi co dzień rano na śniadanie. Siedzi tam, przy okrągłym stoliku z grupą starszych gości. Jedzą tosty, piją kawę i wymieniają się plotkami. To chyba nudne, co?

– Też tak kiedyś robiłem, Theo, wiele lat temu, przy tym samym stoliku – powiedział ze smutkiem Ike, jakby wspominał przyjemne chwile. – Ale nie tęsknię za tym. Zabawniej jest przesiadywać teraz do późna w barach i grać w pokera z podejrzanymi typami. Plotki są znacznie ciekawsze.

Theo zamówił sok pomarańczowy i znowu zabijali czas. O wpół do drugiej poczuł wibracje komórki. Była to wiadomość od sędziego: *Coś nowego, Theo?*

Nie, przykro mi.

Bądź tu za piętnaście minut.

Tak, panie sędzio.

– To był sędzia Gantry – poinformował chłopiec stryja. – Chce mnie widzieć w swoim gabinecie za piętnaście minut. Widzisz, Ike, potrzebuje mojej pomocy w podjęciu ważnej decyzji. Zdaje sobie sprawę, jaki jestem błyskotliwy i jak dużo wiem na temat prawa. Postanowił zasięgnąć mojej rady w tak istotnym momencie.

– Myślałem, że jest mądrzejszy.

– Jest geniuszem, Ike. Potrzeba drugiego geniusza, by to docenić.

– Więc jak byś postąpił w tej sprawie?

– Wyjaśniłbym wszystko przysięgłym, kontynuował proces i miał nadzieję, że oskarżenie ma dość dowodów, żeby skazać Duffy’ego.

– Oskarżenie nie ma dość dowodów. Jak za pierwszym razem. A jeśli nie unieważni się teraz procesu i dojdzie do skazania, zostanie ono uchylone przy apelacji. Nie byłbyś dobrym sędzią.

– Dzięki, Ike. Co ty byś zrobił?

– Nie ma wyjścia, jak tylko unieważnić proces. Tak bym zrobił. Potem powiedziałbym policji, żeby dała nam nagrodę.

– Mówiłeś, żebym zapomniał o pieniądzach.

– Fakt.

* * *

O pierwszej czterdzieści pięć Theo wszedł za panią Hardy do gabinetu sędziego Gantry’ego. Zamknęła drzwi i zniknęła. Chłopiec usiadł i czekał, aż sędzia skończy rozmawiać przez telefon. Wyglądał na zmęczonego i sfrustrowanego. Pośrodku biurka, na serwetce, obok pustej butelki po wodzie,

leżała na wpół zjedzona kanapka. Theo uświadomił sobie, że sędzia jest pozbawiony luksusu, jakim jest możliwość wyjścia na lunch. Jakiś błazen z pewnością spytałby go o proces.

Sędzia odłożył słuchawkę.

– To był szeryf z Weeksburga, facet, którego dobrze znam. Ani śladu naszego przyjaciela.

– Nie ma go, panie sędzio. Bobby kryje się w cieniu, jak wielu mu podobnych. Wie, jak zniknąć.

– Myślałem, że twoi rodzice zamierzają za niego poręczyć i pomóc mu w uzyskaniu obywatelstwa. Co się stało?

– Nie wiem dokładnie, ale sądzę, że dokumenty utknęły gdzieś w Waszyngtonie. Wciąż próbują, ale sprawy toczą się bardzo wolno. Myślę, że teraz nie ma to już znaczenia. Bobby wraca do domu, bo jego matka jest chora.

– No cóż, schrzanił tę sprawę, to pewne.

– Mam pytanie, panie sędzio. Podczas pierwszego procesu, kiedy Bobby się zgłosił, unieważnił pan proces. W następnym tygodniu Bobby poszedł do biura prokuratora i złożył formalne zeznanie. Zatrudniono znakomitego tłumacza, kogoś, kto tłumaczy z hiszpańskiego w trakcie procesów, a wszystko zostało zapisane przez protokolantkę sądową, tak?

– Owszem.

– Więc dlaczego nie można odczytać tego zeznania przysięgłym? W ten sposób usłyszą wszystko, co Bobby ma do powiedzenia, i będziemy mogli zakończyć proces.

Sędzia Gantry uśmiechnął się.

– To nie takie proste, Theo – odparł. – Pamiętaj o tym, że gdy jesteś oskarżony, masz prawo spotkać się z oskarżycielami twarzą w twarz, żeby zadawać pytania tym, którzy zeznają przeciwko tobie. Pete Duffy nie miał tej szansy, ponieważ jego obrońców nie było przy tym, jak Bobby zeznawał. Gdybym włączył jego zeznanie do materiału dowodowego, to byłaby to podstawa do uchylecia wyroku w procesie apelacyjnym.

– Wydaje mi się, że to cholernie trudne być sprawiedliwym, prawda?

– Święte słowa. – Sędzia spojrział na zegarek, zmarszczył czoło i postukał palcami w biurko, jakby mu się nie spieszyło. – Myślę, że już czas. Chcesz tu zostać czy wracasz do szkoły?

– Zostanę.

– Tak myślałem. – Wskazał to samo krzesło w tym samym kącie i Theo je zajął. Sędzia wcisnął guzik w telefonie. – Pani Hardy, proszę przysłać prawników.

Drzwi się otworzyły i wkrótce wszyscy zasiedli przy stole. Kiedy protokolantka była gotowa, sędzia Gantry oznajmił:

– Jest czternasta i poszukiwania Bobby'ego Escobara odwołano. Sąd ma przed sobą wniosek obrony o unieważnienie procesu. Coś nowego, panie Hogan?

– Nie, Wysoki Sądzie – odparł z niechęcią prokurator.

– Panie Nance?

– Nie, Wysoki Sądzie.

– W porządku. – Sędzia wziął głęboki oddech. – Niestety, nie mam w tej sprawie wyboru. Byłoby niesprawiedliwe wobec oskarżonego kontynuowanie procesu bez zeznań Bobby’ego Escobara.

Theo poczuł, jak w kieszeni wibruje mu komórka. Wyjął ją czym prędzej, spojrzął na ekran i omal nie zemdleł. To był Bobby.

– Chwileczkę, panie sędzio! – rzucił pośpiesznie.

Rozdział 23

Zgodnie z prośbą Bobby'ego, sędzia Gantry, Theo i tłumaczka hiszpańskiego udali się w pięciominutową drogę do Truman Park i zaczęli obok karuzeli. Kiedy już byli na miejscu, Bobby wyłonił się zza szeregu gigantycznych bukszpanów i ruszył na ich spotkanie. Jego buty oblepiało zaschnięte błoto. Dżinsy były brudne. Oczy miał zaczerwienione i wyglądał na zmęczonego.

– Przepraszam za to wszystko, ale boję się i nie wiem, co robić – powiedział po hiszpańsku.

Tłumaczka, młoda kobieta imieniem Maria, przełożyła jego słowa na angielski.

– Bobby, nic się nie zmieniło od tamtej pory, kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, kilka miesięcy temu. Jesteś ważnym świadkiem i chcemy, żebyś powiedział sądowi o tym, co widziałeś – zwrócił się do niego sędzia Gantry.

Maria podniosła rękę.

– Nie tak szybko. Krótkie zdania, proszę.

Przełożyła na hiszpański, a sędzia kontynuował:

– Nie zostaniesz aresztowany, nie spotka cię nic złego, obiecuję. Wręcz przeciwnie. Dopilnuję, żebyś był odpowiednio chroniony.

Tłumaczka znowu przełożyła z angielskiego na hiszpański i Bobby zdobył się na przelotny uśmiech.

* * *

Wiadomość, że świadek został odnaleziony, obiegła lotem huczącej błyskawicy salę sądową i kancelarie prawnicze w śródmieściu. O trzeciej po południu zebrał się jeszcze większy tłum. Theo i Ike zajmowali doskonale miejsca dwa rzędy za stołem oskarżenia, gdzie przyłączył się do nich Woods Boone, który jakoś zdołał oderwać się od swojej pilnej sprawy. Theo, rozglądając się, zauważył wielu miejscowych prawników walczących o wolne krzesła.

Wprowadzono oskarżonego i Pete Duffy usiadł przy stole obrony. Był blady i zmieszany. Rozmawiał z Cliffordem Nance'em, wyraźnie zdenerwowanym i nienaturalnie ożywionym. Zniknęła gdzieś pełna buty pewność siebie, którą Theo dostrzegał u niego jeszcze godzinę wcześniej.

Woźny ogłosił wznowienie rozprawy i po kilku sekundach tłum się uspokoił. Wszystkie miejsca były zajęte, a ludzie stali również pod ścianami wokół sali. Sędzia usiadł za swoim stołem i polecił woźnemu przywołać przysięgłych. Kiedy ci już się usadowili, popatrzył na nich i zaczął wyjaśniać:

– Panie i panowie przysięgli, przepraszam za to opóźnienie. Wiem, że to frustrujące siedzieć godzinami i czekać, aż sąd i strony rozwiążą pewne sprawy, ale tak zwykle bywa podczas procesu. W każdym razie teraz możemy kontynuować. Prokurator wezwie jeszcze jednego świadka, pana Bobby’ego Escobara, który nie mówi po angielsku. Dlatego będziemy korzystać z pomocy wykwalifikowanej tłumaczki sądowej, pani Marii Olivy. Korzystałem już wcześniej z jej usług i zapewniam, że jest niezwykle biegła w swoim fachu. Zostanie zaprzysiężona, tak jak świadek. Jest to nieco kłopotliwa metoda, jeśli chodzi o uzyskanie zeznania, ale nie mamy wyboru. Czytałem kiedyś artykuł o sądzie federalnym w Nowym Jorku, gdzie występują tłumacze ponad trzydziestu języków. Tu mamy do czynienia z dwoma, więc powinniśmy się cieszyć. Tak czy inaczej, zeznanie będzie przebiegało nieco wolniej i nie zamierzamy niczego przyspieszać. Proszę o szczególną uwagę i cierpliwość. Czy strony są gotowe?

Obaj, Jack Hogan i Clifford Nance, skinęli głowami.

Maria Oliva wstała i podeszła do miejsca dla świadków. Woźny podsunął jej Biblię, a ona położyła na niej lewą dłoń.

– Czy przysięga pani uroczyście, że będzie pani tłumaczyć zeznanie zgodnie z prawdą i jak najdokładniej? – spytał.

– Przysięgam – powiedziała.

– Panie Hogan, może pan wezwać następnego świadka.

Hogan wstał i oznajmił:

– Oskarżenie wzywa Bobby’ego Escobara.

Otworzyły się boczne drzwi i pojawił się w nich Bobby idący za woźnym. Nie zwracając uwagi na tłum widzów, prawników ani oskarżonego, ruszył dość pewnie w stronę miejsca dla świadków. Był już tutaj. Tydzień wcześniej, nim zaczął się proces, Jack Hogan przyprowadził Bobby’ego do pustej sali i poddał go długiej i wyczerpującej próbie generalnej, zasypując go pytaniami. Maria tłumaczyła. Zastępca prokuratora odgrywał rolę Clifforda Nance’a; nawet wrzeszczał na Bobby’ego. Nazwał go kłamcą! Z początku Bobby był niepewny i roztrzęsiony. Wraz z upływem dnia zaczął jednak rozumieć, na czym polega zeznawanie, zwłaszcza brutalny i krzyżowy ogień pytań.

Kiedy próba generalna dobiegła końca, Jack Hogan pokładał wiarę w swoim świadku. Bobby jednakże nie miał aż takiej pewności.

Teraz przysięgł, że będzie mówił prawdę, i zajął swoje miejsce. Maria siedziała obok niego na składanym krześle, z mikrofonem przy ustach. W sali panowały cisza i bezruch. Przysięgli patrzyli i czekali.

Theo nigdy jeszcze nie czuł takiego napięcia. To było coś!

Hogan zaczął od prostych pytań. Bobby miał dziewiętnaście lat i mieszkał z ciotką i jej rodziną. Pochodził z Salwadoru i przebywał w Stanach Zjednoczonych od niespełna roku. Przekroczył nielegalnie granicę, żeby znaleźć pracę. W domu zostawił bliskich – rodziców i trzech młodszych braci – którzy byli biedni i cierpieli głód. Nie chciał opuszczać domu, ale czuł, że nie ma wyboru. Po przyjeździe do Strattenburga znalazł zatrudnienie na polu golfowym w Waverly

Creek – kosił trawę i wykonywał różne prace konserwatorskie. Zarabiał siedem dolarów na godzinę. Próbował uczyć się angielskiego, ale dla chłopca, który porzucił szkołę w wieku czternastu lat, było to trudne.

W końcu Hogan przeszedł do feralnego dnia. Był to czwartek, zachmurzony, wietrzny dzień; na polu nie panował wielki ruch. O jedenastej trzydzieści Bobby i inni pracownicy zaczęli półgodzinną przerwę na lunch w szopie ze sprzętem. Jak to często się zdarzało, Bobby odłączył się od pozostałych i udał się w stronę swojego ulubionego miejsca pod drzewami. Wolał jadać sam, bo mógł wtedy myśleć o rodzinie i modlić się.

Jack Hogan skinął asystentowi głową i na ekranie pojawiło się duże zdjęcie pola golfowego z lotu ptaka. Bobby wziął do ręki wskaźnik laserowy i pokazał przysięgłym miejsce, w którym spożywał lunch, po czym zeznawał dalej. Mniej więcej w połowie przerwy na posiłek zobaczył wózek golfowy pędzący po asfaltowej ścieżce i kierujący się w stronę domu, który został już wcześniej zidentyfikowany jako miejsce zamieszkania państwa Duffych. Mężczyzna w czarnym swetrze, brązowych spodniach i kasztanowej czapce golfowej zatrzymał wózek obok patia, wysiadł i sięgnął do torby z kijami. Wyjął z niej białą rękawiczkę i szybko włożył na prawą dłoń. Na lewej miał już rękawiczkę. Przeszedł przez patio, zatrzymał się przed drzwiami i zdjął buty. Bobby twierdził, że mężczyzna się spieszył. Siedząc pod drzewami, w odległości mniej więcej osiemdziesięciu metrów, widział wyraźnie mężczyznę i tyły domu. W tamtej chwili Bobby niczego nie podejrzewał, choć ciekawiło go, dlaczego mężczyzna włożył drugą rękawiczkę i zostawił buty na patiu. Wielu ludzi, którzy mieszkali przy polu golfowym w Waverly Creek, grywało w golfa i wpadało do swoich domów z różnych powodów. Upłynęło kilka minut – Bobby w tym czasie spożywał lunch. Nie miał zegarka ani komórki; nie wiedział dokładnie, która jest godzina. O tej porze na polu w pobliżu nie było żadnego innego golfisty. Mężczyzna wyłonił się z domu, szybko włożył buty, zdjął obie rękawiczki i schował je do worka. Rozejrzał się, najwidoczniej nikogo nie zobaczył, a potem popędził wózką w kierunku, z którego przyjechał. Kilka minut później Bobby wrócił do szopy. Przerwa na lunch dobiegła końca. Brygadzysta, jego szef, był wymagający i żądał, by wszyscy wracali do obowiązków punktualnie w południe. Jakąś godzinę później Bobby wraz z drugim pracownikiem obsługiwał zraszacz i zobaczył przy faldze koło dołka tego samego mężczyznę, którego widział wcześniej. Mężczyzna rozejrzał się, nie zobaczył w pobliżu nikogo, sięgnął do worka, wyjął z niego coś białego i wrzucił do kosza na śmieci. W tym momencie miał na lewej dłoni białą rękawiczkę, jak wszyscy praworęczni golfiści. Bobby nie potrafił powiedzieć, co mężczyzna wrzucił do kosza na śmieci, ale po kilku minutach zaczął w nim grzebać i znalazł dwie rękawiczki – jedną na prawą rękę, drugą na lewą. Wyjaśnił, że chłopcy pracujący na polu golfowym opróżniają kosze dwa razy dziennie i rutynowo przeglądają ich zawartość, żeby wziąć sobie stare piłki, podstawki czy zużyte rękawiczki. Bobby przechowywał te dwie przez kilka dni. Kiedy uświadomił sobie, że mężczyzna jest podejrzany o zamordowanie żony, dał je przyjacielowi, a ten przekazał je policji.

Jack Hogan podszedł do małego stolika obok protokolantki i wziął z niego plastikową torebkę na dowody rzeczowe. Podał ją Bobby'emu, a potem poprosił, by ją otworzył i dotknął rękawiczek. Bobby zrobił to bez pośpiechu. Kiedy już zyskał pewność, podniósł wzrok i skinął głową.

– Tak, to są rękawiczki, które znalazłem, zostawione przez mężczyznę w czarnym swetrze, brązowych spodniach i kasztanowej czapce. – Odłożył je na bok i zeznawał dalej.

Krótko po tym, jak znalazł rękawiczki, w Waverly Creek rozeszła się wieść, że wokół domu przy polu golfowym roi się od policji. Znalaziono martwą kobietę! Zainteresowany Bobby wrócił do szopy, a potem przecisnął się przez zarośla. Kiedy ukazały się tyły domu państwa Duffych, zobaczył mężczyznę siedzącego na tym samym wózku golfowym, otoczonego przez funkcjonariuszy. Mężczyzna był wyraźnie zdenerwowany. Policjanci starali się go uspokoić.

Jack Hogan spytał świadka, czy kiedykolwiek spotkał Pete'a Duffy'ego. Nie. Kazano mu, a także innym pracownikom, zachowywać się grzecznie wobec golfistów, ale nigdy z nimi nie rozmawiać. Na ekranie pojawił się następny obraz – Pete Duffy siedzący na wózku golfowym w otoczeniu policjantów. Miał na sobie czarny sweter, brązowe spodnie i kasztanową czapkę golfową.

Bobby bez trudu zidentyfikował go jako mężczyznę, który wszedł do domu około jedenastej czterdzieści pięć – albo mniej więcej w połowie przerwy na lunch – a potem wyrzucił obie rękawiczki.

– Wysoki Sądzie, proszę, by odnotowano, że świadek rozpoznał oskarżonego, pana Pete'a Duffy'ego.

– Zostanie to odnotowane – odparł sędzia Gantry i spojrzął na zegarek. Wszyscy zapomnieli o czasie; była piąta dziesięć. – Zróbmy piętnastominutową przerwę.

Bobby siedział na miejscu dla świadków już od dwóch godzin i potrzebował odpoczynku. Jego zeznanie przykuwało uwagę, głównie dlatego, że było tak wiarygodne, jednak bezustanne żonglowanie dwoma językami wyczerpało wszystkich.

– Wygląda na to, że Henry zamierza pracować dziś do późna – powiedział Ike.

– Myślałem, że o siedemnastej zawsze kończy – wtrącił jego brat, który rzadko gościł na sali sądowej.

– To zależy – rzucił Theo niczym stary i doświadczony prawnik.

Pete Duffy wstał i rozprostował nogi. Sprawiał wrażenie słabego i wychudzonego, ramiona miał opuszczone. Wszyscy jego obrońcy marszczyli czoła. Clifford Nance rozmawiał z Omarem Cheepe'em i Paco, którzy siedzieli w pierwszym rzędzie za stołem obrony. Tylko kilka osób wyszło z sali; nikt nie chciał stracić miejsca.

Sędzia Gantry wrócił o piątej trzydzieści, ale tylko na chwilę. Wyjaśnił, że jeden z przysięgłych źle się poczuł, a ponieważ i tak jest późno, rozprawa zostaje odroczone do dziewiątej rano następnego dnia. Stuknął swoim młotkiem i zniknął. Bobby wyszedł z sali eskortowany przez dwóch zastępców szeryfa.

Theo przypuszczał, że zabiorą go w bezpieczne miejsce i będą pilnować przez całą noc.

– Hej, Ike, zamawiamy dziś chińskie jedzenie – powiedział pan Boone, gdy tłum powoli opuszczał salę. – Może wpadniesz do nas na kolację? Pogadamy o procesie.

Ike kręcił już głową.

– Dzięki, ale...

– Daj spokój, Ike – przerwał mu błagalnie Theo. – Mam do ciebie mnóstwo pytań.

Ike rzadko odmawiał ukochanemu bratankowi.

Rozdział 24

Stół kuchenny zasłany był papierowymi talerzykami, serwetkami i kartonami z chow mein z kurczaka, krewetkami w sosie słodko-kwaśnym, zupą wonton i sajgonkami, wszystko z ulubionej restauracji Theo, Dragon Lady. Ike posługiwał się widelcem i Theo też chciał, ale matka nalegała, żeby jadł w odpowiedni sposób, pałeczkami. Asesor jednak żarł jak pies, kiedy pochłaniał dwie sajgonki.

– Z tego, co słyszałem, specjalista medycyny sądowej nie znalazł na ciele Myry Duffy niczego, co pochodziłoby ze skórzanych rękawiczek golfowych – mówił właśnie Ike. – Żadnych fragmentów, nitek, niczego. Teoria jest taka, że Pete wytarł wszystko starannie ręcznikiem albo czymś innym, zanim odszedł z miejsca przestępstwa. Lewa rękawiczka, ta, którą zwykle wkładał do gry, była starsza i porządnie znoszona, mogli więc pobrać DNA z potu w jej wnętrzu. Z prawej niczego nie zdjęto, prawdopodobnie dlatego, że była nowiutka. Włożył ją, żeby udusić żonę, a potem zdjął.

– Czy DNA pasuje do Pete’a Duffy’ego? – spytała pani Boone.

– Oczywiście, że tak, ale po co sobie tym zawracać głowę? Dzięki zeznaniom Bobby’ego mamy świadka, który wyjaśnił wszystko ławie przysięgłych.

– Więc ekspert medycyny sądowej nie będzie ponownie zeznawał? – spytał pan Boone.

– Nie wiem. Był dzisiaj na sali i Hogan może go jutro wykorzystać. Ja bym to zrobił, tak dla pewności. Jego zeznanie dodałoby wagi słowom Bobby’ego.

– Jak radził sobie dzisiaj w sądzie? – spytała pani Boone.

– Zaskakująco dobrze – odparł Ike.

– Był bardzo wiarygodny – dodał jego brat.

– Theo? – zwróciła się do syna.

Nie każdego dnia Theo był proszony o wydanie opinii prawniczej przez dorosłych, którzy zjedli zęby na swoim fachu, więc przełknął z wysiłkiem ślinę, zastanawiając się nad odpowiednim doбором słów.

– Ława przysięgłych potrzebowała kilku minut, żeby przywyknąć do tłumaczenia, tak jak ja. Hiszpański sprawia wrażenie bardzo szybkiego, ale myślę, że tak jest z każdym językiem, którym się nie mówi.

– Myślałem, że twój hiszpański jest całkiem niezły – wtrącił Ike.

– Niezupełnie. Niewiele zrozumiałem. Ale po kilku pytaniach zacząłem coś łapać. Ta tłumaczka, Maria, była świetna. Nie ulegało wątpliwości, że prokurator ćwiczył wcześniej z nią i z Bobbym. Jego pytania były krótkie i konkretne, a odpowiedzi Bobby’ego zwięzłe, ale brzmiały wiarygodnie. Wciąż się

zastanawiałem: co mógłby zyskać na kłamstwie? Dlaczego przysięgli mieliby mu nie uwierzyć? I sądzę, że uwierzyli.

– O tak – przyznał jego ojciec. – Obserwowałem ich twarze. Nic nie uszło ich uwadze, we wszystko wierzyli. Pete Duffy zostanie chyba skazany.

– Co stanie się jutro? – spytał Theo.

– Będzie paskudnie – zawyrokował Ike. – Clifford Nance zaatakuje Bobby’ego, tak jak zrobił to podczas swojej mowy wstępnej. Dorwie się do kwestii nielegalnych imigrantów i oskarży Bobby’ego o zawarcie układu z prokuraturą: jego zeznanie przeciwko Duffy’emu w zamian za obietnicę, że nie zostanie deportowany. Obawiam się, że Bobby’ego czeka ciężki dzień.

Theo znowu przełknął z trudem ślinę.

– Uważam, że powinienem tam być.

Rodzice omal się nie udławili; każde z nich chciało zabrać głos jako pierwsze.

– To wykluczone, Theo – powiedziała ostrym tonem matka. Zazwyczaj wyprzedzała ojca o krok.

– Nie byłeś w szkole w poniedziałek, dzisiaj też opuściłeś parę lekcji – zauważył ojciec. – Dość tego.

Chłopiec wiedział, że czasem jest dobrze trochę nacisnąć, a czasem pogarsza to tylko sytuację. Tym razem należało się wycofać. Zdawał sobie sprawę, że nie może wygrać. Lepiej było przyjąć porażkę z pewną dozą godności.

– Muszę iść. Mam zaległe prace domowe – powiedział, wstając od stołu.

Rodzice obserwowali go podejrzliwie, gotowi uderzyć zgodnie, gdyby jeszcze raz wspomniał o procesie. Kiedy wychodził z kuchni w towarzystwie Asesora, rzucił pod nosem:

– Chyba źle się czuję.

* * *

Nazajutrz rano, o siódmej czterdzieści pięć, Theo jadł śniadanie i czytał lokalną gazetę w internecie. Ojciec już wyszedł. Matka siedziała w salonie i czytała przestarzałą drukowaną wersję tej samej gazety.

Zadzwoił telefon. Raz, dwa razy. Nigdy nie dzwonił rano. Theo nie zamierzał odbierać, ale matka poprosiła:

– Odbierzesz, Theo?

Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

– Dom Boone’ów – powiedział.

– Dzień dobry, Theo – usłyszał znajomy głos. – Tu sędzia Gantry. Mogę rozmawiać z którymś z twoich rodziców?

– Oczywiście, panie sędzio. – Niemal dodał: „Co się dzieje, u licha?”, ale zdołał ugryźć się w język. – Mamo, to do ciebie!

– Kto to? – spytała i odebrała w salonie, zanim zdążył odpowiedzieć.

Podskoczył do drzwi, żeby podsłuchiwać.

– Dzień dobry, Henry. – Dłuższa pauza. – No, nie wiem. Po prostu nie wiem. Opuścił już tyle lekcji w tym tygodniu, ale... – Pauza. Theo czuł, jak przyspiesza

mu serce. – No, tak, ma bardzo dobre stopnie i jestem pewna, że szybko nadrobi zaległości. Ale... – Kolejna pauza. – No cóż, jeśli tak twierdzisz, Henry, to sądzę, że to niezły pomysł. – Theo omal nie wyskoczył ze skóry. Po chwili: – Marynarka i krawat. Jasne, oczywiście. Świetnie, Henry, zaraz mu powiem.

Kiedy odłożyła słuchawkę, Theo pomknął z powrotem na swoje krzesło, chwycił łyżkę i wsunął w usta porcję cheerios.

Matka weszła do kuchni, wciąż w szlafroku, ale Theo ją zignorował. Był zbyt zajęty laptopem.

– To był sędzia Gantry – oznajmiła.

Nie żartuj, mamó. Właśnie z nim rozmawiałem.

– Mówi, że potrzebuje dziś w sądzie urzędnika. Twierdzi, że wczoraj byłeś bardzo przydatny i że dzisiaj też możesz mu się przydać, jeśli chodzi o Bobby’ego.

Theo zdołał podnieść wzrok.

– Rany... mamó, nie wiem... Czeka mnie w szkole ciężki dzień.

– Chce, żebyś był w sądzie piętnaście po ósmej, w marynarce i krawacie, jak prawnik z prawdziwego zdarzenia.

Theo rzucił się w stronę schodów.

O ósmej piętnaście wszedł za panią Hardy do gabinetu sędziego Gantry’ego.

– Jest – powiedziała, odwróciła się i wyszła.

Theo usiadł przed szerokim biurkiem i czekał, aż sędzia, który wyglądał na zmęczonego i naburmuszonego, skończy czytać jakiś dokument.

– Dzień dobry, Theo – odezwał się w końcu.

– Dzień dobry.

– Tak myślałem, że zechcesz przyjść dzisiaj do sądu. Zapowiada się ciekawy dzień, a ponieważ to dzięki tobie mamy ten proces, uznałem, że może zechcesz zobaczyć, jak się skończy.

– Skończy?

– Tak, skończy. Wiesz, czym zajmują się urzędnicy sądowi?

– Chyba tak. Pilnują dokumentacji w imieniu sędziego i zajmują się podobnymi sprawami.

– Po części. Korzystam od czasu do czasu z ich usług, zazwyczaj są to studenci prawa, którzy przyjeżdżają na wakacje do domu. Często jest z nimi więcej kłopotu niż pożytku, ale niekiedy trafia mi się ktoś, na kim można polegać. Lubię takich, którzy niewiele mówią, ale potrafią słuchać i bacznie obserwują to, co dzieje się na sali sądowej. – Wstał i przeciągnął się. Theo milczał ze strachu. – Siedziałem tu wczoraj prawie do północy. Miałem spotkanie z prawnikami. Dzieje się mnóstwo, a mnie zależy na twojej opinii. – Zaczął chodzić tam i z powrotem za biurkiem, wciąż się przeciągając, jakby nadwyrężył sobie któryś mięsień. – Widzisz, Theo, Myra Duffy miała dwóch synów, Willa i Clarka, wspaniałych młodych ludzi, którzy są teraz w college’u. Jestem pewien, że widziałeś ich na sali. Przychodzą każdego dnia.

– Tak, panie sędzio.

– Ich ojciec zginął w katastrofie lotniczej, kiedy byli jeszcze nastolatkami. Po kilku latach Myra poślubiła Pete’a Duffy’ego, a Will i Clark mieli z przybranym

ojcem niezłe relacje. Pete był dla chłopców dobry, troszczył się o nich, zabierał na wakacje i opłacał college. Oczywiście, są załamani po tym, co stało się z ich matką, i chcą, by zabójcę spotkała sprawiedliwa kara. Doszli jednak do wniosku, że Pete nie powinien być skazany na śmierć. Uważają, że byłoby to zbyt surowe. Żywią do niego jakieś uczucia, mimo tego, co zrobił. Spędzili ostatnio dużo czasu ze swoją ciotką, Emily Green, siostrą Myry, i w gronie rodzinnym podjęli decyzję. Nie chcą kary śmierci dla Pete'a. Wczoraj, po zeznaniach Bobby'ego, gdy stało się oczywiste, że przysięgli uznają Pete'a za winnego, zwrócili się do Jacka Hogana i poprosili, by nie wnosili o karę śmierci. Stawia go to w trudnej sytuacji. Jako prokurator ma obowiązek karać morderców z całą surowością prawa, ale nigdy nie prosił przysięgłych, by skazali człowieka na śmierć. Zgadza się także na to, by rodzina ofiary miała w tej sprawie coś do powiedzenia. Wczoraj wieczorem Jack Hogan poinformował Clifforda Nance'a o decyzji rodziny. Zaproponował też układ: ugodę między oskarżeniem a obroną. Jeśli Pete Duffy przyzna się do zabójstwa, prokurator będzie proponował dożywocie bez możliwości ubiegania się o przedterminowe zwolnienie. Zostałem o tym powiadomiony i spotkaliśmy się tu wczoraj wieczorem, żeby to przedyskutować. Oznacza to, oczywiście, że Pete Duffy umrze w końcu w więzieniu, ale nie będzie czekał w celi śmierci na egzekucję. Oznacza to także, że sprawa zostanie zamknięta, a oskarżyciel i obrońca nie będą zmuszeni zmagać się przez piętnaście lat z apelacjami. Jak zapewne wiesz, procesy apelacyjne dotyczące zabójstw ciągną się bez końca. No dobrze, teraz muszę zaaprobować ugodę albo nie. Co o tym sądzisz?

– Czy Pete Duffy pójdzie na to i przyzna się do winy? – spytał Theo.

– Jeszcze nie wiem. Podejrzewam, że ma za sobą długą noc w więzieniu. Clifford Nance skłania się ku ugodzie i zdecydował, że będzie namawiał na nią swojego klienta. Wszystko jest lepsze od życia w celi śmierci w oczekiwaniu na egzekucję.

– To mi się podoba, panie sędzio – powiedział Theo. – Kiedy myślę o karze śmierci, do głowy przychodzą mi seryjni mordercy, terroryści i handlarze narkotyków, czyli naprawdę paskudni ludzie. Ale nie tacy jak Pete Duffy.

– Zabójstwo to zabójstwo.

– Owszem, ale Pete Duffy nie popełni więcej żadnej zbrodni, prawda?

– Raczej nie. A więc jesteś za ugodą?

– Tak, panie sędzio. Mam wątpliwości co do kary śmierci. A tak ten człowiek poniesie karę, rodzina będzie usatysfakcjonowana i sprawiedliwości stanie się zadość. Odpowiada mi to.

– No dobrze. Prawnicy będą tu za parę minut. Chcę, żebyś zajął swoje miejsce w kącie i nie wchodził nikomu w drogę. I żeby ci nawet oko nie drgnęło.

– Jasne. Ale czy prawdziwy urzędnik sądowy musi się chować w kącie?

– Chcesz więc siedzieć przy stole?

– Pewnie.

– Przykro mi. Ciesz się, że w ogóle tu jesteś.

– Tak, panie sędzio. I bardzo dziękuję.

Rozdział 25

W powietrzu wyczuwało się napięcie, kiedy prawnicy weszli gęsiego do gabinetu. Kilku spojrzło na Theo siedzącego w kącie, ale jego obecność najwyraźniej nie robiła na nich wrażenia. Zebrali się wokół długiego stołu, otworzyli swoje teczki, wyjęli papiery i notatniki i usadowili się na krzesłach. Sędzia zajął miejsce na jednym końcu, protokolantka obok niego. Po jednej stronie siedział Jack Hogan ze swoimi prokuratorami. Po drugiej – Clifford Nance ze swoim zespołem. Pete Duffy był nieobecny.

– Zaczynamy – oznajmił sędzia Gantry i protokolantka zastukała w klawisze. – Panie Nance, oferta, która pojawiła się na tym stole, nie zmieniła się od północy. Czy pan Duffy podjął decyzję?

Clifford Nance wyglądał tak, jakby nie spał od tygodnia. Nosił drogie garnitury i zawsze sprawiał wrażenie odnoszącego sukcesy prawnika procesowego, lecz teraz jego krawat był przekrzywiony, a koszula zmięta.

– Wysoki Sądzie, spotkałem się z klientem o północy i ponownie dziś rano o szóstej – powiedział. – Postanowił w końcu przyznać się do winy i pójść na ugode.

– Panie Hogan, ma pan tekst ugody?

– Tak, Wysoki Sądzie. – Jeden z jego asystentów wyjął plik starannie poukładanych kartek i po chwili każdy miał kopię w ręce. – Jest bardzo prosty, Wysoki Sądzie.

Theo słyszał już to wcześniej. Jego ojciec twierdził, że kiedy prawnik mówi, że coś jest „bardzo proste”, to lepiej uważać. Bo w gruncie rzeczy to coś jest niezwykle skomplikowane.

Obrońcy czytali powoli tekst ugody. Miał tylko dwie strony i był rzeczywiście prosty.

– Oskarżony przyznaje się do zarzutu zabójstwa i otrzymuje wyrok dożywocia bez możliwości przedterminowego zwolnienia. Przyznaje się również do zarzutu ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości i otrzymuje wyrok dwóch lat więzienia, który będzie odbywał jednocześnie z wyrokiem dożywocia.

– Zgadza się, Wysoki Sądzie – potwierdził Hogan.

– Postanowiłem zaakceptować tę ugode. Przeprowadzić oskarżonego.

Zastępca prokuratora podszedł do drzwi, otworzył je i skinął głową komuś przebywającemu w sąsiednim pomieszczeniu. Do gabinetu wkroczył umundurowany funkcjonariusz, za nim Pete Duffy, a za nim jeszcze jeden funkcjonariusz. Duffy nie był skuty kajdankami i nie miał łańcucha na nogach. Był w garniturze. O dziwo, wydawał się zrelaksowany i zdołał się nawet uśmiechnąć do sędziego. Kiedy miał już zająć miejsce obok Clifforda Nance’a,

rozejrzał się po pokoju i zauważył Theo. Jego uśmiech zniknął. Plecy mu zeszywniały. Zrobił kilka kroków w stronę kąta.

Theo wiedział, że nie musi obawiać się Duffy'ego, w każdym razie nie w tej chwili, lecz jego serce na sekundę zamarło. Mężczyzna popatrzył na niego ze złością.

– Znalazłeś mnie – rzucił. – Na lotnisku w Waszyngtonie. To byłeś ty, prawda?

Chłopiec nie zamierzał się odzywać, ale odpowiedział na spojrzenie Duffy'ego i nawet nie mrugnął.

– Dość tego – warknął sędzia Gantry, gdy jeden z funkcjonariuszy chwycił Duffy'ego za łokieć i poprowadził z powrotem do stołu.

Oskarżony usiadł obok Clifforda Nance'a, a Theo odetchnął głęboko.

– Panie Duffy, mam tu dwustronicowy tekst ugody. Chcę, żeby przeczytał go pan bardzo uważnie.

Duffy nie sięgnął po dokument.

– Wiem, co zawiera, panie sędzio – powiedział. – Nie muszę go czytać. Pan Nance wyjaśnił mi wszystko.

– I chce się pan przyznać do winy?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– W porządku. Abym mógł zaakceptować pańskie przyznanie się do winy, muszę zadać panu parę pytań.

Korzystając z podniszczonego podręcznika, sędzia Gantry zaczął przesłuchanie. Najpierw upewnił się, że Duffy wie, co robi. Czy omówił wszystkie te zagadnienia ze swoim adwokatem? Tak. Czy jest zadowolony z usług obrońcy? Tak. Czy zgłasza jakieś skargi w stosunku do obrońcy i jego pracy? Nie. Czy rozumie, że spędzi resztę życia w więzieniu? Tak. Że przyznając się do winy, rezygnuje z prawa do odwołania się od wyroku? Tak, rozumie. Że po podpisaniu ugody nigdy nie będzie mógł zmienić zdania? Tak. Sędzia spytał go o stan umysłowy. Czy zażywa jakieś leki? Nie. Coś, co mogłoby wpłynąć na jasność jego osądu? Nie. Coś, co mogłoby utrudnić mu podjęcie tak ważnej decyzji? Nie.

Zaczęło się to trochę przeciągać i Theo wpadł na wspaniały pomysł. Wyjął powoli komórkę z kieszeni, a potem, chowając ją za nogą i nie spuszczać oka z sędziego, przesłał Ike'owi wiadomość: *Jestem z Gantrym. Duffy przyznaje się do winy!!!*

Odpowiedź nadeszła kilka sekund później: *Wiedziałem.*

Typowe dla Ike'a. Wydawało mu się, że wie wszystko bez względu na to, ile naprawdę wie.

Theo naszła nagle okropna myśl, że naruszył zaufanie, jakim obdarzył go sędzia Gantry, który z pewnością pragnął, by to małe spotkanie zostało utrzymane w tajemnicy. Była to kwestia najwyższej wagi.

Wysłał pospiesznie jeszcze jedną wiadomość: *Nie mów nikomu, gaduło.*

Ike odpowiedział: *Jestem na sali. Wszyscy już o tym wiedzą.*

Theo poczuł się nieco lepiej. Trudno było dochować w sądzie tajemnicy; należało zakładać z dużą dozą prawdopodobieństwa, że plotka rozprzestrzenia się błyskawicznie jak ogień. Rozsądnie postanowił schować komórkę do kieszeni.

Sędzia tymczasem zakończył przesłuchiwanie.

– Doskonale – oznajmił. – Cieszę się, że oskarżony Pete Duffy jest w pełni świadomy tego, co robi, że został odpowiednio pouczony przez swojego obrońcę i że nie był w żaden sposób przymuszany. Panie Duffy, niniejszym uznaję pana za winnego zabójstwa z premedytacją Myry Duffy, a także ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości. Wszystkie strony podpiszą teraz ugodę.

Kiedy skończył, Duffy usiadł z powrotem i spojrzął na Theo, a potem pokręcił z wolna głową.

Gdy uporano się z papierami, sędzia wstał.

– Panowie, zajmijcie swoje miejsca na sali sądowej, a ja przemówię do przysięgłych – poprosił.

Państwo Boone'owie siedzieli obok Ike'a i czekali. Zdawało się, że wszyscy mówią jednocześnie, a majestatyczna sala dosłownie buzuje napięciem. Kiedy na jej tyłach pojawili się prawnicy, ludzie zajęli swoje miejsca. Każda para oczu była wlepiona w Pete'a Duffy'ego, kiedy podchodził do swojego krzesła, uśmiechając się sztucznie, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

Woźny wstał.

– Wzywam do zachowania ciszy – odezwał się donośnym głosem.

Od razu zapanował spokój.

– Nie widzę Theo – powiedział Ike, nachylając się do pani Boone.

Wzruszyła ramionami. Jej mąż wyglądał na zdziwionego. Nigdzie nie było widać ich syna.

Woźny zaczekał, aż ludzie usadowią się na swoich miejscach, a potem zawołał:

– Wstać, sąd idzie!

Wszyscy zerwali się na równe nogi, kiedy w drzwiach na tyłach sali ukazał się sędzia Gantry w powiewającej za nim długiej czarnej todze. A tuż za togą podążał jego młody urzędnik sądowy.

Kiedy Theo wkroczył na podwyższenie i zobaczył wypełnioną po brzegi salę, gdzie zgodnie z tradycją wszyscy stali i patrzyli z szacunkiem, doszedł do wniosku, że bycie sędzią nie jest ostatecznie takie złe. Obiecał sobie, że nie będzie się uśmiechać; sprawa była zbyt poważna.

Sędzia usadowił się na ciężkim krześle pokrytym czarną skórą.

– Proszę usiąść – powiedział, a gdy tłum zajął hałaśliwie miejsca, wskazał puste krzesło obok swojego biurka i wyszeptał: – Siadaj, Theo.

Chłopiec czym prędzej wykonał polecenie. Jego miejsce znajdowało się tylko o metr niżej niż sędziowskie krzesło – raczej tron – i widział stamtąd każdą twarz na sali. Mrugnął do matki, ale wątpił, czy to zauważyła. Spojrzął w stronę zatłoczonego balkonu i pomyślał o szkolnych kolegach, którzy teraz mozolili się na lekcji. Zauważył, że parę osób gapi się na niego, zastanawiając się bez wątpienia: „Co ten dzieciak tu robi?”.

– Dzień dobry – odezwał się sędzia Gantry. – Proszę wezwać przysięgłych.

Woźny otworzył drzwi i przysięgli po raz ostatni wkroczyli na salę. Theo popatrzył na stół obrony i uświadomił sobie, że Pete Duffy spogląda na niego ze

złością.

Kiepsko, Pete. Czeka cię kilkadziesiąt lat w mamrze. I powinienes się z tego cieszyć.

Kiedy przysięgli zajęli swoje miejsca, sędzia Gantry zwrócił się do nich:

– Dzień dobry, panie i panowie. Kilka minut temu w moim gabinecie oskarżony Pete Duffy przyznał się do zabójstwa.

Cała ława przysięgłych spojrzała w tym momencie na Pete’a Duffy’ego, który wlepiął wzrok w swoje paznokcie. W tłumie rozległo się kilka gwałtownych westchnień.

– Za mniej więcej miesiąc zostanie formalnie skazany przez ten sąd na pobyt w więzieniu do końca życia, bez możliwości ubiegania się o przedterminowe zwolnienie – ciągnął sędzia. – Tym samym proces dobiegnie końca. Pragnę podziękować za waszą służbę i spełnienie obywatelskiego obowiązku. Nasz system sądownictwa opiera się na bezinteresownej pracy ludzi takich jak wy, którzy nie zgłaszają się dobrowolnie, lecz i tak poświęcają nam swój cenny czas. Byliście wspaniałą ławą przysięgłych, uważną, czujną i gotową służyć społeczeństwu. Dziękuję wam. Jesteście wolni.

Przysięgli byli zdziwieni, niektórzy zmieszani, ale wydawało się, że wszyscy zapragnęli nagle opuścić salę sądową.

Sędzia spojrział na Pete’a Duffy’ego.

– Oskarżony pozostanie aż do odwołania w areszcie, pod nadzorem szeryfa hrabstwa Stratten. – Uderzył młotkiem i ogłosił: – Sąd zamyka rozprawę.

Kiedy wychodzili z sali, położył dłoń na ramieniu Theo.

– Dobra robota, chłopcze. A teraz zabieraj swój tyłek i jazda do szkoły.

Rozdział 26

Tydzień później Theo siedział w swoim gabinecie; męczył się właśnie nad pracą domową, słuchając kropel deszczu, które stukały w okno, i myśląc o tym, jak nudne stało się życie po procesie Duffy'ego, gdy matka otworzyła drzwi.

– Theo, możesz przyjść do pokoju konferencyjnego? – spytała.

– Jasne, mamo.

Spotkanie zostało już dawno zaplanowane, choć Theo nie miał przy tym wiele do powiedzenia. Poszedł do pokoju konferencyjnego, przywitał się ze stryjem i uścisnął dłoń szeryfowi Mackintoshowi. Rodzice też byli obecni; dorośli siedzieli tu już jakiś czas, nim zjawił się Theo.

Szeryf wyjaśnił, że, jego zdaniem, Theo ma prawo do nagrody w wysokości stu tysięcy dolarów. To on wypatrzył Duffy'ego, i to dwukrotnie. To on miał dość refleksu, żeby zrobić nagrania telefonem komórkowym. Zawiadomił Ike'a i tak dalej. To on został zwerbowany przez FBI, by wytropić Duffy'ego.

Theo z pewnością zgadzał się z tym wszystkim. Problem polegał na tym, że rodzice wtrącili swoje trzy grosze.

– Tak, szeryfie, wiemy o tym i jesteśmy bardzo dumni z naszego syna. Ale, jak już mówiliśmy, Theo nie potrzebuje tak dużych pieniędzy ani teraz, ani później – powiedziała pani Boone.

– No i miał pomoc – dodał jej mąż. – Ike rzucił wszystko i pojechał do Waszyngtonu, żeby mu pomóc. Uważamy, że Ike też powinien dostać trochę pieniędzy.

Ike chciał się podzielić z Theo pół na pół, ale nie zamierzał się do tego przyznawać.

Państwo Boone'owie już zaproponowali, żeby połowę sumy otrzymał Bobby Escobar, z powodów oczywistych. Bez niego nie można było naciskać Duffy'ego, by przyznał się do winy. I jeśli ktoś potrzebował pieniędzy, to właśnie Bobby.

Pan Boone uważał, że Theo powinien dostać dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Pieniądze miałyby trafić na konto funduszu, z przeznaczeniem na naukę w college'u. Drugie dwadzieścia pięć tysięcy miał dostać w gotówce Ike, pięćdziesiąt tysięcy – Bobby, też na konto funduszu założonego przez panią Boone. Pieniędźmi zarządzały sąd i mądrze nimi dysponował.

Theo nie do końca rozumiał tę sprawę z funduszami. Pojmował jednak, że nie ma dostępu do tej forszy i że będzie ona kontrolowana przez rodziców. Innymi słowy, nie mógł nawet tknąć pieniędzy. Nie był zachwycony podziałem. Tak, Bobby też na coś zasłużył, ale żeby od razu miał dostać połowę?

Nie mógł się jednak zdobyć na to, by spierać się z rodzicami. Nie chciał wyjść na chciwego ani też zabierać cokolwiek Bobby'emu.

Ike też nie był zachwycony, lecz dwadzieścia pięć tysięcy to więcej, niż miał zaledwie przed miesiącem. Dwa dni wcześniej, w trakcie spotkania, na które nie zaproszono Theo, spierał się z bratem i Marcellą o podział pieniędzy. Chciał więcej dla Theo i siebie, a mniej dla Bobby'ego.

– Zgadza się pan, panie Boone? – spytał go teraz szeryf.

– Jasne – odparł Ike. Machnął na to ręką. Miał już dość sporów.

– A ty, Theo?

– Jasne – zapewnił chłopak, choć tak naprawdę nie miał w tej kwestii prawa głosu.

* * *

Przy wąskiej uliczce za kancelarią, w terenowym pick-upie, siedzieli nisko pochyleni Omar Cheepe i Paco. Na desce rozdzielczej leżał odbiornik z włączonym głośnikiem. Słuchając Boone'ów i szeryfa, kręcili z niedowierzaniem głowami.

– Teraz wiemy – powiedział Omar. – Cały czas podejrzewałem tego dzieciaka, a Pete nie miał wątpliwości, że chłopak i ten jego zwariowany stryj byli na lotnisku. Teraz wiemy.

– Ale jest za późno, co? – spytał Paco.

Omar uśmiechnął się.

– Paco, Paco. Nie nauczyłeś się jeszcze, że na zemstę nigdy nie jest za późno?